

# WYBÓR PISM

## RYSZARDA WINCENTEGO BERWIŃSKIEGO

NAKŁAD I DRUK ZAKŁ. GRAF. TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW.



RYSZARD WINCENTY BERWIŃSKI.

RYSZARD WINCENTY BERWIŃSKI

# WYBÓR PISM

OPRACOWAŁ I WSTĘPEM OPATRZYŁ

EUSTACHY CZEKALSKI



Tom I.



SKŁADY GŁÓWNE:

E. WENDE I SPÓŁKA, WARSZAWA,

H. ALTENBERG, G. SEYFFART, E. WENDE I S-KA z og. p.

LWÓW.


LIBRARY
AUG 31 1971
UNIVERSITY OF TORONTO
ZWIĄZEK MŁODZIEŻY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ
POLSKA Y. M. C. A.
4364
Łódź

## RYSZARD WINCENTY BERWIŃSKI.

Nieraz giną pieśni, co pokoleniu współczesnemu śpiewały najtajniejsze pragnienia. I trzeba dopiero wielu lat, by pobudka ich bojowa zabrzmiała całą gamą uniesień i tęsknot. Musi się znów narodzić ktoś duchem podobny, a związany z przeszłością, i ten, szukając poprzedników w pyle ksiąg bibliotecznych, odnajdzie dla siebie rodowód, odnajdzie zapomniane piękno i skarb. Tak czekał Norwid w urągliwej ciszy i poniechaniu; tak ważyły się wyroki nad seraficznym duchem Słowackiego; tak też namiętne pieśni Berwińskiego oczekują należytej oceny...

Współcześni składali mu hołdy, lecz częściej zarzucali go obelgami, drwinami

i oszczerstwem. Garstka młodych i śmiałych—oto hołdownicy talentu Berwińskiego. Reszta zaś społeczeństwa, idąc za głosami prasy uprzedzonej, zaciskała z oburzenia pięście. Pomawiano go o wszystkie zbrodnie, lekceważono, wreszcie dyskretnie oddano na łup niepamięci.

Dziś należy mu się bezstronny sąd. Nie wolno bowiem nic wyrzucać ze skarbnicy historyi ducha narodowego; nie wolno fałszować tragicznych życia naszego chwil. Niech wiedzą pokolenia, w jakim mozole rodzą się u nas ludzkie pieśni! Niech wreszcie skończy się już legenda, że siłą naszą jest izolowanie się od wszystkiego, co tchnie tęsknotą za ludzkiem, sprawiedliwem urządzeniem tego świata. Studyujmy dzieje woli w Polsce, kochajmy wszystkie duchy Kondradowe. One bowiem to sprawiły, że rozlega się tak donośnie polskiej mowy święte słowo. Uczy ono kochać piastowe pielesze, opancerza rozełkaną, zbolałą polską piosenkę i tworzy z niej huragan, co błyska piorunami mocy.

Tony takie znajdziemy w szarpiących akordach Berwińskiego. Może nie zabrzmią one tak czysto i harmonijnie, jak strofy Słowackiego lub Mickiewicza, lecz kryją w sobie źródło tych samych tęsknot, wyrastają z wspólnego pnia naszej niedoli. Obok tych jednak tonów, znajdziemy niespotykaną u nas na owe czasy gorącą, subtetną, burzliwą, lecz zawsze idealną lirykę miłości. Berwiński, jako śpiewak Erosa, należy do przednich przedstawicieli i lenników tego płochego, a tragicznego bóstwa. Życie swoje z niem sprzągł i wiele przez to doznał męczarni. Zresztą nietylko przez miłość cierpiał w życiu. Losy jego są we wszystkiem, co czynił, ciekawe. Jakieś przekleństwo pomazańca ciąży nad nim. Zobaczmy więc, jakimi są te ogrójce bólu, w których mieszkał od kolebki Berwiński.

* * *

Ryszard Wincenty Berwiński ujrzał światło dzienne w 1819 roku w Polwicy pod

Zaniemyślem, w powiecie średzkim. Ojcem jego był niezamożny ziemianin, który jednak dokładał wszystkich starań, by dzieci wyrosły na oświeconych obywateli. Szczególnie wpływ matki, z domu Bukowskiej, wiele zaważył na wychowaniu Ryszarda. Była pani Berwińska, gorącą katoliczką, w tym więc duchu urabiała umysł wrażliwego, młodego chłopca. Jako człowiek dojrzały, wyzwolił się z pod tego wpływu i nieraz wypowiadał zdania, stojące na przeciwległym biegunie bieżących poglądów, co czyniło mu wielu wrogów.

Już od dzieciństwa Ryszard imponował swojemi zdolnościami otoczeniu. Pierwsze nauki pobierał w Lesznie, w gimnazyum Leszczyńskiem. Szkoła ta na swój czas należała do rzędu lepszych zakładów naukowych, jakie znajdowały się w Polsce. Nie skończył jednak tego gimnazyum, przeniósł się do Wrocławia i dopiero tu złożył maturę. Z upodobań jego sądzić można było zgóry, że na uniwersytecie studyować będzie filologię. Będąc bowiem

jeszcze na ławach szkolnych, ogłosił cały szereg powiastek, opartych na podaniach ludowych, które były drukowane w „Przyjacielu ludu“, a nawet tłumaczone na obce języki (Kojata — przekład niemiecki). Istotnie też zapisał się Berwiński na wydział filologiczny uniwersytetu wrocławskiego, skąd wkrótce przeniósł się do Berlina.

W tym okresie swojego życia poznał się Berwiński z generałem Fr. Morawskim, znanym poetą. Stał się Berwiński jego ulubieńcem. Wiele też zawdzięcza jego światłej radzie, wiele obowiązany jest jego wiedzy. I niespodziewanie dla wszystkich, z płochego młodzika przekształca się w dojrzałego mężczyznę. Zajmował się przez czas pewien gospodarką na roli, był nauczycielem prywatnym w różnych domach. W jednym z tych domów poznał kobietę, która w uczuciach jego głębsze i trwałe zajęła miejsce.

Panna owa należała do „wyższego“ towarzystwa. Berwiński, niezamożny szlachcic, nie mógł ani marzyć o urzeczywistnieniu swoich miłosnych zamiarów.

Panna bowiem nie zdradzała wcale swoich afektów do poety, oglądała się tylko na majątkowe stanowisko, a tego, niestety, Berwiński zapewnić jej nie mógł, chociaż pomimo swojej młodości cieszył się już wtedy pewną sławą, już wtedy wydał swoje „Powieści wielkopolskie", o których krążyło wiele zdań pochlebnych. Miłość dla tej kobiety, pozostawiła w literaturze naszej cenne skarby natchnienia Berwińskiego. One to okryły go sławą, która brzmi najszlachetniejszymi tonami polskiej uczuciowości.

Berwiński wśród szlachty poznańskiej miał wielką wziętość, królował na balach, a płeć piękna darzyła go obficie swoimi względami, choć nie zabiegał o nie. Szczęście ma jednak swoje granice. Miłość jego upragniona, miłość dla cudnej karmazynowej panny przyniosła mu wtedy tylko ciernie i osty.

Poznań, w którym poeta stale przebywał, skupiał w tych latach przednie umysły polskie. Libelt, Dembowski, Ciesz-

kowski na gruncie poznańskim szczepili swoje idee i teorye; tu rozgrywały się programowe batalie o przekonania społeczne i polityczne.

Berwiński stawał odważnie pod sztandarem demokratyzmu. Był wytrwałym tych haseł chorążym. Śpiewał ludowi polskiemu głośną wyzwolin melodyę. Przez lud i pracę kazał dążyć wszystkim warstwom społecznym do celów odrodzenia narodowego.

W poznańskiem istniały wtedy dwa programowe czasopisma: „Orędownik" i „Tygodnik literacki". „Orędownik" był przedstawicielem partyi konserwatywno-katolickiej, „Tygodnik literacki" zaś skupiał na swoich łamach wszystkie siły postępowe. Berwiński w „Tygodniku literackim" brał żywy udział. Tu drukował swoje powiastki, tu pisał swoje listy. Na czele stronnictw, panujących w Poznańskiem, stało wtedy dwóch ludzi: Edward hr. Raczyński i K. Marcinkowski. Raczyński reprezentował ludzi konserwatywnego pokroju, Marcinkowski był

przywódcą postępu, ale nie odznaczał się radykalizmem pojęć ani czynów. Był to człowiek bardzo umiarkowany i pełen taktu. On to ufundował „Towarzystwo dla rzemieślników“, on założył słynne „Towarzystwo pomocy naukowej“. Stąd też poszło przeświadczenie, że opinia publiczna stale liczyła się z nim, jako demokratą. Śmierć Marcinkowskiego wysunęła później na czoło demokracyi poznańskiej emigranta z Warszawy, Edwarda Dembowskiego. Skupił on około siebie wszystkie jednostki o demokratycznym poglądzie na świat.

Dembowski był współzałożycielem (wraz ze Skimbrowiczem) „Przeglądu naukowego“, który wychodził w Warszawie. Wskutek konspiracyjnej działalności, musiał opuścić Warszawę. Umysłowa wszechstronność i głęboka wiedza tego człowieka wprawiała wszystkich w podziw. Był filozofem, publicystą, krytykiem literackim, poetą. dramaturgiem, tłómaczem. Zapalny jego duch umiał szerzyć entuzyazm, którym płonął. Nic dziwnego więc, że i w Poznańskiem

znalazła się grupa ludzi, z którą wszedł w porozumienie i śród której szczepił i rozwijał swoje rewolucyjne idee.

Berwiński należał do tych, którzy grupowali się przy warszawskim emigrancie, on zaś darzył Berwińskiego szczególną przyjaźnią, a nawet przypisał mu swoją historyę literatury. Będąc pod wpływem idei Dembowskiego, Berwiński i Aleksander Brudzewski pojechali do Krakowa, skąd wybrali się w polityczną podróż po Galicyi. Niedługo jednak trwała ta wędrówka. W okolicach Tarnowa zaaresztowano ich i osadzono w więzieniu wiśnickiem. Przesiedział tu Berwiński rok cały. W ciszy więziennej rozmyślał nad różnemi kwestyami, a szczególnie zagadnienie literatury ludowej, którą się zajmował oddawna, opracowywać począł metodycznie. Skończył tę pracę obmyślać i porządkować znacznie później, gdy znów dostał się na przymusowy odpoczynek do berlińskiego Moabitu, w r. 1847.

Berwiński brał czynny udział w kongresie słowiańskim, który zwołał roku 1848

Fr. Palacky. W rok później, wraz z Libeltem, zaczął redagować „Dziennik Poznański". Pismo to zaledwie ośmnaście miesięcy wychodziło, a jednak i w tak krótkim czasie Berwiński, jako publicysta zaskarbił sobie szacunek i uznanie. I dla tego to w roku 1852 był wybrany do sejmu berlińskiego na posła. W roku 1854 wydał zasadnicze swoje dzieło, owoc długoletniej pracy i rozmyślań więziennych: „Studya o literaturze ludowej ze stanowiska historycznej i naukowej krytyki" (2 tomy).

Po opuszczeniu sejmu berlińskiego, Berwiński wyjechał do Paryża. Tu studyował systematy współczesnego socyalizmu. Niebawem jednak zaciągnął się w szeregi wojska tureckiego i został oficerem w pułku dragonów otomańskich, który był wtedy pod wodzą Sadyka-paszy. Kilka razy odwiedzał Polskę. Zmarł w roku 1879, dnia 19 listopada, w Konstantynopolu, w szpitalu francuskim. Dysponował go na śmierć ksiądz Ławrynowicz, który przed laty obecny był też u wezgłowia Adama Mickiewicza.

* * *

Rozwój ideowy Berwińskiego kroczy wyraźnymi demokratycznymi szlakami. Nie zboczył z nich nigdy za życia, co czyniło mu wrogów tak daleko idących w wymysłach, że odmawiali mu nawet miana porządnego człowieka. W napaściach na Berwińskiego odznaczył się specyalnie „Orędownik“. Pewien pan Z. K. w ten sposób charakteryzuje Berwińskiego: („Orędownik“ marcowy 1844 str. 49):

„Dzisiaj chce się kapłańską okryć szatą, jutro być prawnikiem, pojutrze heglistą. To znowu czepia się tak zwanej arystokracyi; to znów łączy się z komunistami, a nie chcąc sam nic poczciwie zrobić, nożem i stryczkiem grozi własności. Przerzuca się wreszcie na towiańczyka, na miłosnego bałamuta, a z tego, Bóg wie, czem jeszcze zostanie“.

Wogóle opinia o Berwińskim nie chciała ustalić jego rysów dodatnich. Nawet najlepszy znawca prac Berwińskiego i jego

wszechstronny krytyk, prof. Bądzkiewicz, traktuje go, jako człowieka „niedojrzałego“, jako pisarza, który pomimo wrodzonych zdolności, a wskutek błędnego wykształcenia, stał się indywidualnością „niezrównoważoną“ i przez to jakgdyby niezasługującą, by się z nią liczyć poważnie. Należy dodać że Bądzkiewicz bardzo poważnie opracował życie i działalność Berwińskiego. Jeżeli sąd jego wypadł niezupełnie korzystnie dla Berwińskiego — wina w tem prof. Bądzkiewicza, który nie chciał zapomnieć o swojem społecznem credo i starał się pod tym kątem widzieć moralne wartości rozważanego pisarza. Zrozumiałe, że nie mógł przebaczyć Berwińskiemu wolnomyślnej spowiedzi „W Starym kościele“ lub też czerwonego „Marsza w przyszłość“.

Już z charakterystyki Bądzkiewicza wynika, *co* jest sądem jego o Berwińskim i czy mógł on zachować się zupełnie bezstronnie wobec jego pism. Bo oto w jaki sposób określa go w swej pracy:

„Berwiński, poetyczny bezbożnik, co

wyszydzał wszelkie świętości, urągał pielgrzymom częstochowskim, komentował po swojemu Trójcę Świętą; dowodził, że Ona jest tylko wiekuistą zagadką, rozwijał teoryę hamletowskiego zwątpienia, a za całą ortodoksyę podawał poetyczny obraz namiętności swojej, na której skrzydłach obiecywał ulecieć wprost do nieba.“ (Ateneum, 1887 str. 121).

Już w tem jednem zdaniu zamknięta jest charakterystyka, która dla wielu umysłów może się wydać ujemną. Bądzkiewicz również tylko o ujemności myślał, gdy słowa te pisał. Nie należy on do rzędu oskarżycieli gołosłownych: poszukał dowodów na swoje orzeczenia. Znalazł ich wiele. Fakt, iż Berwiński występuje z gimnazyum w Lesznie i kończy je dopiero w Wrocławiu — jest dowodem dla Bądzkiewicza, świadczącym o niedostatecznem wykształceniu autora „Studyów o liter. ludowej“. Takich „dowodów“ podaje krytyk więcej. Prosty stąd już można wyciągnąć wniosek: skoro Berwiński nie uczył się syste-

matycznie — musiał opiewać nierozważne uczucia i hasła. Tak też osądził Bądzkiewicz. Jest to charakterystyczne, że dla niektórych pisarzy przekonania odmienne są zazwyczaj zboczeniem, lub co najmniej, płodem niesystematyczności, niedouczenia się i t. d

Całe jednak życie Berwińskiego stwierdza wręcz przeciwne rzeczy. Nawet w więzieniu nie przerywa swoich rozmyślań, nawet w Turcyi swoją myśl chyżą wysyła na ziemię polską. Zresztą do owej Turcyi jedzie nie dla kaprysu. Podzielając zdanie wielu współczesnych mu umysłów, że Bosfor powinien być centrem wszechświata, chciał tu z nad Bosforu rzucać promienie, któreby się stały pobudką do odrodzenia polszczyzny. (Fournier: „Théorie des quatres mouvements“). Mickiewicz tu również szukał urzeczywistnienia swoich marzeń. Dla ludzi „statecznych“ te „szaleństwa“ mogą się oczywiście stać powodem, by traktować każdego takiego marzyciela, jako niedorostka.

Berwiński zaś dla każdego bezstronnego badacza przedstawia się, jako jednostka niezwykle kryształowa i konsekwentna w swoich przekonaniach. Od chwili młodzieńczej rozmyśla nad poezyą ludową;— w wieku dojrzałym wypuszcza w świat dwutomowy dokument swoich poszukiwań. Od lat młodzieńczych wyznaje program polityki demokratycznej — odsiaduje długie rekolekcye więzienne nie przez kaprys losu. Marzy w dzieciństwie o sławie rycerskiej;—będąc nad Bosforem w jeździe tureckiej, usprawiedliwia się i wyrzut sobie czyni, z powodu swej nieobecności w pamiętnym roku. Prosi więc:

„Głos potomny
Bodaj nie wyrzekł, żem był wiarołomny,
Bom ja przyrzekał, że pospołu z niemi
Wolność, krew, życie oddam dla tej ziemi".

Nie można rzucać mu zbyt pośpiesznych oskarżeń, nie można sądzić go pobieżnie i jednostronnie.

Jego pogląd na świat dla wielu współczesnych umysłów, — pomimo uprzedzeń,—

stanie się zrozumialszym, niż fanatyczne wycieczki jego przeciwników. Bo i cóż zarzucić mu można, że kochał „matkę naturę?“ Przecież i Goethe do niej wyciągał swoje ramiona. A że w Berwińskim forma jest radykalniejsza—to kwestya temperamentu. Nikt więc nie weźmie mu za złe takich wierszy, jak:

„Ja z nauk zrobić nie chciałem rzemiosła,
Bo mnie myśl wyższa wyżej innych niosła —
Prawdy szukałem!—Zdarłem fałszu maskę
Z oblicza chytrych—z poczciwego czoła“

Szukał on prawdy, szukał tego, co czyni pięknym każdego człowieka:

„Do ciebie w ten czas wyciągałem ręce
Matko—naturo, coś zdrojem uroków
Poiła niegdyś serce niemowlęce.—
Lecz nie piękność czarownych widoków,
Ni woni kwiatów, ni szumu potoków,
Pragnąłem tylko światła i nauki.
Prawdy szukałem“!

Konsekwentność jego poglądu na świat przewija się przez wszystkie jego prace literackie z całkowitą wyrazistością. Nawet w tak specyalnem dziele, jak „Studya

nad literaturą ludową"—daje się odszukać ten wątek. Jest to zresztą zupełnie jasne. Pogląd na świat urabiał w nim sądy o życiu zewnętrznem; życie zewnętrzne dokształcało, uzupełniało jego pogląd na świat. Będąc rewolucyonistą z temperamentu — i w sferze naukowej wygłosił nawskroś rewolucyjną tezę. Sąd swój nad literaturą ludową zamknął w niezmiernie charakterystycznem zdaniu:

„Lud niema samodzielnej twórczości ducha, a jeżeli ją ma, to w takiej tylko mierze mutatis mutandis, jak dziecko; siła jego ducha, a raczej wyobraźni jest tylko reproduktywna. Co w nią wrzucą zewnętrzne stosunki miejsca i czasu, w których żyje, to on podług rozwinięcia władz swoich przetwarza czasami, ale i to nie zawsze. Do tego doświadczenia doszedłem na drodze moich literackich poszukiwań, a utwierdza mię w niem powaga innych naszych pisarzy. Lud zawdy jest taki, jakim go chcą mieć księża, szlachta i rządy krajowe. Myśli on nawet i powtarza w swej ustnej li-

teraturze to tylko, co mu z kolei czasów do przetworzenia poddają te trzy czynniki. Jak go sobie wychowamy, takim będzie lud nasz, a literatura jego taka, jakie wychowanie".

Na swój czas jest to pogląd niespodziany, poczytywano bowiem lud za krynicę niezmordowanej twórczości. Berwiński wręcz odmiennie podaje rezultaty swoich badań, ale nie zapomina o ludzie. Podkreśla, że lud będzie takim, jak go wychowamy. Nie jest to dowolność z jego strony; wynika to z całokształtu jego poglądu na świat. Wolę uważa on za świętość obok namiętności. I dla tego w modlitwie swojej spowiada się dumnie:

... „Ja chcę być, jak niezmierne i bezdenne morze,
Myślą moją—uragan, a modlitwą burza!
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Ja Go widzieć chcę w ogniu olszowego boru,
Słuchać wyroków Jego przez usta piorunu,
Jak Mojżesz, wobec ludu na górze Syonu!
Tobie niechaj do szczęścia pacierze wystarczą,
Ciche skrzydło twych modłów niech dotknie nie-
[biosów,

A serce obumarłe niech ci będzie tarczą
Przeciw pokusom ducha i pociskom losów.
Ja nie chcę ducha pogrześć w grobie własnych [kości
A ciało karmić kąsem prawdziwego chleba—
Raz wsiadłszy jak Eliasz w rydwan namiętności,
Chcę ogniem namiętności żywo wejść do nieba"!

Berwiński należał do ludzi miłych i towarzyskich. Zewnętrznie przedstawiał się, podobno, w następujący sposób:

„Młody Ryszard, miłych form towarzyskich, wymowny, ujmującej zewnętrznej postaci, smukły, regularnych rysów, ciemny blondyn, z włosami naturalnie wijącymi się, nieco długimi, odrzuconymi w tył głowy — sprawiał niezwykle korzystne wrażenie, chętnie był przyjmowany i sam najchętniej uczęszczał do najwykwintniejszych salonów, jakie miało Poznańskie przed laty czterdziestu kilku. Z natury nader uzdolniony, z wysokiem poczuciem piękna, zdobywał wszystko bez pracy, bez wysiłku i mówił o każdym przedmiocie z łatwością i wdziękiem; jeśli dodamy do tego żywość umysłu, wrodzoną wesołość, dowcip, urodę i ujmu-

jącą ogładę towarzyską, to zrozumiemy, dla czego był powszechnie lubiany w pałacykach poznańskich i dla czego lubował się tem życiem, którego nieledwo jedynym celem była zabawa, czy rozrywka".

Zdanie to przytacza prof. Bądzkiewicz. Należy ono do jakiejś damy, która widocznie tylko w salonach widywała Berwińskiego. Dembowski, Libelt oraz inni współcześni, zresztą cały jego dorobek literacki i publistyczny świadczą, że nie tylko w salonach przebywał.

Byłby zapewne Fr. Morawski, człowiek poważny i doświadczony nie przywitał jego twórczości w ten sposób, jak to uczynił w wierszu „o Wieży Kruszwickiej":

„Dołącz i ty gęśl swoją słowiański Ryszardzie,
Pojmiecie się w zawiecznym języku Sarmaty—
On ci starą swą gadkę młody powie bardzie,
Ty mu z łzami zaśpiewasz wielki hymn zatraty".

Miarodajne w tej sprawie jest także zdanie Jarochowskiego, który działalność jego omawia najszczegółowiej. Snadź musiał przywiązywać do prac jego wagę i cenić

go skoro, pomimo zrównoważonych swoich przekonań, zajął się Berwińskim tak poważnie.

O Berwińskim pisali prawie wszyscy historycy literatur, którzy opracowywali dzieje piśmiennictwa po jego śmierci, jak i za życia. Pierwszy włączył go do literatury Dembowski w pracy swojej: „Piśmiennictwo polskie w zarysie“. Następnie pisano o nim stosunkowo niewiele. Najobszerniejszą pracę ogłosił prof. Bądzkiewicz w Ateneum z. 1887 p. t. „Ryszard Wincenty Berwiński“ (wyszła też w oddziel. odbitce).

Historycy literatur sądzą Berwińskiego, zależnie od koteryi. Tarnowski go lekceważy, Chmielowski podkreśla demokratyczny charakter jego poezyi. U niektórych historyków powtarza się często i niekorzystnie zdanie Mizerskiego, który (w r. 1865 № 317) napisał w „Tygodniku Ilustrowanym“, że największą zaletą talentu Berwińskiego jest to, iż mało pisał. Tego rodzaju sąd powtarza się z pokolenia na pokolenie. Jako o śpiewaku miłości, wygłosił odczyt

o Berwińskim poeta Antoni Pilecki (drukowany w „Bluszczu"). W ostatnich czasach zjawiła się też książeczka p. Aurelii Wyleżyńskiej. Z poszczególnych utworów różnym niepowołanym krytykom, najwięcej krwi napsuł „Don Juan Poznański". Niech jednak przestanie przerażać lutnia Berwińskiego! niech stanie się — czem była: pieśnią młodych, marzących serc.

Utwory poetyckie i prozaiczne Berwińskiego, które składają się na książkę niniejszą, wziąłem z dwóch tomików poezyi, ogłoszonych drukiem w Poznaniu i Brukselli w roku 1844, oraz z tomu „Powieści Wielkopolskich", wydanych w roku 1840. Pozatem czerpałem z czasopism ówczesnych, jak: „Tygodnik Literacki", „Przegląd Naukowy" i „Przyjaciel Ludu". Rękopiśmienne utwory przedrukowałem według redakcyi prof. Bądzkiewicza. „Dumę polską napisaną na Babunie Macedońskiej" podaję według redakcyi, jaka się znajduje w dziełku M. Czajkowskiego „Dziwne życia polaków i polek". W dopiskach załączam waryan-

ty oraz wyjaśnienia, dotyczące poszczególnych utworów. Przeszukałem wszystko, co mogło rzucić światło na postać Berwińskiego. Dla pewności jednak, by nie przeoczyć czegoś charakterystycznego—zwróciłem się do doktora Bolesława Erzepkiego, który w uprzejmym liście zakomunikował mi, iż „pomimo skrzętnych kwerend i usilnych poszukiwań nic się ważniejszego z tego właśnie czasu nie znalazło".

Wybór mój przeto zawiera w sobie wszystkie najważniejsze utwory artystyczne; pominąłem rzeczy naukowe i społeczne: oraz kilka takich, których nie dało się ogłosić w Warszawie.

Z tego, co zebrałem można poznać i ukochać twórczość Berwińskiego, ukochać promienne jego wizye, z miłości dla narodu poczęte, ukochać jego marzenia.

Kogo ten ogrom marzeń porwać nie zdoła, — znajdzie tkliwą tęsknotę serca kochającego, znajdzie pieśni Erosa. Wreszcie jeżeli i dla tych uczuć ma wyobraźnię nieczułą, przekonać go powinno za-

miłowanie Berwińskiego do ludu; przekonać go powinny szlachetne poszukiwania prawdy naukowej, któraby odkryła źródła twórczości gminnej.

Pieśni Berwińskiego stanowią w piśmiennictwie naszem piękną kartę, której żadna ręka wyrwać się nie waży.

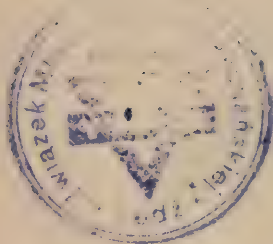
Niech szlakiem żórawim płyną po ziemi polskiej.

*Eustachy Czekalski.*



# KSIĘGA ŚWIATŁA I ZŁUDZEŃ

Wunderlichstes Buch der Bücher
Ist das Buch der Liebe.
*Göthe.*



## WSTĘP I KONIEC.

Motyl — nim krasę lotnych malowideł
Wiatrom da na łup i harce,
Pierw blask kolorów i piękność swych skrzydeł
W ciasnej zasklepia poczwarce.

Morze — nim burzą nawałnic zaryczy,
Pierw zwierciadlane swe fale
Ciszą przegląda, i na dnie ich liczy
Wszystkie swe perły-korale.

Wulkan — nim światu zniszczeniem zabłyśnie,
Pierw ogień w głębiach swych ściska;
I wąż — nim jadem w przeciwnika pryśnie,
Pierw kołem tęczy połyska.

I lud — nim swego upiora, krwiożercę,
Śmiertelnym ciosem uderzy, —
Pierw własnej piersi zapyta — gdzie serce,
I głębie jego przemierzy.

I ja — lecz po co niewczesnej skargi,
Niewczesnej żądać litości!
Dość, że i moje, że te gorzkie wargi,
Piły z kielicha miłości.

Dość, że nim skrzydła oddałem na wiatry,
Nim je brud życia opylił,
Dość, żem niejednę perłę Kleopatry
Z niejednej czary wychylił.

I cóż, że na dnie dopiłem się jadu,
Który w świat będę wyciskał,
Kiedym już tęczą drzemiącego gadu
Tyle przed światem połyskał.

Długo spał wulkan. — Spytasz li ciekawy:
Co mu się w snach tych przyśniło?
Patrz — oto pomnik z wystudzonej lawy,
A na nim napis: „M i n ę ł o!“

---

# PIERWSZE SNY.

Gdy ludzie zasną — a puszcza z puszczą
Gwarzy i jęczy w żałobie,
A wiatry szumią — a wody pluszczą —
Wtedy ja marzę o tobie.

Marzę o tobie — o niewcielona
Serca mojego kochanko,
O tobie — gwiazdo mojego łona,
Mojego nieba mieszkanko!

Marzę i tęsknię — i mleczną drogę
Snów mych zawieszam po niebie;
Ale do nieba trafić nie mogę,
Nie mogę trafić do ciebie!

Porzuć więc, porzuć niebieskie stropy,
Nim dzień sny szczęścia rozpędzi;
Raz tylko twoje anielskie stopy,
Niech ziemskiej dotkną krawędzi. —

Raz tylko niech cię taką zobaczę,
Jaką widziałem w snów szacie;
Potem niech wiecznie tęsknię i płaczę
Po niepowrotnej tej stracie. —

Raz tylko niech mi noc moją czarną
Rozjaśni wzrok twój słoneczny;
A ja za jednę chwilę tak marną,
Oddam ci żywot mój wieczny. —

Za jedno serca twojego bicie —
— Jakiejż zażądasz ofiary? —
Więcej o! więcej, niż wieczne życie,
Miłość ci oddam bez miary. —

A paść jej licem nie będę śnieżnem,
Tak, jakby innym przystało;
Ni rąk uściskiem — okiem lubieżnem —
To wszystko ciało — przez ciało!

Ciało odrzucę — zmysły rozprzęgę —
Duch ziemskie więzy pokruszy;
Świętą przed tobą otworzę księgę,
Magiczną księgę mej duszy. —

Jeśli od światła, co pała w głębi,
Źrenica twoja nie zślepnie,
Jeśli od mroku, który tam ziębi,
Serce ci twoje nie skrzepnie; —

A duma, której piekło zazdrości,
Mej ci miłości nie zbrzydzi;
A miłość, która z aniołmi gości,
Serca twego nie zawstydzi. —

Wtedy ci — wtedy dopiero powiem:
„Niebem mi — niebem twe łono!“
— Lecz pomnij — pomnij, jako tych zowiem,
Co ich tam z nieba strącono!

Pomnij gdziekolwiek — tu i tam — wszędzie,
Wszędzie i zawsze przy tobie —
Cień mój za życia ścigać cię będzie —
A niepokoić cię w grobie!

---

## PIERWSZE ZBUDZENIE.

Byłaś dla mnie snem serca; — pod temi skrzydłami
Zasnąwszy pośród ludzi — śniłem z aniołami. —
Ale biada mi — biada, że zbudzon zawcześnie
Chciałem kielich rozkoszy niedopity we śnie,
Spełnić do dna na jawie; — że prośbami memi
Wymodliłem cię z nieba — przybliżył do ziemi. —
Zaledwie się jej dotkła anielska twa szata,
Wcieliłaś się w zmysłową postać tego świata,
I byłaś na tym świecie, jak jest każda inna,
Choć od każdej piękniejsza i więcej niewinna,
Więcej uboga w próżność — a w miłość bogata!
Wtedy mogłaś na ziemi, w czasie losów burzy
Być dla mnie, czem dla pszczółki jest listeczek róży. —
Ja mogłem żarem uczuć przepalone skronie
Zachować od zepsucia w cnót twoich koronie. —

Czemuż jak dąb wyniosły — dumny wniebowzbiciem,
Chciałem się mierzyć z dzikich namiętności wyciem? —
Zmierzyłem się; — trzasł piorun, — dąb ogniem żądz [spłonął,
Ugasić go nie zdołał — zachwiał się i runął. —

O! biada, biada tobie — tajemniczy kwiatku —
Ciebie obwiał straszliwie szum jego upadku!
I nim zwiędną twe lice — nim zgasną twe oczy,
Pierw robak niepokoju twe łono roztoczy,
A woń wezmą niebiosa — jak duszę anioła,
Kiedy ją Bóg z pielgrzymki na wieczność powoła! —

Ty zwiędniesz, — a ja będę, jak śpiewak szalony,
Co chciał jednym akordem swą duszę upoić,
I uderzył po strónach i wraz pękły strony; —
Dźwięk rozbrzmiał — lecz niesforne zostało mu echo
I arfa, której nigdy nie zdoła nastroić!

Czemże taka pamiątka — smutkiem czy pociechą? —

---

## WSPOMNIENIA.

Byliśmy blisko siebie; — wtedy świat zazdrosny
Zajrzał nam dni szczęśliwych — jak starzec syt życia,
Zajrzy młodym rozkoszy i złotych dni wiosny. —
Nawykły do poświęceń od chwili powicia
Odjechałem. — Świat wielki między nas się rzucił,
Przeciął dni naszej wiosny i szczęście zakłócił. —

Ty samotna — ja tułacz, — a pomiędzy nami
Natrętnik stu chytremi patrzący oczami,
I los szczęściu zawistny! — Ty w cichem ukryciu
Gorzką łzą zmywasz pamięć, która dni twe brudzi;
Ja w kłamanym pokoju, lub burzliwem życiu,
Chcąc sam siebie oszukać — oszukuję ludzi!

Czegóż nie doświadczałem — od głębokiej skruchy
I modłów najgorętszych i twardej pokuty,
Aż do brudnej rozkoszy, niesmakiem zatrutej; —
— Rozkosz mnie nie zabiła — Bóg pozostał głuchy!
A kiedym wszystko stracił w życia poniewierce,
Miłość, nadzieję, wiarę i rozum i serce;
Czemuż pamięć, niestety, zbyt wierna i szczera,
Nie mogąc wskrzesić trupa, grób jego otwiera,
I zimne szczęścia mego odsłaniając zwłoki,
Każe losom złorzeczyć — kląć boskie wyroki! —

Dla czegóż, kiedy świat nas na wieki już dzieli,
Gdy Bóg wysłuchać nie chciał, ludzie nie umieli;
Czemuż pamięć na moje tak głucha rozkazy,
Że choćbym po sto razy i po tysiąc razy
Na jedną chwilę westchnął — potęsknił za tobą;
Sto cię i tysiąc razy w tejże widzę chwili —
I wtedy pieszczotami rozmawiamy z sobą,
Jak niegdyś pieszczotami z sobąśmy mówili. —

Ja cię widzę, — mojemu niewidzialną oku,
W całej twojej piękności i w całym uroku —
W całym cnót majestacie — w całym wdzięków blasku,
Promieniejącą i jasną, jak w świętym obrazku.
Widzę lic twoich niebo i ócz twoich słońce,
Z pod przejrzystej rzęs chmurki ogniem strzelające;
Widzę perły twych ząbków i ust twych korale,
Tak wymowne w milczeniu, — w wymowie milczące; —
Widzę — ach! widzę wreszcie twoich piersi dwoje,
Czystych, niepokalanych, jak dwie morskie fale
I znów na tych dwóch falach składam myśli moje,
Zasypiam na twych piersiach mojemi myślami,
Wznoszę cię do aniołów chóru mymi snami,
I wtedy pierś mi rośnie do ognistej pieśni,
I myślę, że sen taki nigdy się nie prześni! —

Że się nigdy nie prześni! — I cóż się nie prześni,
Kiedyś ty mi się prześnił, śnie mój rzeczywisty;
Śnie miłością tak świetny — złudzeniem tak mglisty,
Że dziś jeszcze — dziś nawet, gdy w ciebie zapadnę,
A szyderczy śmiech świata z marzenia mnie budzi;
Chwytam cienie znikome — sam sobą nie władnę,
I bluźniąc przeciw niebu — nienawidzę ludzi! —

Ach! bo był to sen złoty! — Tyle chwil przeciekło
Od owego zbudzeniem strasznego wieczora,
Kiedy strącony z nieba — poznałem co piekło,
A zda się mej pamięci, że to było wczora. —

Widzę — dłonią dotykam — tak to widzę blizko: —
Wzgórze — na wzgórzu stare szarzeje zamczysko, —
Na tym zamku mech siwy od wieków porasta,
Po tym zamku bluszcz wiotki i powój się splata,
A w tym zamku jest jedna posępna komnata;
W tej posępnej komnacie bywała niewiasta,
I bywał w niej młodzieniec; — dziecinne miał lata,
A był jak dzień, któremu choć wieczorne zorze
Różami na zachodzie poubiera łoże,
I gasnącą skroń w jasny obleje rumieniec;
Wszelako wieczór nie jest, jak piękny młodzieniec,
Którego świetnym blaskiem powiało życie. —
Niewiasta jak lilia, z której puch i kwicie
Burza losów otrząśnie lub robak roztoczy;
Z żalem każden przechodzień zwraca na nią oczy,
A żaden jej nie wróci nadobnej sukienki!
Takie są tej niewiasty przekwitłe już wdzięki,
Przygasłe rannej jutrzni promienie w jej oku —
Lecz jest w tem oku inna potęga uroku:
Taka w niem boleść duszy, w twarzy taka bladość,
Że ch. ćbyś wieki patrzał, tobyś nie miał zadość!

On patrzał co wieczora i patrzał co rana. —
Czasem rano przychodzi — jeszcze nie ubrana —
Włos jeszcze nie trefiony w swobodnym nieładzie —
Na czole jakaś senna chmurka zadumania; —
Lekka suknia zaledwie pierś białą osłania —
Zda się, że przez nią oko wszystkie wdzięki skradzie —

Że pod nią złowi ucho, utajoną skrycie,
Każdą perłę miłości — każde serca bicie!

Czasem w wieczór przypadek jakoś dziwnie zrządził,
Że palcami pomiędzy jej palce zabłądził,
Kiedy książkę z nią czytał — lub ustawiał szachy;
Wtedy krew mu zawrzała w żyłach jak zarzewie,
Jakieś nań niepojęte przychodziły strachy,
Drżał — gdy mówił „dobranoc" — dla czego? — sam nie
[wie; —
Uciekał — lecz co chwila przystawał na ganku,
Wreszcie poszedł, dumając o jutrzejszym ranku. —
I zamiarów dziś tysiąc na jutro układa,
Będzie śmielszy—przysięga,—wszystko wyspowiada —
Będzie prosił — a jeśli prośba nie pomoże,
Powie, że w świat odjedzie — popłynie za morze —
Że ot na morzu z smutku, z rozpaczy utonie;
A ona — ona wtedy skłoni się i spłonie
I powie — nie — nie powie; — ona nic nie powie;
Co miłości po słowach?... miłość stygnie w słowie!
Ona tylko nań spojrzy — nie usunie ręki,
Może nawet, ach! może... Już zasnął, już marzy:
Wyobraźnia bezładnej donuca piosenki,
I plącze dziwnie losy — rozprzęga — kojarzy;
I bez wody puszczona — leci nieraz we śnie
Na skrzydłach archanioła — do nieba rozkoszy!

Tak marzy; — a gdy ranek sen mu z oczu płoszy,
On się gniewa na słońce, że wstało zawcześnie;
I gniewa się i dąsa; — aż przyjdzie godzina,
Kiedy głos jej usłyszy — jej postać zobaczy; —
Wtedy plan, który wieczór wczorajszy napina,
Dzisiejsze rano zmienia, i psuje i targa;
Bo gdy chce o miłości zacząć i rozpaczy,

Głos mu w piersi umiera, drży mu niema warga,
Jako struna bezdźwięczna! — Cóż to wszystko znaczy?
Co znaczy ta lękliwość — któż mu wytłomaczy?...
Może czas — może przyszłość! —

Już rok mijał prawie, —
On zawsze w snach żyjący, a śniący na jawie;
Najczęściej roztargniony, — zagniewany czasem;
Nigdy nazbyt wesoły — a zawsze nieśmiały,
Zkądże naraz tak zmężniał — tak się zmienił cały,
Że z dziecka lękliwego zrobił się Atlasem;
I niebo całe w swoje ująwszy ramiona
Niebo całe w jej wdziękach przyciskał do łona! —
Szczęśliwy, o! szczęśliwy — na czyjem ramieniu
Alabastrowe dłonie przez chwilę zawisły,
I usta koralowe do ust się przycisły,
I oczy w niezgłębionem tonęły spojrzeniu! —
Najszczęśliwszy, kto w takiem duszy zachwyceniu
Na wieki oczy zamknął, lub postradał zmysły!

---

# MOJE SŁOŃCE.

W poranku dni moich spojrzałem na ciebie —
A byłaś jak jutrznia w obłoku. —
I słońce mi moje zabłysło na niebie,
A niebo mi błysło w twem oku!

Patrzałem na słońce! A oto świat cały
Dziwi się i pojąć nie może,
Że wszystkie lilije w mych oczach zciemniały,
Że wszystkie pobladły mi róże. —

I każdy mnie pyta: dla czego, choć młody,
Gdy na świat wzrok błędny obrócę,
Świat widzę za chmurą—choć w czasie pogody—
Dla czego w dzień biały się smucę?

Dla czego się smucę?... dla czego w dzień biały
Spoglądam ponuro i ciemno?...
O bracia! te oczy zbyt długo patrzały
Na słońce — co zgasło nademną!

---

## MOJA GWIAZDA.

Pod wieczór nadziei spojrzałem na ciebie —
A byłaś jak niebo we zmroku;
I gwiazda mi moja zabłysła na niebie,
A niebo mi było w twem oku. —

Jam czuwał noc całą — i oczym me znużył,
Patrzając w tę gwiazdę mych losów;
Patrzałem — myślałem: ażalim zasłużył,
To spadnie na ziemię z niebiosów! —

Patrzałem — myślałem. — W tem gwiazda zagasła—
Noc ciemne rozwarła podwoje, —
Noc ciemna minęła — i jutrznia zabrzasła —
Lecz słońce mi wzeszło nie moje. —

Bez słońca — bez gwiazdy! — A wy się dziwicie,
Że żywot prowadzę tułaczy?
O bracia! Kto serca przewidział rozbicie,
Ten nie dba — co Bóg mu przeznaczy! —

---

## DO ***

(W IMIENNIKU).

Czego żądasz? — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — —
Ach! tylko pamiątki — imienia!
I prawda — czegóż więcej żądać od pielgrzyma,
Który nic — nic innego na tym świecie nie ma,
Prócz serca nieznanego nikomu — nikomu —
Prócz pieśni, które nosi od domu do domu. —
I prócz życia, któremu częstokroć przeklina,
I prócz Boga, o którym nieraz zapomina!

O! nie chciej—nie chciej nigdy takich ofiar żądać,
Nigdy w serca podobnych ludzi nie chciej wglądać —
Bo wierz — gdybym tę otchłań otworzył przed tobą,
Duszaby się twa czarną okryła żałobą,
I drżałaby przestrachem — jak drży ranna zorza,
Kiedy z czystego nieba spojrzy w otchłań morza! —

O! nie chciej — nie chciej nigdy szukać w moim śpiewie
Pociechy — lub zabawy — lub pochlebstw kadzidła —
Pieśni me są to kwiaty na zatrutej niwie —
Choć liść mają zielony i błękitne skrzydła —

Strzeż się — pod niemi zdradne czołgają się gady
A w woni ich ukryte są zabójcze jady!

Więc kto myśl swoją złoży na kwiatach mej pieśni,
Cały sen życia tego niepokojem prześni!

Jeśli spytasz — dla czego wieczna niepogoda
W mojej duszy — i czemu lutnia moja młoda,
Choć złota — dziś i jutro gra na smutną nutę,
I czemu pieśni moje tęsknotą zatrute;
Słuchaj — niedawno grałem na matki pogrzebie,
I tam ostatnia struna wesela mi pękła;
A ta, co pozostała — tak żałośnie brzękła,
Że zaiste niewarto grać na niej dla ciebie.

---

# ŻEGLARZ.

(W IMIENNIKU).

## I.

Ledwo świat błysnął — jam łódź od ziemi
Zepchnął na morze żywota;
I odtąd płynę z losami memi,
Nie dbam pogoda — czy słota!

Choć burze ryczą — choć szumią fale,
Kłócą się wichry zwaśnione,
Nie trwożę sobą — ani się żalę,
Że nim przepłynę — utonę. —

Jużem ja dzisiaj to dzikie morze
Poślubił z sobą na zawsze;
Dawniej myślałem, że Bóg mi może
Przeznaczył losy łaskawsze —

Dawniej myślałem, że raz te wały
Wód rozdąsanych przepłynę,
I nim się łódź ta strzaska o skały
Do portu szczęścia zawinę. —

Na wielkiem rzeczy myśl mą odważył,
Aż oto niebo mnie karze;
I o czem dawniej na jawiem marzył,
O tem dziś we śnie nie marzę!

Nie mam nadziei! — Więc łódź kieruję
Naprzeciw wodzie i prądu;
A choć niejeden dzień już żegluję
Nie tęsknię przecież do lądu. —

Bo po kim tęsknić — za kim się smucić?
Sterniku — żagle do góry!
Gdybym mógł ziemię raz wtóry rzucić,
Tobym ją rzucił raz wtóry!

Lepiej mnie tutaj morskie bałwany
Spokojną piersią rozcinać,
Niż krwawić serce nowemi rany,
Nowe nadzieje przeklinać.

Dziś już zapóźno!—Wczoraj—Bóg świadkiem,
Że losy śmiały się ze mnie,
Gdym raz ostatni — uczuć ostatkiem
Do ziemi westchnął tajemnie,

A jakże — jakże westchnąć nie było,
Kiedy na krańcu tej ziemi,
Ujrzałem postać, o której śniło
Serce me snami złotemi!

Ujrzałem — kogo?... napróżnom pytał,
Dla wszystkich obca niestety
Ale pamiętam, com dawniej czytał
W księgach starego poety;

I niańki mojej pamiętam gadki,
    I ojca pomnę przestrogi;
I sióstr zaklęcia i prośby matki,
    Gdym się gotował do drogi:

„Strzeż się — o strzeż się, synu jedyny,
    „Płynąć śród życia powodzi,
„By zwodna postać morskiej Syreny
    „Nie zczarowała twej łodzi. —

„Piękna to postać — cudowna postać:
    „Lecz dosyć wiedzieć ci tyle,
„Że biada temu, ktoby chciał zostać
    W jej sercu jednę choć chwilę!“

Tak mi radziła matka stroskana;
    Jam przysiągł rady pilnować,
A prawie byłbym przeszłego rana,
    Zapomniał przysiąg dochować. —

Gdyby nie morze, co łódkę nagle
    Ku innej stronie porwało,
I gdyby nie wiatr, co zadął w żagle;
    Pan Bóg wie, coby się stało! —

## II.

I cóż się stało z łódką żeglarza?
    Jeśli ciekawie kto spyta —
Niech nieudatnej mowie pobłaża,
    I co napiszę przeczyta. —

Stałem ja długo na morskim brzegu,
Wsparty o skałę granitu;
I łódź ścigałem tańczącą w biegu,
Wpośród wód morskich błękitu. —

Na łódce żeglarz siedział milczący,
Spokojnem okiem spozierał,
Jak wał syczący, wspięty — ryczący,
Z dzikim się wichrem ucierał. —

Ależ o cudo! — tam przed nim zdala
Dziwne się jawią igrzyska;
Na dwoje pęka przejrzysta fala,
I mętne toczy koliska. —

Toczą się koła — wiją i kręcą,
Kręcą i toczą i wiją;
To się odepchną — to się przynęcą,
To białą pianką okryją.

I znowu pianka na dwoje pęknie,
We drobne kropelki rozpryśnie;
Szyba wód szklannym dźwiękiem zadźwięknie,
I coś z pod wody zabłyśnie. —

Błyśnie i rośnie — wznosi się, szerzy,
Już widne piersi i lica;
A żeglarz patrzy — patrzy, nie wierzy,
Że przed nim płynie dziewica! —

Płynie i płynie — chyżo i lekko;
Lica i piersi mgła kryje —
Lica, jak koral rzucony w mleko,
Piersi, jak wodne lilije!

Ujrzał ją żeglarz — bladość księżyca
Na czoło jego się kładnie;
Jakaś w tej trwodze jest tajemnica,
Lecz któż ją — któż ją odgadnie? —

III.

Kto ją odgadnie?... Żeglarz wziął lutnie,
Oko ku niebu podnosi;
Uderzył — lutnia zabrzmiała smutnie
O posłuchanie was prosi:

„Czyś aniołem z nieba zbiegła,
Abyś łodzi mojej strzegła
Od nawalnych burz;
Czyś odziana białą pianką
Osłonięta wdzięków tkanką,
Jest bóstwem tych mórz;

Słuchaj — słuchaj! — Porzuć czary,
I te morskich wód obszary,
I tę płochość rzuć;
Słuchaj, słuchaj! — Szczęście ziemi
Cnoty twemi — wdzięki twemi,
A mnie pokój wróć. —

„Tam — tam w lesie, kędy ciszą
Smutne jodły się kołyszą,
Tam jest domek mój;
A za domkiem niedaleko,
Słodszy, bielszy niźli mleko
Płynie szczęścia zdrój:

„Nie wzgardź, nie wzgardź małej chatki;
Większe znajdziesz w niej dostatki,
Niż wśród morskich fal;
Aż do zbytku znajdziesz wszelkie
Cnoty świetne — zbrodnie wielkie,
Łzy — rozkosz i żal: —

„Znajdziesz wszystko! — Więc jeżeli
Zachcesz słyszeć szum topieli,
I muzykę burz;
Wtedy jasne twoje skronie,
Tu na mojem dzikiem łonie,
Tu na sercu złóż. —

„Znajdziesz burzę! — A jeżeli
Zachcesz usnąć na pościeli,
Z gwiazd, niebios i róż
Znowu jasne twoje skronie,
Tu na mojem cichem łonie;
Tu na sercu złóż. —

„Znajdziesz pokój — znajdziesz ciszę
Pieśń cię moja ukołysze,
W archanielskim śnie;
Ni cię smutek zakłopoce,
Ni ponure ciemne noce,
Ni burzliwe dnie. —

„A gdy znęci cię blask złoty,
Drogie perły i klejnoty;
Mam ja skarby — mam!
A tych skarbów nikt nie skradnie,
Wszystkie leżą skryte na dnie,
W mojej piersi — tam!“

* * *

## IV.

On taką pieśnią, — ona go nęci
Powabem oka i lica —
Prawie jak owa — świętej pamięci,
Sławna Świteziu dziewica. —

Prawie tak samo; — i sprawiedliwie,
Mógłby mnie krytyk oskarżyć,
Żem Świteziankę nie dość szczęśliwie
Chciał w tej Syrenie zżeglarzyć. —

Bo i w baladzie, i w moim śpiewie
Są sine brzegi i wody,
I blask księżyca — jodły — modrzewie,
I chłopiec piękny, a młody. —

Jedna się tylko mała spotyka
Pomiędzy niemi różnica,
Że ona, zamiast malin z koszyka,
Koszyk mu dała — zwodnica!

---

# TAJEMNICA.

ROMANS.

(NA PAMIĄTKĘ...).

Jarzą się światła — błyszczą kagańce;
Na zamku hałas i wrzawa;
Po salach skoczne plączą się tańce,
I głośna toczy zabawa.

Dymią trójnogi — wonią sorbety,
Przepych się w zbytku kryształi;
Wszyscy weseli — tylko niestety
Jedna twarz smutna na sali!

Wszyscy weseli! — Błyszczą kagańce,
Na zamku hałas i wrzawa:
Po salach skoczne plączą się tańce
I głośna toczy zabawa.

A tam na dworze szum-zawierucha,
Burza — pioruny — ulewa!
I któż tam—któż tam przed zamkiem śpiewa,
Kiedy nikt w zamku nie słucha.

Bo co go słuchać — to piosnka stara,
W każdym jej dźwięku trucizna;
Każde jej pierwsze słowo: Bóg — wiara,
A każde drugie — Ojczyzna!

Czyż na to wpuszczać nocne włóczęgi,
By swemi skargi przerwali:
Muzykę — śmiechy i skoczne kręgi
Co się dziś plączą po sali? —

Tak sobie mówi jeden i drugi,
Aż wieść ta księżnej dobieży;
Księżna w dłoń białą klaśnie na sługi,
Skinie na swoich rycerzy. —

Sypła się służba — rycerze wstali,
Wstały i panie i pany —
I wszedł powolnym krokem do sali,
Kto taki?... Śpiewak nieznany.

Niech będzie rzecze — Bóg pochwalony —
I wzrok ku niebu obróci;
I wieszcze palce kładzie na struny:
I z pełnej piersi zanuci.

Ale co nucił?... nikt mi nie umiał
Powiedzieć z tego ni słowa;
Wszyscy słuchali — nikt nie rozumiał,
Tak ciemna pieśni osnowa.

Tylko się jedna twarz dotąd blada,
Żywym rumieńcem oblała;
Nie wiem — czy pieśni treść zrozumiała,
Czy też gościowi nierada?...

## PRZESTROGA.

Kobieto! — odwróć wzrok twój od mojej źrenicy,
Przestań szukać w mem oku serca tajemnicy; —
Bo wierzaj — że niebacznie w serce moje wglądasz,
A żądając spojrzenia — nie wiesz czego żądasz! —
Nie żądaj! — Ale pozwól, niech w niemej rozpaczy
Kolano ciebie uczci — a mnie wytłómaczy.

Niebaczna! ty się śmiejesz, że przed tobą klękam,
I głowę moją skłaniam, a spojrzeć się lękam —
O nie śmiej się! i raczej proś stróża anioła,
Abym nigdy nie podniósł schylonego czoła;
I nigdy z pod ciemnego mych myśli obłoku,
Oka mojego w twojem nie utopił oku,
W tem oku tak przejrzystem, jak zwierciadło wodne,
Przez które niebo widać jasne i pogodne!

Gdybym ja z szczytu cierpień mych spojrzał na ciebie,
A z chmury, która czarno zeszła na mem niebie,
Kilka tylko kropelek na twą duszę spadło —
Jużby się zamąciło to czyste zwierciadło —
I od tych kilku kropel zgorzkłoby ci życie,
I możebyś mi później złorzeczyła skrycie!

## JAWNOGRZESZNICA.

„Le veggio in fronte amor come in suo seggio,
„Sul crin, negli occhi,—su le labra amore
„Sol d'intorno al suo cuore amor non veggio."

Pięknaś jak anioł! zdumiony świat woła —
Piękniejszaś, wołam, nawet od anioła —
Nie anioł wdzięków — lecz sam Bóg miłości
W tobie, o piękna, między nami gości! —

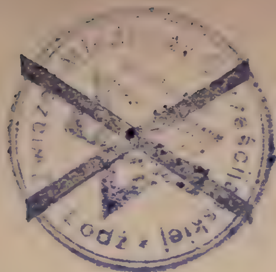
Oko twe — miłość w twem się oku żarzy —
Miłość na czole zadumaniem marzy —
Miłość z ust twoich bawi się uśmiechem,
Miłość muzyką gra w twojej rozmowie,
Miłość w milczeniu — miłość w każdem słowie —
A ty powiadasz, że miłość jest grzechem?

Jeśli to prawda — o jawnogrzesznico,
Płacz z Magdaleną — i w świętej pokorze
Dni twoje czarną okryj włosienicą,
Nocami twarde zalegaj rogoże —
W szczerej pokucie i w głębokiej skrusze
Ratuj, o ratuj grzeszną twoją duszę!

Ach! bo ty grzeszysz każdem twojem tchnieniem,
I każdem słowem, i każdem spojrzeniem —
Grzeszysz urokiem ócz twych tajemniczym,
I włosem kruczym i śnieżnem obliczem —
Grzeszysz łzą smutku, grzeszysz ust uśmiechem,
Jeśli to prawda, że miłość jest grzechem!

Jeśli to prawda — o piękna grzesznico,
Przestań być piękną — lub się zrzeknij świata —
Bogu się poświęć — zostań zakonnicą —
Siostro w Chrystusie! Znajdziesz we mnie brata; —
A niegodnego rozwiązać rzemyka
U stóp twych — weź mnie — weź za spowiednika!

---



## O CÓRO EWY!

O córo Ewy — zaniechaj uśmiechu,
Lub jak Adama skusisz mnie do grzechu!

Twoje usteczka gdy uśmiech ozdobi,
Takie w nich wdzięczne dwa dołki wyżłobi,
Że mnie ustawnie coś do ucha szepce:
Tutaj stróż anioł śpi w wdzięków kolebce!
I dumać wtenczas zaczynam o raju,
O dniu stworzenia i księgach rodzaju. —

To znowu z tobą, gdy w tańcu zatoczę
I płynąć ujrzę dwa złote warkocze;
Kiedy pierścieńmi twą kibić obwiją,
Kiedy się pieszczą z twą łabędzią szyją;
Wtedy o jakichś marzę tajemnicach,
O jakimś grzechu — o pierworodzicach;
I tyś mnie wtenczas podana do drzewa;
Na którem owoc życia już dojrzewa;
A twoich włosów migające sploty
Podobne mi są do węża niecnoty,
Co zwiódł Adama i mnie kusi zdradnie,
Bym owoc zerwał, nim zwiędły opadnie!

## DWIE PROŚBY ŚPIEWAKA.

### I.

Byłem stwórcą miłości, — na moje rozkazy
Miałem serca i dusze; — raz dźwięk mojej pieśni
Był jak w puszczy pielgrzymom cichy szmer oazy:
Snem serca, o którym się tobie nawet nie śni;
Stróż anioł czuwający nad cichem marzeniem,
Osłaniał je, jak palma, białych skrzydeł cieniem.

To znowu pieśń natchnieniem i uczuciem wzrosła,
Jak huragan straszliwy ze snu się podniosła,
I przebiegła po duszy, jak burza po morzu!
A sny jej żeglujące po niebios przestworzu,
Jako ptaki wędrowne przed tą pieśnią pierzchły
I marzenia jak gwiazdy w błękicie zamierzchły,
A tęsknota, żal, rozpacz i smutek i trwoga
Wstały w sercu słuchacza, jak na rozkaz Boga,
I póty niem miotały w dzikich uczuć walce,
Pókim na wieszczej lutni trzymał wieszcze palce!
Ja mistrz i stwórca pieśni, com miał na rozkazy
Najpiękniejsze uczucia — najczulsze wyrazy,
Ja król dźwięków,—dziś żebrak w laurowej koronie,
O jedno słowo proszę i tak błagam o nie,

Jakbym w tem jednem słowie przeznaczenie całe,
I wielkość miał usłyszeć, i szczęście i chwałę!

O! przemów—niech mi z ust twych zabrzmi głos [wyroku,
Lub niechaj usta milczą — pozwól mówić oku!

## II.

Skąd tobie taka śmiałość — śpiewaku zuchwały,
Że rządząc sercem ludzi—chciałeś wzruszyć skały—
Skałę wzruszyć twą pieśnią!—Gęślarzu szalony,
Skąd tobie dłonią karła brać za wieszcze struny
Olbrzymiej, czarnoksiężkiej lutni Orfeusza!

Jeślim zgrzeszył—grzechowi wyrówna pokuta.
Tyś skałą pozostała, do której ma dusza
Łańcuchem przeznaczenia na wieki przykuta,
Wycierpieć musi brzemię mąk Prometeusza! —
I chętnie cierpieć będę; — nigdy głośnej skargi
Nie zaniosą przed ciebie te spragnione wargi;
Nie żądam nawet echa, które w głazach budzi
Głos ponurej rozpaczy, wzniesiony przez ludzi! —
Cierpieć będę w milczeniu! — Tę tylko niewinną,
Tę jednę tylko prośbę — tę prośbę dziecinną,
W pacierzu zamiast prośby powszedniego chleba,
W modlitwie zamiast modłów poniosę do nieba;
Ażeby sęp pamięci, krwią moją zbroczony,
Na głazie twego serca zaostrzał swe szpony!

---

## DO JEDNEJ, — DLA WSZYSTKICH.

O wiem ja — wiem niestety! wam Laura w pamięci,
Młodsza siostra Parnasu starszych Muz dziewięci;
Szczęśliwa — dla niej serce pękło, i rozdarte
Po dziś dzień jeszcze dla niej krwią i pieśnią kwili. —
O wiem ja — wam w pamięci Laura i Astarte;
A ty może zazdrościsz losu tej Maryli,
Dla której duch Gustawa tak upadł i zmalał,
Że w grobie jeszcze płakał i z miłości szalał!

O wiem ja — z waszem sercem próżność nierozdzielna!
I ty moją miłością chcesz być nieśmiertelna; —
Wierzaj więc — gdybym panem mógł zostać tworzenia,
I nowy Deukaljon mógł wskrzeszać z kamienia
Wszystko — co kiedykolwiek śniło się na świecie
Marzącemu o niebie wieszczowi-poecie;
Gdybym wszystkie sny moje mógł w głazy powcielać,
I nadać im postacie, i żywe w nie przelać,
Jednębym tylko stworzył — twą bym stworzył postać,
By jak Bóg,—w nieśmiertelnej—nieśmiertelnym zostać!...

---

## BŁOGOSŁAWIEŃSTWO.

Błogosławiony! — kto jak zimna skała,
Wielka i dumna — martwa, skamieniała —
Sercem i czuciem zaśnie w własnem łonie,
A głową w chmurach tajeminc utonie!

Błogosławiony — i błogosławiona
Ręka śmiertelna, która wskrzesić zdoła
Serce zamarłe śród wielkiego łona;
Błogosławione oko, które spłoszy
Posępne chmury z natchnionego czoła!
Błogosławione, które po nad niemi
Ujrzy raj szczęścia i niebo rozkoszy,
I blask, o którym nie śni się tej ziemi!

Błogosławiona, która się ośmieli
Omylić baczność mych aniołów stróży,
I próg przestąpi i raj mój podzieli,
I wespół ze mną w niebie się zanurzy!

Ja dni jej blaskiem tysiąc słońc ozłocę,
Gwiazd milionem rozjaśnię jej noce;
Tęcze stubarwne dam jej za wezgłowie,
Pod nogi niebios mych rozścielę stropy,
Piorunom każę całować jej stopy,
A archaniołom czuwać przy jej głowie!

Błogosławiona — która w mojej duszy,
Wzniosłej jak wielkość — zimnej jak opoka;
Struny drzemiących tajemnic poruszy,
I głaz na arfę zamieni proroka!

Ja ją obwieję gwarem milionów
Najczarowniejszych, harmonijnych tonów!
Świat cały dla niej pieśniami rozczulę,
Ziemię rozdźwięczę i niebo roznucę;
Śpiewem zastępów do snu ją utulę,
Śpiewem wesela do szczęścia ocucę. —

Będzie szczęśliwa! — A kiedy ją znudzi
Znane oblicze — znanych miejsc i ludzi;
Na skrzydłach pieśni stęsknioną poniosę
Jakbym w tem jednem słowie przeznaczenie całe,
Przez niezbrodzone, wonne morze kwiatów,
Pomiędzy puszcze palm zielonowłose. —
Na jej usługi aniołów zastępy
Zejdą znów z nieba na dolinę Tempy!

Zechceli widzieć daleką i mglistą
Wielkość grobową — świętą — po-ojczystą
Ja groby zaklnę, — a na to zaklęcie
Przeszłość stu mogił przełamie pieczęcie;
Od wieków zgasłe otworzy powieki
Ażeby w pieśni żyć na wieków wieki!

Zechcieli przyszłość macierzystą zbadać,
Niebu się przed nią każę wyspowiadać;
I młody prorok z starego Wawelu,
O nowym wróżyć będę Zbawicielu!

———

# OSTATNI ROMEO.

„Żegnam cię, żegnam! — Dzień biały tak blisko —
„Bywaj mi zdrowa — snów moich hurysko —
„Chwilę rozstania chciej skrócić! —
„Serce skrwawione i duszę rozdartą,
„I pamięć biorę nigdy niezatartą;
„Lecz ciebie muszę porzucić“.

„ „O nie — mój drogi! — ja cię kocham tyle —
„ „Przez miłość moją — jednę jeszcze chwilę,
„ „Nim się w świat rzucisz daleki!“ “
„Widzisz — już słońce na wschodzie zabrzasło,
„Słyszysz — skowronek zadzwonił dnia hasło —
„Bywaj mi zdrowa na wieki!“

„ „O nie — mój drogi! — to nie był blask słońca.
„ „To księżyc — wierny kochanków obrońca —
„ „Pod nasze ściele się nogi;
„ „To nie skowronek — to miłości ptasze,
„ „To słowik szczęście ośpiewuje nasze —
„ „Zostań — o zostań mój drogi!“ “

„Nie łudź mnie — nie łudź! — Ja znam tę piosenkę —
„Ach! ona wita wolności jutrzenkę —
„Noc płonnych marzeń zagasła. —
„Ludzkość się budzi! — Słyszysz ten gwar dziki?
„Patrz — księżyc pobladł — umilkły słowiki —
„Trąba ......... zawrzasła! —

„Prędzej, — o prędzej, kończ twoje pieszczoty!
„Śmierć na mnie czeka — koń zarżał przed wroty —
„Z łez smutne otrzyj powieki!
„Bo biada temu — kogo zmartwychwstanie
„U nóg płaczącej niewiasty zastanie —
„Bywaj mi zdrowa na wieki!“

---

# DON JUAN POZNAŃSKI

## POEMAT BEZ KOŃCA

But „laisser aller"—knights and dames I sing
Such as the times may furnisch.

*Byron.*

## PIEŚŃ I.

— — — ὦ τύραννε Θεῶν τε κἀνθρώπων, ᾿Ερως.
*Euripides.*

Ach! — To westchnienie nie mój bohater,
Lecz ja wysyłam aż za Styx;
I wzywam ciebie — o! alma mater,
O Venus, alma genetrix!

Przychodź i wspieraj — ty i twój nagi,
Twój srebrnopióry podlotek;
Niech was nie trwożą groźne uwagi
Mądrych bab — starych dewotek;

Niech was nie łudzi wierzchnim pozorem
Cnota skromnością nazwana;
Co w długiej sukni chodzi wieczorem,
W białej spódnicy od rana.

Nie zawsze biały kolor spódnicy
Jest niewinności kolorem:
Nie każdy ubiór, długi przy świecy,
Długim bez świecy ubiorem. —

Niejedna z naszych skromnych purystek,
Którą wasz widok rumieni,
Pod długą suknią zgubiła listek,
Nim go szron zwarzył jesieni. —

Więc i bez listka — byle z przepaską,
Ty, i skrzydlaty twój trzpiotek,
Przybądź i swoją zaszczycaj łaską
Tę pieśń miłości i plotek. —

Miłość chcę śpiewać; — o, alma mater;
A czas przyjazny ucieka!
Już niecierpliwy pieśni bohater
I bohaterka nas czeka. —

* * *

Ach! jakże czule — jakże namiętnie
Wyznali sobie swą miłość!
Jabym to wszystko zamilczał chętnie,
Gdyby nie zdarzeń zawiłość,

Która szczególnym wypadków stekiem,
Z tą mnie związała powieścią;
Bom i ja raz był słabym człowiekiem,
Kochałem — próżność niewieścią. —

Dziś mówię próżność, — lecz przed kwartałem,
Gdyby się był kto ośmielił
Nazwać tę miłość próżności szałem;
Byłbym mu, jak psu, w łeb strzelił.

Bo przed kwartałem, jak każdy inny,
I jam się kochał — w aniele!
A był to anioł taki niewinny,
Jak w katolickim kościele. —

Wtenczas, dalibóg, żem bardziej kochał,
Niż Mars, gdy w zdradne wpadł sieci;
I głębiej wzdychał i głośniej szlochał,
Jak wszyscy nasi poeci.

Cokolwiek zatem na ten serdeczny
Wyśpiewam światu dziś temat;
Wyśpiewam może zły, niedorzeczny,
Ale prawdziwy poemat.

Bo że poemat — nawet co zrzadka,
Nadzwyczaj czuły i tkliwy —
Nic w tem dziwnego — lecz w tem zagadka,
Że to poemat prawdziwy.

Czego imiennie mógłbym wam dowieść;
Lecz zamiast ludzi obnażać,
Pozwalam raczej i rzecz, i powieść
Za moje własne uważać.

Ten tylko wybieg maleńki zrobię,
Dla omylenia pogoni,
Że będę mówił w trzeciej osobie,
Gdzie mowa o nim, lub o niej.

A jak zacząłem, prowadzę dalej,
Mniejsza, żem zaczął w połowie —
Bo dość jest wiedzieć, że się kochali; —
Co się odkryło w rozmowie,

Lecącej z rosą na westchnień fali,
A podchwyconej przeze mnie,
Z której poznałem, że się kochali,
A kochali się wzajemnie.

* * *

Było to jakoś — nie pomnę dobrze,
Którego w roku miesiąca;
Tyle wiem tylko, że nie w Oktobrze, —
Bo noc to była z tysiąca

I jednej nocy — tysiączna druga,
Ta pełna czarów — uroku; —
W powietrzu jakaś rozlana struga
Woni światłości i mroku.

Nad ziemią lekki srebrnej mgły tuman,
Po trawach rosy kryształy,
Niebo zamglone — księżyc zaduman,
Z pod chmur wyglądał niecały, —

A wokół cisza; — tylko wiatr z lekka
Po liściu szemrał i brzęczał,
I głucho blizka szumiała rzeka,
I słowik w gaju gdzieś jęczał.

Było to jakoś — a zresztą mniejsza,
Czy w końcu maja czy kwietnia;
Dość, że to była najrozkoszniejsza,
Prawdziwie polska noc letnia.

Noc polska wszystkich nocy powaby,
I wszystkich krajów ma wdzięki:
Muchy — komary — chrabąszcze — żaby,
Bębny — a nawet bębenki. —

Nie wiem, czy w takiej klasycznej chwili
Ponad komary, owady,
Leciał ów Troil do swej Troili,
Na skrzydłach czułej tyrady;

Lecz to wiem pewno, że w takiej chwili,
Okryci gęstych drzew łozą,
I on i ona z sobą mówili,
Nadzwyczaj czule, choć prozą.

Mówili z cicha, — lecz że wiatr dmuchał,
Właśnie od strony dąbrowy,
Przetom niechcący całej podsłuchał
Dwojga kochanków rozmowy.

Mówili zrazu nienajwyraźniej
O jakichś uczuć ekstazach;
Coś o miłości — coś o przyjaźni —
A wszystko w ciemnych obrazach.

Lecz z każdą chwilą jaśniejsze światło
W te się obrazy zlewało;
On je wymową dzierzgał i na tło
Rzucał oczyma tak śmiało,

Żeby i Rembrant nie był w tym razie
Mistrzostwu jego mógł sprostać;
Bo tu sam malarz, w własnym obrazie,
Najwybitniejszą miał postać.

Ogień wrzał w każdem krwi jego tętnie,
Ogień wrzał w ustach — w spojrzeniu;
Patrzał namiętnie — mówił namiętnie;
Ona słuchała w milczeniu.

Tu przedewszystkiem wyznać należy,
Boć to nielada zaleta;
Że ona była, któż mi uwierzy?
— Wcale niezwykła kobieta.

Wyższa nad marne przesądy świata,
Gardziła formą przyjętą:
W bliźnim uznawać nie chciała brata,
Ani uchodzić za świętą.

Słyszałem później — nie ręczę wszakże,
Czy to prawdziwe są wieści,
Że prócz przyszłości, stało tam na grze
Przeszłych lat blizko trzydzieści,

I reszta wdzięków!... Na poniterce
Różnych lancknechtów i sztosów,
Przegrawszy młodość — dziś na grę losów
Stawiła rękę i serce. —

Stawiła mało — mniej jeszcze pragnie,
Zrzekła się mitry książęcej —
Nic więcej — tylko parolik zagnie
Ze słowa k o c h a m — nic więcej!

A słowo k o c h a m łatwo się powie —
— Zaczęła panna Aniela,
Która, jak Chrystus, w tem jednem słowie
Tysiące głodnych obdziela,

I jeszcze w końcu — (tu niechaj księża
Świętych nadstawią mi słuchów) —
W końcu uzbiera jeszcze dla męża
Z jakie pięć koszy okruchów! —

Niech i tak będzie! — Świata całego
Zostać bocianem — niezdrowo!
Zresztą, to k o c h a m — Bóg wie dla czego,
Jednak prześliczne to słowo.

Jest to cudowny miłości mostek,
Ponad przepaścią rodzaju,
Po którym młody wkracza podrostek
Raz pierwszy z ziemi — do raju! —

Czy nasz bohater w dwudziestym roku,
Przejść go się śmiało odważy?
Nie wiem — lecz tyle widziałem z boku,
Że drżał — choć ogień miał w twarzy.

A co słyszałem — przyznam otwarcie,
Że drżę przy samej już wzmiance;
Jabym dalibóg nie mógł i w żarcie
Tak się zaklinać kochance.

Bo te zaklęcia i te kochanki,
To niebezpieczne są żarty;
Proszę no wspomnieć na Świtezianki,
Albo na widmo Astarty.

Astarte — piekło?... quod non, per Bacco!
A jeszcze gorzej w jeziorze —
Za życia kochać — to jako tako —
Ale po śmierci — broń Boże!

Dawniej, przyznaję, że było w modzie
Kochać tak wiernie — zaciekle,
Lecz dzisiaj trochę za zimno w wodzie,
A za gorąco nam w piekle.

Nie kochać zatem?... jakto — i wcale,
I nic nie kochać i za nic?
Ach! gdzie tam; — kochać zapamiętale.
Kochać bez miary — bez granic —

Lecz nie przysięgać! — to moja rada;
Bo kto przysięgę naruszy,
Ach, biada jemu za życia, biada,
I biada jego złej duszy!

On — czy tej całej nie znał balady,
Kiedy się kochać zaczynał;
Czy mniej dbał na jej rady i biady —
Dość, że się strasznie zaklinał —

Przez krew, co z wszystkich serc dotąd ciekła,
Wszystkich Gustawów — Werterów;
Przez wszystkie męki — przez wszystkie piekła,
Dantów, Dantyszków, Homerów —

(Czemu Homerów?... Otwartość szczera,
A raczej szczerość otwarta,
Wyznać mi każe, żem tu Homera
Wspomniał dla rymu — bękarta

(Co rzekłszy krótko i nawiasowo,
Dla tymczasowej odsieczy
Przeciw krytyce, — cofam się zdrowo,
I wracam prosto do rzeczy):

Klął się daremnie; — czystą Westalkę
Prędzejby od niej był wzruszył! —
— Tak wódz, niejednę gry przegrał walkę,
Że nazbyt siłom swym tuszył; —

Później — na swego współzapaśnika
Nim cios niechybny wymierzy;
Pierw skryte jego plany przenika,
Zdradnym obrotom nie wierzy; —

Sam się maskuje — powściąga zapał —
Zgubne zasłania czeluści, —
A gdy go wreszcie do matni złapał,
Już więcej zdrowo nie puści; —

Podobnież ona — nieubłagana,
I nazbyt długo niezgięta;
Choć trzykroć przed nią padł na kolana,
A miał pantalon od święta; —

Choć ręce łamał — choć się zaklinał —
Tak bardzo była ostrożną,
Że i kwas pruski — że i puginał
Wspomniał po trzykroć — napróżno! —

Ale jak straszna — nawalna burza,
Im głębiej piorun swój kryje —
Im dalej chwilę ciszy przedłuża,
Tem głośniej w końcu zawyje; —

A gdy się wyrwie z czarnych chmur łona,
W huku piorunów i grzmocie,
Dąsa się — zżyma, — póki nie skona
W ulewnym deszczu i — błocie; —

Podobnież u niej — burza, co skrycie
W głębi się serca zbierała,
Zabłysła wreszcie na ócz błękicie
I w słowie kocham zagrzmiała! —

A wtenczas obaj — i on i ona —
Jak dwóch przeciwnych gór rzeki,
Gdy sobie w mokre wpadną ramiona,
Łączą się z sobą na wieki;

Tak mówię wtenczas — i on i ona
W wzajemne padli objęcia! — — —
A noc to była — i z gwiazd korona,
Jak na obrazie poczęcia.

Błyszczała świetnie ponad ich czołem
Proroctwem blizkiej hosanny! —
A że on nie był pańskim aniołem,
Ni ona panną nad panny —

Więc to umniejsza moją bezbożność,
Żem począł dumać i badać,
Czy w zwiastowaniu jest pewna możność,
I jak ją sobie wykładać?

Dumałem długo — i prawie, prawie
Całego-m doszedł sekretu;
Może go nawet światu wyjawię,
Ale nie dzisiaj — i nie tu!

Bo na klasycznych ćwiczony wzorach,
Nad wszystko cenię porządek,
I światło — nawet w ciemnych kolorach,
I nawet w bredniach — rozsądek.

Niech więc romantyk, jako chce skacze
Z końca do końca piosenki;
Lecz że mnie tutaj właśnie rozpacze
I łzy potrzebne i jęki —

Więc się zatrzymam, dopóki świadka
Nie wysłuchacie w księżycu,
Że się tam wszystko wiło jak z płatka:
Łzy — jęki — rozpacz na licu —

A nawet, — może niejeden powie,
Że to jest wymysł poety,
Przysięgam jednak, tam były w mowie
Nawet — tak, nawet sztylety!

„Ach, ja mam sztylet!“ — To mówiąc z włosów
Dobyła sztylet misterny,
I przysięgała wobec niebiosów,
Że był i będzie jej wierny.

„Jeśli mnie zdradzisz, ja tym sztyletem,
Przysięgam — skończę to życie!“
I ja przysięgam święcie, że nie tym —
Ach, bo to była... zgadnijcie! —

Była to, mówiąc po prostu — szpilka!
Rożnem być mogła na karła —
Lecz używana już przez lat kilka,
Tak się nareszcie przytarła,

Że łatwiej słońcu byłoby zgasnąć,
W ostatniej nawet iskierce,
Niżli tej szpilce skórę zadzrasnąć,
Cóż przebić gorset i serce!

A nota bene, tego sekretu
　　Nikt z czytelników nie wiedział,
Że u niej między rąbkiem gorsetu
　　A sercem — dyabli był przedział! —

Było to nakształt... Dokończę zaraz,
　　Mały zrobiwszy dodatek,
Bo widzę w oczach panien ambaras,
　　A gniew w spojrzeniu mężatek. —

Widzę — a nawet co gorsza — słyszę
　　Głośny krzyk na mą zuchwałość;
Lękam się — przecież koniec napiszę,
　　Bo nic w poezyi nad całość. —

Te wszystkie rysy, szkice, ułamki —
　　Wszystkie wyimki, wyjątki, —
Te poetyczne na lodzie zamki,
　　Jakieś bez końca początki.

Niechaj kto może, wierzy w te gończe
　　Przyszłych poetów jutrzenki;
Ja rzecz skończoną lubię od ręki,
　　A więc i moją zakończę.

---

## PIEŚN II.

„Wisst ihr, was mich Poeten
Erst recht erfreuen sollte?
Dürfst' ich singen und reden
Was Niemand hören wollte."

*Göthe.*

Skończyć—skończyłem.—Lecz jak i na czem?...
Nim z drugą pieśnią wyruszę,
Tych wątpliwości jasnych tłumaczem
I własnym sędzią być muszę —

I własnym sędzią! — O! wynalazku
Bez granic, końca i miary,
Coś bicz nareszcie ukręcił z piasku
Na konie z dymu i pary.

O wieku światła, coś ciemne głowy
Dopóty smagał tym biczem,
Póki nie przyznał rozsądek zdrowy,
Że nic jest czemsić — coś niczem —

O wieku odkryć, coś twymi cudy
Tak wszystkie zużył kuglarstwa,
Że Panu Bogu nawet na nudy
Nie pozostało lekarstwa —

Wieku mądrości — światłości prysma —
Palma ci twoja wydarta!
Zgasiły blask twój dwa czasopisma,
I redaktorów pół-czwarta! —

Zgasiły, mówię — odkryły bowiem
Rzecz, znaną wprawdzie potrosze;
Lecz nim odrycie owo opowiem,
Pierw czytelnika przeproszę,

Że przerywając powieści wątek,
Pieśń tę zaczynam ukosem,
Tak, że jej koniec i jej początek
Będzie to istna pięść z nosem.

Grzech mój w niniejszej wyznaję strofce —
Lecz służąc rymom i ślince,
A przytem Polak — wolę manowce,
Niż proste, bite gościńce.

Kręty manowiec — dyszel rzemienny —
Komin, z którego się kurzy,
Kuchnia — piwnica — kielich strzemienny —
Ot i epizod w podróży. —

Mniejsza w podróży — dobrze i w pieśni
Patrzeć komina i dymu;
Często wieszcz o tem nawet i nie śni,
Że dym mu pomógł do rymu —

A rym jest gościem przynajmniej u mnie
Nader szacownym, bo rzadkim;
Gościnność sama każe choć skromnie
Skromnym go przyjąć obiadkiem.

Choć więc nie w porę zawita czasem,
Zamiast go z niczem odegnać,
Wolę jak teraz tylko nawiasem
Przyjąć go, ścisnąć, pożegnać —

Vale et fave! — A nuż spachaczem —
(Wyraz ten staro-słowiański
Objaśniam prośbą i odsyłaczem:
Patrz Linde, Jungman, Trojański).

Wracam do rzeczy odkryć. — A zatem
W Poznańskiem, wierz mi lektorze,
Są literaci — a literatem
Nie każdy jednak być może. —

W Poznańskiem jednak,—ach! w tem Poznańskiem,
W tem naszem polsko-germańsko,
Arysto - demo - kratyczno - pańsko -
Filozoficznie -kapłańskiem,

Są ludzie — są więc i literaty!
Jeśli dowodów chcesz gwałtem,
Za sześć talarów prenumeraty
Wszystkich zakupisz ryczałtem —

Wszystkich od razu! — I jeszcze w targu,
(Gdzie bowiem idzie o życie,
Tam handel trzeba budzić z letargu)
W targu dostaniesz — odkrycie.

Ach, ale jakie! — Odtąd na świecie
Łotrostw, ni łotrów nie będzie,
Co więcej nawet głupców! — a przecie
Będą i sądy i sędzie. —

Ach, ale jakie! — W kąt sławne żury,
W kąt prokurator i świadki —
W kąt inkwizytor: knut i tortury,
Więzienia, kraty i kratki —

Będą to sądy,... lecz lepiej zrobię,
Że zamiast w długiej omowie,
Przykład ich żywy podam na sobie
I że tak zacznę: „Panowie,

Publiczność głupia! (Jeśli z was który
Między publiczność nos wraził,
Daję mu słowo honoru z góry,
Żem go niechcący obraził).

Publiczność głupia, — a głos publiczny,
Lud, większość — czcza to chimera;
Skir z czasów Piasta w Polsce dziedziczny,
Na któren szlachta wymiera! —

Większość — opinja... i gdzie? w Poznańskiem!
I w czem?... w uczonym zawodzie!
Gdyby to jeszcze coś o szampańskiem,
Coś o.........., o modzie, —

Gdyby nareszcie o rzepach, grykach,
A po naszemu taterkach,
Lub o baranach — a raczej trykach,
Gdyby nakoniec o perkach;

Nicbym nie mówił, — bo jest w tej mierze
I u nas rozum publiczny;
Syn go po ojcu w puściznie bierze,
Jeśli ma folwark dziedziczny;

Tu tradycyjnym rządzi się torem,
Dzień cały sieje, lub sprząta;
W blizkie sąsiedztwo jedzie wieczorem,
Gdzie zwykle romans się pląta. —

Młoda mężatka — lub stara panna —
Czasem daleka kuzynka —
Najczęściej jakaś garderobianna —
Jakaś Mamzela, Asynka; —

Sprzyja-li pora, — to smycz i charty,
Strzelba na wiosnę i w zimie;
Słota-li, pół dnia przegra się w karty,
Druga połowa przedrzemie! —

Tak żywot pański — żywot mozolny
W próżniactwa zwija się krążek —
A wpośród nudów, i chwili wolnej
Nie masz do nauk i książek. —

Zresztą co po nich! — Naszym naddziadom
Wystarczał z kordem sens zdrowy —
Nieprawdaż, panie ojcze, — tyś świadom,
Co może ręka bez głowy. —

O tak, herosie z pod Ostrołęki,
Z pod Dębu, Igań, Grochowa,
Wawrzyn do każdej przypinaj ręki —
Lecz cóż na głowę?... ach! głowa...

Mniejsza o głowę, kiedy są laury —
I cóż że nie ma ojczyzny,
Kiedy po stajniach są Bucentaury,
Po twarzach marsy i blizny! —

Bił się pan, ojciec — syn się bić będzie —
Ilu kpów — tylu żołnierzy!
Każdy, przysięgam, konia dosiędzie,
Niech no ktoś alarm uderzy. —

Więc po co czytać? — Biedny literat
W ostatniej losu potrzebie,
Gdy nikt nie czyta, musi rad nie rad
Czytać i sądzić sam siebie —

A zwłaszcza sądzić! — o! wynalazku
Przemyślnej giełdy Parnasu,
Coś bicz krytyki ukręcił z piasku,
Bo szkoda było atłasu;

Cześć ci! — Ja wieku syn niewyrodny,
Człowiek postępu niegłupi —
Syty mądrości — lecz chleba głodny,
Wołam: panowie! kto kupi?

Ot, towar piękny! — bo proszę panów
Co za materya prześliczna!
Przytem dla wszystkich i płci i stanów
Jak niesłychanie praktyczna!

A jak skończona!... jak?... to pytanie,
Nim z drugą pieśnią wyruszę
Rozstrzydz przyrzekłem; tutaj więc na nie
Krótką odpowiedź dać muszę.

Jak?... przecudownie!... I choćby wszystka
Piękność mej pieśni i wątek,
Niewarte były suchego listka
Z owych Gustawa pamiątek;

Choćby wiersz każdy, — ten wiersz mój gładki,
Twardym się zdawał, jak gruda —
A wymuszone rymy i spadki,
A rzecz zbyt tłusta, lub chuda; —

Choćbym był zaczął nieromantycznie,
A śpiewał nie po—eolsku;
Skończyłem jednak patryotycznie,
Skończyłem czysto po—polsku —

Bo nie skończyłem! — „Brawo ci, brawo —
O narodowy nasz wieszczu!“
Krzykną rycerze, co pod Warszawą
Przez trzy dni stali na deszczu

Bomb i granatów; — a dnia czwartego
Skończyli według zwyczaju
Szlachecko-polsko-narodowego —
Bo nie skończyli dla kraju!

A było ich tam sto razy tyle
Co owych synów Hellady,
Którzy... lecz o tem niech Termopile
Świadczą, — kto poszedł w ich ślady?...

Kto?... z naszych żaden! Rzecz oczywista,
Że wszystkich szkoda, lecz gdyby
W tylu tysiącach, choć tylko trzysta
Było walecznych, mogliby...

Prawda! lecz choćby polegli wreszcie,
I wszyscy poszli do gazet,
Byłoby w Polsce najmniej wsi dwieście
I dusz bez panów kilkaset. —

A brzydko umrzeć, gdy pięknie żyjem
Z cudzych darmochów i danin. —
Żyj więc motłochu! — Lecz carpe diem! —
Nauczał pewien Rzymianin. —

Korzystaj, z chwili — bo chwila płynie,
Πάντα ῥεῖ — wszystko ucieka; —
Świat, ziemia, słońce, niebo przeminie —
Wieczność je schłonie, jak rzeka,

Kiedy ulewnym deszczem gór wzbierze,
Pochłania w dzikim swym biegu,
I te potężne stu burz szermierze:
Dęby szumiące u brzegu,

I ten niewinny kwiat niezabudki,
Ukryty w trawek spowicie,
Co niewidziany, mały, cichutki,
Jak cicha miłość rósł skrycie. —

Jak cicha miłość! — O, młoda Parko,
Której się Eden uchyla,
Dopóki serce twoje poczwarką,
Korzystaj z chwili — motyla —

Bo chwile lecą — godziny płyną,
A choć chwil szczęścia nie liczem;
Choć dla kochanków wieczność godziną,
Chwila wiecznością — czas niczem —

Czas jednak długi, a miłość krótka —
Waszych spytajcie się matek;
Cóż im zostało dziś z niezabudka,
A gdzie ich miłość — bławatek!

I mnie spytacie — Bożeż, mój Boże,
Co to za dziwne bym rzeczy
Mógł wam powiedzieć — i powiem może,
Dziwne, a krwawsze od mieczy!

I wiem, że gdybym tak, jak je oto
Tutaj mam w duszy przytomne,
Te łzy, rozpacze; ten blichtr z pozłotą:
Owe przysięgi niezłomne;

Gdybym to wszystko odkrył przed światem,
Choć bezwstyd dzisiaj ją wspiera,
Każdy jej wyraz byłby jej katem,
Pręgierzem — każda litera!

Lecz o tem później. — Tu czas, bym wrócił
Pod te jawory — w ów szpaler,
Gdziem ich w ostatniej pieśni porzucił,
Gdzie poematu kawaler

Aż dotąd u nóg nadobnych klęczy,
Jak klęczał w pieśni mej pierwszej,
Będzie to temu jakoś mniej-więcej,
Trzysta sześćdziesiąt sześć wierszy.

„To być nie może!“ wrzaśnie ród trutni:
Imć pan recenzent i krytyk,
Kontent, że mojej muzie i lutni,
Choć jeden dostał się przytyk.

„To być nie może! — Chybaby Madaj
„Wytrwał na klęczkach tak długo;
„Lecz serce — miłość?... o tem nie gadaj —
Serce i miłość nie sługą“.

„Zresztą, najwyższej miłości zapał
„Zgasłby i w tobie, mój panie,
„Gdyby ci jednę nogę kurcz złapał,
„A druga ścierpła w kolanie!"

Ha! skoroć sami wpadliście na tor,
Mimo przeciwnych zaręczeń;
Gdy i on nie jest wielki amator
Długich modlitew i klęczeń;

Przeto, chcąc nie chcąc, przyznać wam muszę,
Że wciąż nie klęczał. — Lecz tutaj
Sekret Parnasu górą przyduszę,
Nieodgadniony, jak Tukaj. —

Bo mi mój arcy-mądry wydawca,
Sam autor, krytyk i piewca,
W literackiego gotów był krawca
Zmienić się nagle i w szewca,

By mojej muzie, choć ostro kutej
Na wszystkie cztery kopyta,
Kurtę przykroić i uszyć buty,
Nim ją publiczność powita;

Twierdząc, że prędzej wielbłąd-dromader
Przejdzie przez otwór iglanny,
Niż mój Don Juan, choć piękny nader,
Przez ręce matki do panny! —

Nie chcąc tej smutnej słyszeć pogróżki
Z ust pani matki, lub ciotki,
Lub pod panieńskie kryć się poduszki,
Zkąd urość mogłyby plotki;

Wolę od razu twej przepowiedni
        Zawierzyć, panie wydawco,
I by zgorszenia nie stać się sprawcą,
        Na cały ustęp poprzedni,

Płaszcz grobowego zarzucam kiru,
        A wiersz, co tutaj umiera
W czechle białego grzebię papieru —
        O czem chciej przestrzedz zecera. —

* * *

On klęczał, — ona... ach! jakże inna,
        Jak promienista i blada;
Niby niewinna i niby winna,
        Niby nierada i rada.

Na czole jakiejś światłości promień,
        A pod nim mroki i cienie;
W ustach gorączka — a w oczach płomień,
        I jakieś słodkie omdlenie —

Jakieś pół-zmarcia i pół-ożycia,
        Jakieś „zamało“ i „zadość“ —
Coś potępienia — coś wniebowzbicia,
        Coś — niby smutek i radość —

A pierś wzniesiona, — snać uczuć fala
        Ledwie w swych brzegach się mieści;
A tak ruchoma, że słychać zdala,
        Jak ząbkem sukni szeleści.

Wzdycha i słabnie, — i na pień drzewa
Wiotką kibicią się słoni,
I tak wygląda, jak niegdyś Ewa
W cieniu swej rajskiej jabłoni, —

Ów zakazany owoc gdy zjadła,
Spojrzy, aż oto — o cuda!
Adam... i raczka spiekła i zbladła;
(Co dziś nie każdej się uda) —

Podobnież ona — spłoniona, blada —
Twarz białą rączką przesłania,
I drżącym głosem wyrzeka biada,
I w ciche ozwie się łkania. —

„Ty płaczesz?... nie płacz, nie płacz na Boga!
„Bo każda łza twa, tu spływa,
„Tu w serce moje — i tam, o! droga,
„Ogień miłości zalewa". —

„Nie płacz, o nie płacz; — bo choć twój Eden,
„I piekło z tobą podzielę,
„Lecz łzy i szczęście — to na raz jeden,
„Ach! to za wiele — za wiele!"

„ „Za wiele, mówisz, — o! ty okrutny,
„ „Więc się nie żalić, nie smucić; —
„ „Ty taki młody — sercem rozrzutny,
„ „Gotów zapomnieć, porzucić." "

„Ciebie porzucić — zapomnieć ciebie,
„I złamać śluby niezłomne?...
„O pierwej Boga mojego w niebie,
„I pierwej nieba zapomnę!"

„Porzucić ciebie! — jakaż potęga
„Zdoła rozerwać te serca?
„Niechaj się piekło samo przysięga,
„Niech świat — niech podły oszczerca...“

Tu drgnął, — bo jakiś szelest z uboczy
Niemile wpadł mu do ucha —
Drgnął i w ciemnościach utopił oczy —
Patrzy przez chwilę i słucha —

Słucha przez chwilę — patrzy — i naraz
Zerwał się — skoczył — obrócił —
Mignął raz drugi, — przez rów i taras
Jednym się skokiem przerzucił,

I przepadł w polach, — a pola wokół
Głuche i nieme; — na niebie
Tu owdzie chmurka, jak lotny sokół
Skrzydła w błękitach gdzieś grzebie.

Coraz to bledsza — znać ranek blizki,
Rosa rzęsisto opadła —
Mgły się podniosły — a gwiazd połyski
I twarz księżyca pobladła. —

A między ziemią i niebem całem
Taki się tuman rozwinął,
Jakby duch Boży srebrnym wód wałem
Niebo i ziemię opłynął. —

Więc on, co dotąd, jak Salamander
W ogniu swych własnych żądz płonął —
Teraz, jak nowy polski Leander
W traw Holesponcie utonął.

I zniknął we mgłach! — Tak kiedy nurka
Na wygładzonej wód szybie
Wśród zabaw ptasich spłoszy trzask kurka,
Lub oko ludzkie przydybie —

Zaledwie spostrzegł — plusnął, i ściegiem
Mokrej się nakrył topieli.
I gdzieś dopiero pod drugim brzegiem
Z długiej wydysza kąpieli;

Tak on, gdy nura uciął w pokosy
I w traw utonął głębinie,
Dopiero z potu i chłodnej rosy
W bliskiej się otrząsł wioszczyznie;

Gdy przed pochyłym stanąwszy domkiem,
(Dom ten miał z łaski rodziców,
A raczej tego, który jest trzonkiem
Polskiej familii Dziedziców)

Wpadł do mieszkania; — a jak w Upicie
Po brudnej trupa skorupie
Poznałbyś całe szlachcica życie,
Co niegdyś mieszkał w tym trupie;

Tak tu z mieszkania! — Pokój niewielki,
Z nizkim i brudnym pułapem, —
Piec, cztery kąty, w kątach butelki,
Na drzwiach pęk kluczy z charapem —

Stół — kilka krzeseł — na stole karty,
Przy nich omłotu rachunki,
I Mickiewicza Dziadów tom czwarty,
I dwa numera pism Pszonki.

Tak mieszkał Juan, i żył szczęśliwy
Dopóki nie znał miłości,
Miał noc spokojną — dzień nietęskliwy,
Czasem sąsiadów i gości,

Najczęściej nudy. — Dziś prędszym chodem
Zdradzał niepokój w swem łonie;
A choć mu rosa poranku chłodem
Oblała czoło i skronie,

Jednak po owym nierównym kroku,
Po tym nieładzie — po fali
Co pierś rozdęła, a błyska w oku,
Znać, że ta głowa się pali,

A w piersi burza! — To siadł, to wstawa,
Zaledwie pozostał, znów siedzi —
Ach! bo to z sercem nielada sprawa,
A Juan z sercem się biedzi. —

Biedzi się — dręczy; wreszcie na łóżko,
(Tragiczniej mówiąc na łoże),
Upadł i głowę nakrył poduszką,
Nakrył, lecz zasnąć nie może.

Nie może zasnąć; — porwał się, spojrzał —
Na stole papier — atrament;
I wielki zamiar w duszy mu dojrzał
Zostać poetą i lament

Serca napisać. — O! śnie skrzydlaty
Słodkich udręczeń i cierpień;
Maju młodości, bogatszy w kwiaty,
Niż w owoc późnych lat sierpień —

Któż ciebie nie zna, — któż z twojej czary
Czarów miłości nie wyssał,
I któż twe widma — rozkosze — mary,
Któż je wyśpiewał — wypisał!

Juan chce pisać; — łokieć na stole,
A czoło oparł na dłoni,
I oko w niebie utkwił sokole,
I za natchnieniem w lot goni —

Goni, a goniąc przygryza pióra,
A przygryzając pierś wzdyma,
Nakoniec zacznie tak: „O! ty, która“ —
Zacznie i nagle się wstrzyma.

A gdy się wstrzymał, duma i myśli,
A gdy się dobrze namyślił —
Spojrzał — raz jeszcze rozważył ściślej —
I co napisał — przekryślił. —

A gdy przekreślił — łokieć na stole
I skroń znów oparł na dłoni,
I oko w niebie utkwił sokole,
I znów za rymem w lot goni —

Goni, a goniąc przygryza pióra,
A przygryzając pierś wzdyma,
I znów zaczyna tak: „o! ty która“ —
I znów się nagle zatrzyma. —

A gdy się wstrzymał, duma i myśli,
A gdy się dobrze namyślił —
Spojrzał — raz jeszcze rozważył ściślej,
I co napisał — przekryślił!

# PARABAZA

DO DON JUANA POZNAŃSKIEGO.

## PARABAZA.

Na tem się kończy manuskrypt, z którego
Drukować dałem niniejsze dwie pieśni,
Jako wydawca, — o czem trochę wcześniej
Przestrzedz już chciałem czytelnika mego,
Aby nie myślał, że mnie przez to zrani,
Choć Don Juana w czemkolwiek nagani. —
Wolność o niego spór toczyć z autorem,
Byleś mnie przyznał, żem wydawców wzorem, —
Bom oddrukował bez najmniejszej zmiany
Cały manuskrypt, który źle pisany
I nieczytelnie, w dziwny bardzo sposób
Do mnie się dostał. —

Było to w karnawał.
Ja w mieście właśnie, dokąd wielki nawał
Spłynął i licznych i rozlicznych osób,
A zwłaszcza kobiet; — za niemi, jak zwykle
Bywa, że powój z kwiatami się wikle,
Przybyła młodzież, — a młodzież, dalipan,
Wcale niczego; — i jeśli panienka
Była, jak róża, kiedy w kwiat rozpęka,
To przy niej chłopiec pewnie, jak tulipan. —

Dalej — jeżeli chcesz użyć języka
Kwietnych przenośni — błyszczy złoto-strojna
Głowa matrony, jak kwiat słonecznika;
Obok jak aster, twarz papy spokojna
Poważnie patrzy na ten żywy zielnik
Ruchomych kwiatów, w którym krotochwile
Swoje miewają róże i motyle,
A czasem ludzie. —

Lecz może czytelnik
Ciekawy byłby dowiedzieć się wreszcie,
W którym to kraju, i w jakim to mieście
Ludzie szczęśliwi żyją, jak w kwietniku
Niewinne kwiaty. — O mój czytelniku,
Nie pytaj o to — i daruj zarazem,
Jeślim cię złudził porównań obrazem. —
Co to za kraj ten? — ja tam długo siedział,
I kraj i ludzi poznałem dokładnie,
Więc wiem, że gdybym co za kraj powiedział —
O! nie chciej, nie chciej — lub zasłona spadnie!
Na sam dźwięk tego jedynego słowa,
Taka w nim przekleństw zawarta jest siła,
Ponurość ciebie owionie grobowa —
W oczach ci stanie stu wieków mogiła
W uszach stu wieków zajęczą ci płacze,
I śmiech szatanów i ofiar rozpacze!
Co to za kraj ten — co za kraj?... niestety!
To nie kraj żaden — ale cmentarz stary,
Po nim przeszłości przechodzą się mary
I próchna świecą i bielą szkielety! —
A to pełznące, pośród trupów bractwo —
Myślisz, że ludzie?... choć z ludzkiem obliczem,
Ono do ludzi niepodobne niczem,
To — śród zgnilizny wylęgłe robactwo. —

Widzisz, jak pełza, roi się i rusza,
Jak w trupich trumnach kłem pamięci wierci
I życia szuka śród przybytku śmierci —
Myślisz, że żyje?... zapytaj, gdzie dusza,
I gdzie ich serca?... Oh! gdyby je mieli,
I gdyby czuli chociaż tylko tyle,
Co czują prochy umarłych w mogile,
Kiedy się niemi podła chciwość dzieli; —
Gdyby to czuli, czyliżby ścierpieli
Tyle zniewagi i siebie i owych,
Co przebudzani z cichych snów grobowych,
Głosem rozpaczy wzywają .......
Na świętokradzką rękę, która burzy
Nawet grób wolnych — za krew, co się kurzy
Po dziś dzień jeszcze świeża i gorąca,
Choć przelewana już od lat tysiąca —
Krew odkupienia męczeńska i święta,
Krew w dobrowolnej niesiona ofierze
Bogu wolności za ludzi — bydlęta,
Którymi stare kupczyło przymierze. —
Tę krew, tę wielkość poświęceń i dumy,
Tego olbrzyma przeszłości, co zmarły
Groźnym jest jeszcze — te ciasne rozumy
I w piersiach zmieścić miałyby te karły?...
Zmieścić i uczuć — oh! gdyby uczuli,
Czyżby spokojnie patrzali na zbójców,
Kiedy starszego brata w pęta kuli
Za to, że pamięć szanował swych ojców!

Nigdy, ach! nigdy — nie wierz czytelniku —
Nie wierz pomimo hałasu i krzyku. —
Ja ich znam lepiej — ja tam nie sto razy
Byłem w tym kraju, — więc i kraj i ziemię
Poznałem dobrze — a najlepiej płazy,

Co ją zaległy — jakieś dziwne plemię
Istot umarłych i umarło-żywych,
Bardzo dręczonych i bardzo cierpliwych,
Których własności, cnoty i niecnoty
Jeśli dasz ucho, opiszęć do joty. —

Wystawże sobie naprzód kraj szeroki,
Polisty, leśny i nadzwyczaj żyzny —
Na straży jego góry i opoki,
Na skrzydłach niebo i morskie głębiny —
A w łonie źródło płynące przed wiekiem
Zdrojem wolności i miodem i mlekiem. —

W takim to kraju, — jak mówią przed laty,
Mieszkał lud wielki, możny i bogaty —
Krwi nie żałował — chleba nie był głodny,
Za domem sławny, u siebie swobodny —
Rolnik w pokoju, a w polu obożny,
Gościom gościnny, ale groźnym groźny!

Ktoby nie wierzył — niech zapyta karku,
Na którym stała noga Dawidowa —
Czyś ty zapomniał o tym niedowiarku,
Że wtenczas spadła Goliata głowa; —
A choć z kadłuba strasznego olbrzyma
Wyląkł się potwór, co świat w szponach trzyma,
Czyś ty pomyślał, niepomny tych czynów,
Że on dziś plagą jest i Filistynów?...

Dziś straszno spojrzeć w dzieje tego ludu —
Tyle tam światła w dalekich dni zmierzchu,
I tyle cnoty w głębiach — a na wierzchu,
Tyle występków, podłości i brudu —
Tylu nikczemnych, że choćbym był zdolny

Skreślić ich obraz i podać nauki,
Z którychby widzieć mogły późne wnuki,
Jak niewolnikiem staje się lud wolny —
Nie chcę — bo pierwiej poruszyć by trzeba
Najgłębszą otchłań najgłębszego piekła,
Wycieńczyć litość i cierpliwość nieba,
Zliczyć łzę każdą, co z ócz ofiar ciekła —
Wskazać krwią braci kupczącego brata,
Matkę, gdy blada i śmiertelnie sina,
Konając u nóg wyrodnego syna,
Przepowiadała blizki koniec świata!
I wołający z nią do podłej tłuszczy
Głos napomnienia, dzień sądu się zbliża,
By wyście wylność przybili do krzyża!
Głos ten był głosem wołania na puszczy —
Stało się — wolność na krzyżu rozpięta
Skonała w mękach, a lud poszedł w pęta.

Wróg go ujarzmił, nie siłą orężów,
Lecz nikczemnością i podłością mężów,
Zepsuciem niewiast — i przez matek winy,
Co swej Ojczyźnie takie dały syny.
Odtąd po latach występków i zbrodni
Nastały lata pokuty i kary —
Lata okropne — bo choć kary godni,
Ludzie ci cierpień dopełnili miary. —

Widziałem nieraz, gdym w ich kraju bawił,
Jak kark, co dźwigać miał królów purpury,
Dziś pod razami siepaczów się krwawił,
Jak dłoń żebracze trzymając kosztury,
Sięgała drżąca do datek jałmużny,
Którą porzucał ten, co jej był dłużny; —

Widziałem nieraz, jak syn pogrobowy
Już nie rozumiał ojców swoich mowy,
Jak wnuk wielkiego w dziejach bohatera,
U stóp dumnego swej chwały posąga,
Kiedy mu podlec szyderstwem urąga,
O litość woła i z głodu umiera;
Widziałem — szatan sam powtarzał: *szkoda*
A strachów takich nikt dziś nie pamięta
Bo się to działo, aż za dni Heroda
Że wydzierano matkom niemowlęta,
Że je w podziemnych wytępiano mękach,
Lud mordowano na publicznych rynkach,
Aby śród ofiar niewinnych tak wiela
Zabić przyszłego świata zbawiciela!
Widziałem — czegóż ja tam nie widziałem —
Ludzką wam tego nie wypowiem mową
Łzy, krew, ubóstwo — ..... w kraju całym
I Damoklesa miecz nad każdą głową!
Taki był kraj ten — a jego mieszkańce,
(Mnie interesa trzymały w ich mieście),
Hucznie i licznie — i nieraz par dwieście
Stało gotowej do mazurka młodzi —
A co za młodzież!... Chłop w chłopa, jak dęby
Szumiące jeszcze przy światła powodzi —
Młodzież, co gdyby świat wzięła za zręby
I opasała go ducha łańcuchem,
Świat ten na przekór przesądom i Stwórcy
Nowym na wieczność popchnęłaby ruchem.

Dziś — zgroza spomnieć — owi światoburcy,
Kiedy ich ..... mordują i gnębią
U nóg niewieścich z czułością gołębią
Miłosnych nieszczęść wyjęczają żale;
Albo też w dzikim odurzenia szale

Tańce zawodzą, jakby im zaklęty
Róg Oberona załaskotał w pięty. —
Śmiech, krzyk, wesołość leją się z szynkwasów
Wódką i winem, jak za dobrych czasów. —

Jeden był tylko pośród tej gawiedzi,
Co pijanego z drugimi wesela,
Ani odurzeń szału nie podziela —
Ale milczący pośród gwaru siedzi,
Z takim okropnym pokojem na twarzy,
Jakby sumieniem był wszystkich zbrodniarzy
Którzy po dziś dzień od stworzenia świata
Głowę składali pod toporem kata;
I taki uśmiech szyderstwa miał w ustach
Jakby go wyssał był w długich rozpustach. —

A kiedy pytać zadziwiony jąłem:
Człowiek ten djabłem-li jest, czy aniołem?
Jedna z dam, bardzo rozumna kobieta,
Odpowiedziała z słodyczą: „poeta —
„Waryat raczej — imajnuj pan sobie,
„On twierdzi, że my tańczymy na grobie —
„Zaraz usłyszysz dziwne jego wróżby!“ —
To mówiąc biegła ku niemu przez salę
Jak rybka, wierzchnie kiedy muska fale:
„Poeto, rzekła, nie odmówisz prośby
„Nimfie przyjaznej — przecież nie wygnaniec
„Z podwoi niebios, ni piekieł wyrzutek —
„Więc po co rozpacz i ten niemy smutek?
„Ot lepiej wpisz się na następny taniec!“

To rzekłszy — wachlarz podała mu biały,
Na pergaminie którego tancerzy
Wszystkich imiona zapisane stały. —
On wziął — i tak się wpisał, trocha szerzej: —

„Śmiejcie się, tańczcie — szalejcie —
Ale tańcząc moje panie,
Pamiętajcie — pamiętajcie,
Że tańczycie na wulkanie. —

Więc przezornie i ostrożnie —
Bo jak wulkan z nagła pęknie,
Może wam być bardzo różnie
Niebezpiecznie i niepięknie!

Więc ostrożnie i leciuchno
Płochą stopką trącać ziemię,
Bo pod ziemią proch i próchno,
Bo pod ziemią iskra drzemie;

A jak stopka nieostrożnie
Iskrę zbudzi i grób pęknie,
Może wam być bardzo różnie,
Niebezpiecznie i niepięknie",

Spojrzałem — dama pobladła, jak chusta
A jego czoło zasępiła chmura
Jeszcze czarniejsza i bardziej ponura
I śmiech straszniejszy wykrzywił mu usta; —
Jak gdyby na to czoło cień żałoby
Rzucała przeszłość i smutne jej groby,
A wargi strute żywota kielichem
Obecność gorzkim wyszydzały śmiechem!

Podobnym wtedy zdał mi się ten człowiek,
I długom odeń nie mógł odjąć powiek;
Tak w czarnej puszczy zbłąkany wędrowiec,
Kiedy niejeden przebieży manowiec
I w końcu siły postrada — a razem
Spotka się w lesie z jakim drogowskazem,

Staje — napisy jego długo czyta
I u niego o swą drogę pyta;
Tak i ja w dziejów zabłąkany lasy,
Kiedym go spotkał, człek ten tajemniczy
Zdawało mi się, że godziny liczy
Pomiędzy dwoma odległemi czasy —
I z labiryntu gdy sam wyjść nie mogę
O dalszą chciałem zapytać go drogę —
Więc rzekłem, rękę ścisnąwszy mu: wieszczu!
I na to słowo, jak gdyby rażony
Piorunem zadrżał, i czułem w tym dreszczu,
Że wszystkie duszy jego drgają strony:
„Wieszczu! zawołał, któż tyle odwagi
„Dał tobie imię to święte bezcześcić!
„Ja wieszczem — czego?... cóż może wywieścić
„Syn ojca smutku i matki zniewagi!
„Wieszczem — dla kogo?... może dla tej zgrai
„Ludzkiego rodu, małpich obyczai?
„O! nie, nie dzisiaj — chociaż może jeszcze
„Przyjdą te czasy, w których wam wywieszczę,
„Co mnie w dniach smutku i nocach rozpaczy
„Duch boży w przyszłych tajemnic tłómaczy —
„Ale nie dzisiaj; — na dziś mnie przypadło
„Być jak to wierne dla świata zwierciadło,
„Co wszystkie kształty i co wszystkie barwy,
„A choćby piekieł ukazuje larwy. —
„Niech się w niem przejrzą — a jeśli zobaczą
„To, co ja widzę, niechaj się zaśmieją
„Dziką rozpaczą nad świata koleją,
„Lub niech nad własną nikczemnością płaczą!
„Wieszcz—syn natchnienia, jedno z świętych naczyń,
„W które Bóg wlewa żywe źródło łaski,
„W którego piersiach śpią gwiazdy przeznaczeń,
„A z czoła biją boskich zadum blaski; —

„Wieszcz—syn natchnienia, wieszcz, ojciec zapału,
„Wieszcz ten nie wstaje ze zgnilizny kału —
„A jażbym w pośród tej kałuży brudu,
„Jabym miał wieszczem być dla tego ludu,
„I może wróżyć, że za trzy dni rano
„Za sprawą Pańską ze zmarłych powstaną?...
„Oh! nigdy, nigdy; — niż ich grobu stróżem,
„Niż marzycielem śród zbutwiałych pleśni
„O ............... — ja wolę wstać wcześniej,
„Ja wolę raczej stać się biczem bożym,
„I smagać śpiących i dręczyć i chłostać,
„Choćby im do krwi serdecznej się dostać,
„Bo może zapach świeżej krwi ich zbudzi,
„Że ............... podobni do ludzi!“

Tu wstał i lekko głową ku mnie skinął,
Poszedł i w tłumie tańcujących zginął. —
A ja napróżno myśli me spowiadał
Z tajemnic tego dziwnego człowieka,
Próżnom o niego u przytomnych badał,
I jeszcze we śnie marząca powieka
Daremnie chciała postać jego schwytać
By tajemnice tej duszy przeczytać!

A gdy się zbudził następnego rana,
Ktoś nieznajomy oddał mi pakiecik,
W którym dwie owe pieśni Don-Juana
I takiej treści znalazłem bilecik:

„Weź, jeśli zechcesz, przeczytaj — a potem
Mniejsza, co zrobisz — boć to nie kłopotem
Autora, kiedy publiczność go czyta,
Czy nad nim płacze — czy zębami zgrzyta. —

Ty jednak nim się niechęcią zasępisz,
Nim mnie osądzisz i zanim potępisz,
Pierw cierp, com cierpiał, i wierz, jak ja wierzył,
I żyj choć chwilę, jak ja wiek mój przeżył; —
A kiedy spełnisz do kropel ostatnich;
Czarę nadziei — to z rozpaczy śmiechem
Weź ją i strzaskaj o skałę serc bratnich;
A może głuchem oddźwiękną ci echem,
I może robak sumienia, co zasnął
W kamiennych sercach tych kamiennych ludzi,
Na ten dźwięk głuchy ze snu się przebudzi
I będzie myślał, że to piorun trzasnął; —
I w tym piorunie ujrzy palec boży,
Co przebudzenie blizkie głazom wróży —
I toczyć zacznie — by pośród burz wycia
Mękami zbudzić w nich pragnienia życia!
A jeśli „p r a g n ę“ tych zimnych skał krocie
I te bezduszne masy w głos zaryczą —
Jak Chrystusowi niegdyś na Golgocie
Octu z żółciową podaj im goryczą,
By prędzej ciałem z nicestwa skonali
A z martwych duchem na wieczność powstali. —

I ja go widzę, widzę czas ten blizki
I wieczność drżącą u jego kołyski —
Widzę i mógłbym wam duchem proroczym
Czasu owego pewne przyjście wróżyć;
Ale nie dzisiaj — dzisiaj trzeba burzyć —
Bo takim ludziom, jak wróżyć i o czem?...
Tyś na nich patrzał — ty o to nie pytaj —
Lecz jeśli spyta ciekawiec, mów: „czytaj!“
I podaj jemu, com ja tu napisał
W tym Don Juanie; — a jeśli z odrazą
Odwróci oczy od tego obrazu,

Powiedz mu, skąd ja taką gorycz wyssał. —
Powiedz, dla czego zamiast ideału
Boskiej miłości, tyle tam zakału,
I tyle brudu i tyle bluźnierstwa
Tyle łez w śmiechu, a we łzach szyderstwa;
Powiedz, dla czego nienawiści związek
Trwa między nami — między mną a światem —
Powiedz, że ja się brzydzę poematem
Który poświęcam:

Rycerzom podwiązek!

---

# KSIĘGA ŻYCIA I ŚMIERCI

Δός μοι ποῦ στῶ.

# POGROBOWIEC.

„Smutno mi!“ mówisz — i łza ci z ócz ściekła —
Patrzaj — a u mnie i łez nawet nie ma
A ja suchemi spoglądam oczyma,
Na płacz aniołów i na śmiechy piekła. —
Szczęśliwy stokroć, kto płakać ma za czem —
I tyś szczęśliwy bracie twoim płaczem,
Ach! bo ty czujesz, żeś się zrodził wolny —
Ty płacz, lecz czegóż ja mam płakać powiedz —
Ty płacz, lecz czegóż ja mam płakać powiedz —
Ja twej wolności późny pogrobowiec?

Czegóż mam płakać ja, com złudzeń tkankę
Szczeremi łzami aż nadto opłacił,
Ja, com na świecie nic więcej nie stracił
Nad sny dziecinne — cacko i kochankę —
Lecz ty, co głębiej masz serce rozdarte,
Coś wiele pragnął i wiele posiadał —
Coś wszystko, wszystko, niestety, postradał —
Ach! twoje straty łzy niejednej warte!
Więc płacz—lecz czegóż ja mam płakać, powiedz—
Ja szczęścia twego nędzny pogrobowiec?

Czegóż mam płakać ja, com nad kołyską
Nie słyszał nigdy matczynej piosenki,
Ni błogosławieństw wziął z ojcowskiej ręki —
Com się urodził — wzrosł na pośmiewisko!
Ty — boś swobodą przywykł się rozpierać
We własnym domu — ty we własnym domu
Mogłeś z .......... urągać się tłumu —
Miałeś miecz w ręku, ty mogłeś umierać —
Dziś płacz — lecz czegóż ja mam płakać, powiedz —
Ja swobód twoich tułacz pogrobowiec?

Urodzon w hańbie — schowan w poniewierce
Wołałem nieraz światu, że mi dłużny,
A świat mi rzucał gorzki chleb jałmużny,
Którym urągać chcieli mi szyderce —
A kiedym czoło w świętą przybrał dumę
I wzgardą płacił złe ludzie i losy,
Tysiączne na mnie nastawały głosy,
A każdy wołał: *postume, postume!*
I ja, com przetrwał ten rozpaczy smutek!
Jabym miał płakać dzisiaj — ja podrzutek!

Dziejów podrzutek — na rozstajną drogę
Wieku wypchnięty — gdy spojrzę na siebie
Groby mi w drodze — powrócić nie mogę —
Przede mną ciemność — ale Bóg jest w niebie!
Myślałem w duszy i przy bożej męce
Klęknąwszy w niebo podnosiłem ręce,
I głosem wiary wołałem: „o! Panie,
„Pokaż moc twoją na moim .......!“
Bóg nie usłuchał — jam został tułaczem,
A dziś mam płakać — ja płakać i za czem?

Za pamiątkami?... oh! tak — mnie mówiono,
Że przeszłość ręką potężną i szczodrą

Lała nam skarby tam Dźwiną, tu Odrą —
— Dziś ziemi na grób nie pozostawiono!
Więc gdy pamięcią w tę przeszłość zabłądzę,
Głucho mi wokół — ale w łonie mojem
Rwą się uczucia — myśli brzęczą rojem,
Po sercu wielkie przechodzą się żądze —
I ja z tą piersią pełną żądz a dumną,
Jabym miał płakać nad przeszłości trumną?

Precz łzy i płacze! — A ty moja piersi
Z twemi żądzami i z twoimi snami —
W świat i na przebój — mniejsza co za nami —
My dziś ostatni — a jutro my pierwsi —
Światy przed nami! — Bo komu wydarty
Ostatni łachman przeszłego żywota —
Przed tym przyszłości otwarte są wrota,
I Stwórcy przed nim majestat otwarty?
Więc stwarzać, stwarzać!—Gdy opatrzność głucha,
Mnie opatrznością głąb własnego ducha!

Stwarzać więc, stwarzać! Ale nim się rzucę
W ten zamęt czczości — i zanim z chaosu
Świat swój wywołam dźwiękiem strun i głosu,
Po raz ostatni pamięcią powrócę,
Na te zburzone dawnych świątyń progi,
Po których kości tych grobów chodziły,
Po raz ostatni pożegnam mogiły
Pożegnam stare w tych mogiłach Bogi:
A jeśli dla nich łzą zroszę powieki
To łzą dla wieków wylaną na wieki!

———

## NA GOPLE.

### ...W NOCY.

Śród rodzinnych wód odmętu,
Śród ojczystych fal,
Z rozbitego łódź okrętu
Wciemną płynę dal —

W ciemną płynę dal i z ciemną
Myślą dawnych strat —
Świat nademną, świat podemną,
Ale nie mój świat.

Tam gwiazd krocie, księżyc w chmurze
A tu chłodny grób,
Trupy w dole — tajnie w górze
I ja żywy trup. —

Ja trup żywy między niemi
Gdzie ja płynę — gdzie?
Tu mnie boleść gnie ku ziemi,
Tam nadzieja zwie!

Gdzie bądź płyniesz, wód sokole,
Łodzi moja płyń —
Jeśli ginąć to w żywiole
Fal ojczystych giń!

Śród ojczystych fal żywiołu,
Naprzód — naprzód leć —
A wy trupy wstajcie z dołu,
A ty, gwiazdo, świeć!

Wstajcie trupy i grobową
Gnajcie ku mnie woń,
Gwiazda losów nad mą głową
Nadziejami płoń.

* *
*

Gwiazda płonie — trupy wstały
Gdzieś z pod moich stóp —
Straszno, straszno, jak wspaniały
Ten przeszłości trup;

Wstał i patrzy — jeden, drugi —
I w około mnie,
Tam łeb turzy — cep — maczugi,
A tu łapy lwie.

Jakie kształty, jakie barwy,
Krwią zbroczeni w pas!
Precz odemnie straszne larwy,
Nie poznaję was!

Precz odemnie, bo mi serce
Zimny ściska mróz —
Zdejmcie ze mnie staro-wierce
Ten wzrok pełen zgróz!

Zdejmcie, zdejmcie, — a wy ku mnie
Posuwajcie krok,
I tak gniewnie, i tak dumnie
Ten wasz szlecie wzrok;

Precz, precz wołam, oh! daremnie —
Przedwieczności lwy,
Czego chcecie wy odemnie,
Czego chcecie wy?...

„Czego chcemy?... stare Bogi,
„Dawnych chcemy sił —
„Wróć nam, wróć nam lud ten mnogi,
„Co nam czołem bił!

„Co bił czołem — wznosił modły —
„A dziś w głębi wód,
„Zgroza, zgroza!... ten gad podły
„To nasz cały lud!"

To lud cały?... śmielej, prędzej
Łódko moja leć —
Stare Bogi — Bogi w nędzy —
Gwiazdo moja świeć!

Świeć nadzieją! Nie utonę
Śród ojczystych wód —
Stare Bogi uśmiercone —
Nieśmiertelny lud!

Słyszysz, słyszysz, jak tam gwarzą
W długim grobów śnie?
Widzisz, jaką groźną twarzą
Napastują mnie?

Czego chcecie stare Bogi,
Trupie, czego chcesz?
Stare bogi — trupy z drogi!
Prędzej łódko spiesz. —

Naprzód, naprzód! Bez ołtarzy,
Czem jest stary Bóg?...
A wy słabi, a wy starzy,
Precz nam młodym z dróg!

Nie słuchają — i tłumami
Prą naprzeciw fal —
Próżno, próżno, pokój z wami
I te łzy i żal —

Lecz daremnie przemódz chcecie
Straszny czasów prąd —
Potępieni na tym świecie
Przez odwieczny sąd. —

Bez nadziei Boże stary;
W niepamięci głąb!
A ty duchu nowej wiary
Zstąp ty na mnie, zstąp!

Zstąp ty na mnie — a noc pierzchnie,
I stanie się cud —
I nim nowy dzień zamierzchnie
Zbawion będzie lud!

* * *

Zawołałem i jęk wielki
Powstał koło mnie —
I w grób Bogów dwie kropelki
Łzy rzuciłem dwie —



I bogdaj im grób ten lekki
Był na wieków wiek —
Mnie świt czeka niedaleki
I zbawienia brzeg!

## WAWEL I KRAKÓW.

Kto śmiał powiedzieć, że groby umarły?
Dla was — tak, dla was — obecności karły,
Bo was, was duchy ojców się zaparły!

Śród was ja żyłem, ale kiedy piekłem
Zwątpienia wasze stało mi się życie,
Pomiędzy groby z rozpaczą uciekłem
I takie z grobów wyniosłem odkrycie,
Że więcej żywi są ci, co tam drzemią
Snem poświęcenia pod ojczystą ziemią,
Niźli te żywe trupy, co się rodzą
Z trumien przeszłości i po ziemi chodzą. —

Pomnę — noc była posępna i głucha —
Świat jednak w jakiejś niemej drżał rozterce,
Jak gdyby Bogu z żalu biło serce,
Że w błoto rzucił iskrę swego ducha —
Lecz ziemia wszystkie uciszyła gwary,
Człek troski życia do snu poukładał;
Wtedy z snów grobu Wawel powstał stary;
Spojrzał pod siebie — jęknął i tak gadał:

O! miasto smutku, stare, osiwiałe,
Tak dumnie wielkie, tak nikczemnie małe —
O! miasto smutku — ty świata stolico,
Dawniej, strawionej wspaniałości syta
Dzisiaj żebrząca królów połowico,
Król żebrak ciebie dziś wita! —

Żebrak cię wita, bo przed królów wdową
Co kraj straciła, co korony nie ma,
Któż z możnowładców dumną schyli głową?
Próżno, oh! próżno świetne diadema
Stu wież i gmachów na twe skronie wkładasz,
Próżno, oh! próżno, zgrzybiała matrono
Wieńcem krużganków zdobisz twoje łono,
I próżno Wisły o twe wdzięki badasz;
Nie wierz kłamliwym słowom jej zwierciadła,
Tobie korona z dumnej głowy spadła;
I już dziś twemi przekwitłemi wdzięki,
Nie znęcisz mężów w miłosne zaloty,
Coby przez ognie i miecze i groty,
Twej się królewskiej dobijali ręki!

Dawniej, gdyś była panią miast tysiąca,
Nad wszystkie wzniosła, wszystkim królująca,
Gdy liczne ludy i wielkie dwa morza
Hołd swój składały u twego podnoża;
Wtedy nie jeden z dumnych władców świata,
O twoją rękę zuchwały się kusić,
Zdolny do ślubów zwycięstwem przymusić;
Miecz doświadczony brał sobie za swata
I tak przychodził w miłosne zaloty
Przez krew i ogień i miecze i groty!

Tak potwór wschodu — pobratyniec płazu,
Ukryty zimą śród pieczar Kaukazu,

Nóg milionem wypełzał co wiosnę,
I słał ci co rok swe dary miłosne:
Swe mleko klacze i ścierwo źrebięce,
I łzy niewieście i krew niemowlęcę!

Tak syn rozkoszy, marzący w seraju
O odaliskach dziewiątego raju,
Przychodził po cię, o perło Allacha,
Godna w koronie błyszczeć Padyszacha.
Tak mąż którego niańczyły Tytany,
A kołysały wód morskich bałwany;
Tak mąż ten wielki, gdy twą piękność zoczył,
Skały przesadził i morza przekroczył;
A gdy żelazną prawicą zwycięstwa
Do wrót twej świętej zapukał dziedziny,
Zbladły twe córy, zadrżały twe syny
I najmężniejszym nie starczyło męstwa,
A król się własny bez wstydu i sromu,
Unosząc życie, rzucił pokryjomu;
Wtedy ty sama jedna, niezachwiana
Z cnotą świętego dochowałaś stadła!
Dumna i wielka — na ciosy ......
Ani zadrżała, ani trwogą zbladła;
Jak puszcz królowa, gdy w obronie płodu
Staje do walki, — tak ty miast królowa,
Uledz niezdolna, choć poledz gotowa —
Stałaś w obronie całego narodu —
Stałaś ogromna i dumna, i wielka
Nadzieja nasza i obronicielka —
Wielka i dumna! — Wtedy ci przystało
Potęgi twojej odziewać się chwałą!

Lecz dziś, gdy zgasły twe wdzięki i blaski,
Kiedy zdeptano twoje stare cnoty,

Gdy czarodziejskie zdarto ci przepaski;
Te twoje mury, okopy, rechoty;
Gdyś słaba duchem, a wiekiem zgrzybiała,
Syny olbrzymy już rodzić przestała;
Gdy gwałtu gwałtem odeprzeć niezdolna,
Dźwigasz okowy, a wołasz, żeś wolna —
Dziś pod łachmanem zblakłego przepychu
Wartaś królowo...

I resztę po cichu
Wiatrom porannym mruczał Wawel stary,
Żem niedosłyszał, czy powiedział: śmiechu,
Czyli litości, zemsty — czy też kary!

---

## NA PRZESILENIU

### DNIA Z NOCĄ

Duchu przeszłości, co tam trzymasz straż
Przy wielkiej świata mogile,
Po co ty na mnie tyle smętku gnasz
I po co rozpaczy tyle?

Duchu przeszłości, czemuś rzucił grób,
A w mojem sercu się kładniesz?
Czyliż przyszedł czas, że dzieciątkiem w żłób
Wrócisz i światem zawładniesz?

Duchu przeszłości, czy przyszedł ten czas,
Że dopełniwszy prac wieku,
Żywo obecny wstąpisz między nas,
Wcielony Boże-człowieku!

I wszystką mądrość dwóch tysięcy lat
W jednem zestrzelisz ognisku,
I jedną chwilą staniesz się i świat
Ciężkiego zbawisz ucisku.

Duchu przeszłości, skrzydeł twoich szum
Słyszę od strony cmentarzy,
I potępionych myśli i serc tłum
Wkoło mnie jęczy i gwarzy.

I bladych cieniów srebrno-pióry wał
Na szarym niebios błękicie,
Ponad grobami tylu martwych ciał
Bój zaczął o śmierć i życie.

O śmierć i życie ostatni wre bój,
Bój myśli w krainie ducha,
Słyszę w powietrzu mar brzęczący rój —
A ziemia niema i głucha.

A nad drzemiącym milionem głów
I serc westchnieniem nieśmiałem,
Czas się dopełnia, wedle pisma słów —
A słowo stanie się ciałem!

---

## MOGIŁA KOŚCIUSZKI.

Za prawdę powiadam, wam, nie zostanie tu kamień na kamieniu, któryby nie był rozwalon.—*Mateusz XXVI, 2.*

A jako było za dni Noego, tak będzie i przyjście syna człowieczego.—*Mateusz XXVI, 37.*

A gdyby nie były skrócone one dni, nie byłby zachowany żaden człowiek, ale dla wybranych będą skrócone dni one.—*Mateusz XXVI, 22.*

„Więc ginąć — ginąć! — tak okropnie ginąć —
„Tonąć samemu — tonąć bez nadziei, —
„Że ktoś tam może z żywiołów zawiei,
„Zdoła na jakiś wolny brzeg wypłynąć!
„Tonąć i wiedzieć, że nikt nie ocalał,
„Coby o naszym opowiedział zgonie,
„Wiedzieć, że z nami pamięć nasza tonie,
„Że potop zbrodni naszych wszystko zalał;
„Że nigdzie, nigdzie jednej lądu piędzi,
„Gdzieby odpocząć arce narodowej,
„I w odrodzeniu żywot zacząć nowy,
„Lub hymn spokojnie wyśpiewać łabędzi —
„Ha! to okropnie!
„Gdyby gałąź krucha,
„Gdyby choć listek z ojczystego lasku,
„Gdyby choć jedna ziemi stopa sucha,
„Choć jedna garstka, jedno ziarnko piasku; —
„Gdyby się spotkać z skałą zimną, twardą,

„Gdyby się o nią rozbić — i strzaskane
„Serce wyrwawszy, przez otwartą ranę,
„Niebu, czy piekłu cisnąć je z pogardą; —
„Gdyby raz umrzeć! — Lecz zwolna umierać,
„Schnąć tak z pragnienia na wód oceanie,
„I tak w te czarne rozwarte otchłanie,
„Tak wiecznie w oczy swej śmierci zazierać
„I nie módz umrzeć; — i wiecznie się palić
„Ogniem żądz głuchych na wzburzonem morzu,
„Gdy Bóg sam w całem oszalał przestworzu,
„Ha, to okropnie!“

Tak wołał jeden z przeklętego rodu
Dzieci Kaina — plemiennik narodu,
Co długo dumny po tej ziemi chadzał,
Długo bezkarnie broił, gnębił, zdradzał —
Krwią bratnią kupczył — i przez długie lata
Zgorszeniem tylko był dla reszty świata
I kusicielem; a z całem potomstwem
Lucyferowem całą duszą zbratan:
Z pychą, lenistwem, obłudą, łakomstwem,
Był posłannikiem szatana — sam szatan!
Niezłomne z piekłem zawarłszy sojusze,
Pieniędzmi ludzkie zakupywał dusze;
A zakupione z taką dumą wściekłą
Dręczył, że samo zadumiewał piekło. —
Aż wreszcie chuci wyuzdanych wały
Nad słabe brzegi rozumu wezbrały,
A tamy burzą namiętności parte
Pękły — i przez te wrota żądz otwarte
Lało się morze występków na ziemię,
Którą to dzikie zamieszkało plemię;
Wał się parł z wałem;—wichry wstały wschodnie,
I wreszcie wszystko pochłonęły zbrodnie!

I jak ta ziemia wielka i daleka,
Nie było na niej jednego człowieka,
Nie było na niej jednej lądu piędzi
Którejby potop tych zbrodni nie zalał —
— Bóg te szatany dumy poobalał;
Bóg niewiniątek drobnych nie oszczędzi,
Wszystko ma zginąć, — aże do pamięci,
Że żyli w świecie niegdyś ci przeklęci! —

I już — już blizkie wypełnienia czasy. —
Oh! nadaremnie ty, przeklęty rodzie,
Na skołatane uciekłszy się łodzie,
Z falami wieków bierzesz się za pasy!
Oh! nadaremnie — śród takiej zawiei
Ty zginąć musisz — zginąć bez nadziei! —

I na tych wodach jeden z Kaimitów
Na kruchej łódce płynął i bez wiosła, —
A fala czasu, co go burza niosła,
Najwyższych ziemi dosięgała szczytów. —
Wokoło niego straszliwe widziadła
Snują się zewsząd.
Tam ludzi garsteczka,
Przestrachem zgonu sina i wybladła,
Resztą sił goni za kawałkiem wioru
Goni, schwycili, — i wszczęła się sprzeczka; —
Jeden zawołał: „to wiór z mego boru,
Ja go poznałem — bo tylko w tym lesie
Taki ogromny jesion znajduje się“.
„Kłamco, zawołał drugi, kłamco podły!
„Wszakże to jodła, a u mnie są jodły“.
I u mnie jodły — i u mnie, i u mnie!
Wszyscy tonący zawołali tłumnie,
I wiór ów w martwe pochwycili palce —

Wszczęła się walka — i wszyscy w tej walce
Zginęli; wiór zaś marny powód kłótni
Popłynął dalej i wołał: okrutni! —

Tam znów trup jakiś, — zielona zgnilizna
Twarz mu w oślizgły przemieniła topaz;
Oczy rozwarte — język zwisły po pas,
A na nim wyraz ognisty: Ojczyzna.
Brzuch miał rozdęty — znać się dobrze opił,
Nim ducha swego w napoju utopił,
Ducha nie ciało; — bo ciało po wierzchu
Pływa — jak chmura ciężarna o zmierzchu
Na czystem niebie — tak tutaj to ciało
Ciężkie i martwe po wierzchu pływało;
Aż straszno patrzeć! — Koło tego trupa
Wielka się małych ludzi ściska kupa,
I sukien jego przegniłych się czepi; —
Podobni kretom byli — wszyscy ślepi!
A ci co trupa trzymali za włosy
Tak płaczliwemi wołali nań głosy:
„Ty nie utoniesz, ojcze nasz jedyny,
„Wszak nie utoniesz, — bo my pamiętamy,

. . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . .

Tak sejmikując owa ślepa rzesza,
Podobna muchom na śmierdzącem ścierwie,
Roi się, brzęczy — i na trupie wiesza;
I coraz kawał starej szaty przerwie. —
Już z ramion zdarty wylot od kontusza,
Już z bioder zdarty i pas złotolity
Że brzuch nagiemi kurczy się jelity,
Jakby zaklęta siedziała w nim dusza; —
Już obszarpane i poły żupana
Sięgają teraz ledwie po kolana;
A gdy ostatnie łachmany zeń spadną;
Trup ten okropną nagością zaświeci,
I pęknie z grzmotem i w proch się rozleci,
I bez ratunku trup ów pójdzie na dno!

Tam znów topielec z krwawemi oczyma
Na wszystkie strony rzuca się i zżyma,
Siny rozpaczą i okropnie blady:
A wkoło niego obrzydłe szkarady:
Żmije, padalce — w czarne zwite kłęby
Syczą i skaczą do spienionej gęby. —
On jedną ręką opędza się głodnym
Duchom piekielnym, czy potworom wodnym;
A drugą złoto na zgłodniałe rzuca;
A każdy pieniądz w potok krwi się mieni,
I tak się kurzy i tak się czerwieni,
Jakby go ludzkie wyrzygały płuca; —
A każda kropla takiego potoka
Płomiennym w górę wystrzela językiem,
A każdy język, jak z gardzieli smoka ,
Tysiącem iskier parska, które z sykiem
Wzlatują w górę i nad winowajcą

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Ówdzie niewiasta cała w śnieżnej bieli,
Lekkiemi sukien unoszona rąbki,
Tak się śród czarnej wydaje topieli
Jakby rodzona siostra tej gołąbki,
Co na najwyższych gór usiadłszy barki,
Z różdżką nadziei wracała do arki!
Lecz owa z białem od rozpaczy licem,
Zamiast gałązki oliwnej, na ręku
Trzyma dziecinę, tak ją pieszcząc: „synku!
„Nie bój się—nie bój!—Twój ojciec dziedzicem
„Tylu tysięcy dusz i tylu wiosek,
„Że nam nie spadnie z głowy jeden włosek; —
„Bo jeśli wszystkich swoich spędzi chłopów,
„A każdy weźmie choć po parę snopów,
„To takie dla nas uścielą tu tamy,
„Że ich piekielne nie przemogą bramy! —
„Nie bój się, dziecię — gdy zabraknie snopów,
„Oh! wierz mi — on nie pozazdrości
„Ostatniej duszy z ostatniej swej włości
„I każe kilka tysięcy wbić trupów!“
Aż zgroza słuchać, jak te piękne usta
Zeszkaradziła duchowa rozpusta,
Że bez wzdrygnienia tak okropnie bluźnią!
Aż zgroza patrzeć, że taki przybytek
Ducha Bożego — przesądy i zbytek
W taką zmieniły Lucyfera kuźnią!
Aż zgroza patrzeć! — Ale już prąd fali
Porwał ją, uniósł i popędził dalej. —
A na jej ślady nowe widowiska
Wicher nagania: — jakaś ludzi rzesza
Toczy się — kręci, rozsuwa i ściska,
I znów rozsuwa — i znowu się miesza,
Do zburzonego podobna mrowiska. —
W pląsach i skokach, tutaj się za ręce,

Tam pas trzymają panny i młodzieńce;
A tamci znowu, jak dwie błyskawice,
W serdeczne sobie upadłszy objęcie,
W szalonym tańcu, w wirowym odmęcie,
Młynkują — lecą — zataczają, skaczą —
A krwią im zaszły bielma i źrenice,
A pot im zimny płonące zlał lice,
A usta straszną skrzywione rozpaczą;
A oni lecą, lecą a nie mogą
Dogonić szczęścia unużoną nogą. —
Zda się, że w dzikim upojenia szale
Tańczących zgubne podchwyciły fale,
I tak tę zgraję ucztującą w nędzy
Pędzą podobne do piekielnej jędzy. —
A oni lecą — i coraz to prędzej
Zgubne szaleństwa zataczają koła,
I coraz krwawszy pot im ciecze z czoła;
A oni lecą, lecą coraz dalej
Lecą bez końca, aże się spotkali
Z jakimś ponurym, grobowym orszakiem,
Który pod wodę, tyłem naprzód płynął,
Jak gdyby w dziejach ludzkości był rakiem; —
A całą chmurą czarną się obwinął,
Jakby następca tego, co z Syonu
Wolę swą ogłosił przez usta piorunu. —
Czarny był cały — i na czarnych krzyża
Ramionach swoje rozpiąwszy ramiona,
Podobnym każdy był do nietoperza,
Każdy pochmurny pływak tego grona;
I na tym świętym odkupienia znaku
Byłby bezpiecznie dopłynął do lądu
Nowego świata — albo do dnia sądu
Każdy współpływak owego orszaku;
Tylko że wiara, która Piotra niosła

Przez głębie morskie bez żagli i wiosła,
Tylko że wiara owa już skonała
W tych ciasnych piersiach pod ciężarem ciała!
Tylko że pod tym ciężarem znak krzyża
Coraz się głębiej w falach czasu nurzy,
I przed potęgą rozkiełznanej burzy
Coraz się — coraz widoczniej uniża;
Lecz jeszcze płynie — a za nim rozpięty;
Płynie ów orszak z kościelnymi sprzęty;
Płynie pod wodę — i głosem żałoby,
Głosem tak strasznym, jakby wszystkie groby
Wszystkim umarłym naraz odemknięto,
Ponure swoje powtarza: m o m e n t o!
Śpiewa i płynie; — a gdy dzikie wały
Ową nań zgraję rozpustną nagnały,
Zwarli się z sobą — jak dwa wojska zbrojne:
Jedne w rozwiązłość — a drugie w ułudę,
I taką z sobą rozpoczęli wojnę,
Jak z tłustem, bydło Faraona chude. —
I zwyciężyli synowie rozpusty,
I lekkomyślna płochej zgrai noga
Ztrąciła z krzyżów niewiernych sług Boga —
I powstał z głębi wielki głos: o s z u s t y!
I potonęli, a krzyże ofiarne
Płynęły dalej samotne i czarne. —
I owa zgraja płochych rozpustników
Pośród szaleństwa i tryumfu krzyków
W przeciwną stronę popłynęła dalej
Porwana wirem wyuzdanej fali. —

I na ten widok, ów co w kruchej łodzi
Płynął samotny śród świata powodzi,
Jęknął — i oczy ukrył w dłonie obie,
I zimny, niemy, martwy, jak trup w grobie,

Zdał się na losy! — Ale któż odgadnie,
Jakie tam czucia zamarły w tem łonie?
Któż tajemnice tej piersi wykradnie?
Któż zdoła zgłębić te bezdenne tonie,
W których się duch nasz niewidzialnie nurza,
Kiedy bezbrzeżna szamoce nim burza?...

Precz, podła tłuszczo, co żyjesz okruchem
Ze stołu pana — nie tobie być sędzią
Nad niebosiężnym takich ludzi duchem!
Alboż ty drobną twoich myśli piędzią
Zbieżysz obszary, które on przebiega?
Alboż ty zimnym doświadczenia wzrokiem
Dojrzysz za ciemnym przeszłości obłokiem
Tych gwiazd przeznaczeń, które on postrzega?
A jeśli błądzi, znasz ty drogi jego
Po których błądzi?... znasz ty drogi mleczne,
Któremi chadza przed tron Przedwiecznego
Pytać o jego wyroki przedwieczne?...

Z rozpaczą niemą, bezsilną, choć wściekłą,
Płynie samotny ów wieszcz Kaimita:
A chociaż płynie przez to żywe piekło,
Nie jęczy przecież — zębami nie zgrzyta,
Nie dba, że ginie, — że z nim wespół giną
Ci, co przed krótką dopiero godziną
Byli narodem! — A gdy naród cały,
Naród potężny, olbrzymi, zuchwały,
Co się nie wahał nawet z swoim Bogiem
Wystąpić w szranki i walczyć, jak z wrogiem,
Gdy naród taki ginie — i tak marnie
Ginie na zawsze — ha! któż z was ogarnie
Tę całą boleść i wszystkie męczarnie,
Jakie szamocą ducha, który całym

Narodem zwał się, choć był jednem ciałem
W piersi jednego człowieka zamknięty;
Czy rozumiecie wy słowo przeklęty,
Kiedy je Bóg sam w swym gniewie wyrzecze,
Gdy je wyrzecze nad całym narodem,
A one ogniem potępienia ściecze
Na jedno serce i zetnie się lodem,
Po którym późne ledwie pokolenia
Pójdą wyroków śledzić przeznaczenia?...

A czy wy wiecie ludzie małej wiary,
Że i zwątpienie może być bez granic?...
Tak on co kochał i wierzył bez miary,
Dziś nie dba o nic i nie zważa na nic —
Płynie, ukrywszy oczy w dłonie obie
Skostniały, martwy, zimny, jak trup w grobie —
Płynie bez czucia!

Aż nagle krzyk dziki,
Jakim zaryczą chyba śmiertelniki,
Gdy ich na ogień potępienia wieczny
Wskaże w dzień sądu wyrok ostateczny;
A że go nagle taki krzyk uderzył,
Że powstał, spojrzał i oczom nie wierzył! —
Jakaż okropność?... Cały ród Kaima
Co i tak wiedział, że ratunku nie ma;
Że chwila sądu ostatniego blizka;
Czemuż się teraz przeciw falom zżyma,
Czemuż ucieka — a trwogi oczyma
Łamiąc się z losem po za siebie ciska?...
I głosem trwogi woła: „biada, biada“!
Ah! czy widzicie?... Oto tam śmierć blada,
Śmierć z kosą leci! — Śmierć na winowajców,
Na bratobójców—przekupniów krwi—zdrajców!

Śmierć leci z kosą—śmierć z kosą, śmierć z kosą,
Śmierć z kosą leci — i już przed jej cięciem
Fale was czasu dalej nie uniosą,
Was — obarczonych stu wieków przeklęciem
Biada wam, biada!
I wszyscy ci podli
Na widok blasku tej kosy struchleli —
Ten z trwogi bluźni — a tamten się modli;
Inny przeniósłszy zimny grób topieli
Na tę śmierć krwawą, co w jednym zamachu
Przecina życie jednem ostrzem stali,
Woli utonąć w zapomnienia fali,
Utonąć marnie — byle ujść przestrachu!
Inny co nieraz przy biesiadnym stole
Powtarzał z dumą na wytartem czole,
Że wielkim ten jest, kto z losów zawiei
Własną się ręką dobije zwycięztwa,
Lecz większym stokroć, kto ma tyle męstwa,
Że umie walczyć nawet bez nadziei,
I ten, gdy ujrzał blask tej strasznej kosy
Pobladł — i dębem stanęły mu włosy,
I zębem trwogi, jak pies zaczął szczekać,
I z przerażenia drżał i chciał uciekać! —

Tylko samotny, ów wieszcz Kaimita
Na widok blasku tej kosy nie blednie —
Jemu się zdaje, że dzień nowy świta,
Jakieś mu w duszy wstają przepowiednie, —
Jakieś przeczucia zrywają się wieszcze,
Że dla tonących jest nadzieja jeszcze;
I wielkim głosem woła: „bracia moi!
„Czemuż się ciało wasze śmierci boi?
„Oto w tej kosie, co was tak przestrasza
„Jest życię naszę i nadzieja nasza!

„Błogosławiony, kto w godzinę trwogi
„Za nią uchwyci i uwierzy w Boga,
‚I w imię jego pójdzie walczyć wroga, —
„A skruszy stare bałwany i Bogi:
„Chciwość, łakomstwo, dumę, samolubstwo,
„I z duchem własnym nieczyste porubstwo!“

Wołał napróżno — bo strwożona tłuszcza
Znaczenia słów tych wieszczych nie rozumie,
Ale się coraz w gęstszym ściska tłumie
I głębiej w potop występków zapuszcza!
Więc wieszcz samotny śród świata powodzi,
Gdy głuchy przebrzmiał głos jego proroczy,
W znaku zbawienia utopiwszy oczy,
W stronę zbawienia zwrócił bieg swej łodzi;
I piersi własnej oddechem ją nagli,
I myśli przędzę rozpiął zamiast żagli,
I ku tej stronie leci coraz chyżej,
I znak zbawienia coraz widzi bliżej —
Nareszcie przybił!... Gdzie przybił?... O! cuda!
Cóż to za mnóstwo zebranego luda
Spokojnie siedzi na ziemi wyżynie,
Która nad czasu zburzonego fale
Sterczy tak dumnie, wzniośle i wspaniale.
Albo li cudem śród powodzi płynie?
A śmierć i kosa?

Co to za chłop taki,
Z tą dumą w oku — z twarzą bohatera
Bogatą w liczne stoczonych walk znaki —
Lewą się dłonią na tej kosie wspiera;
A prawą szorstką — twardą — ale szczerą
W uścisku bratnim podał przybyszowi
I woła: bracie, witajcie nam zdrowi!

Co za chłop taki silny, olbrzymi,
Z stem kółek w pasie — za pasem z siekierą,
Pomógł mu stanąć na ojczystej ziemi?
— Bo że ojczysta i własna, i święta
Któżby nie poznał, dotknąwszy choć zlekka,
Tej ziemi matki, co tyle pamięta
Krwi, za jej wolność przelanej od wieka?...
— I on zaledwie dotknął jej krawędzi,
Upadłszy na twarz całował to błoto,
W którem nie widzi wielu, tylko złoto,
Po które Wisła z plonem w świat gdzieś pędzi;
A kiedy powstał, dwie długie łez strugi
Z ócz mu się lały; — spojrzał — jakieś mnóstwo
W około niego — to lud i ubóstwo —
Lud, co odwieczne jarzmo i wysługi,
I nędzę dźwigał na poczciwych plecach,
A teraz znowu zasiadłszy na wiecach,
Chce sobie radzić—radzić chce?... i o czem?...
— Któż tajemnice przyszłości odgadnie?
Któż Bogu Stwórcy myśl z piersi wykradnie?
Wszak on, choć duchem wzniesiony proroczym
Nie mógł jej zbadać — i patrzał z zdumieniem
W około siebie — i naprzód spojrzeniem,
A potem drżącym dopytywał głosem:
„Gdzie jestem, przebóg?“

I jakiś chłop stary,
Schylony pracą, z białym, jak śnieg włosem,
Rzekł mu: „Bóg z tobą, człeku dobrej wiary!
„Gdzie jesteś!... pytasz — noga twoja depce
„Grób bohatera, — ale wierzaj bracie,
„Że ty tu stoisz przy świata kolebce —

. . . . . . . . . . . . . .

„A te straszliwe tylu czasów wały,
„Co się śmiertelnem czechłem dla was stały,
„To spowijaki nasze i pieluszki;
„A to jest oto — mogiła Kościuszki!

---

## ZYGMUNT

### KSIĄŻE POLSKIE W WIĘZIENIU.

(Z Kalderona dramatu: „Życie snem!")

Więc nie jęczyć mnie biednemu?
Boże, coś takimi ciosy
Dotknął mnie — i wy niebiosy,
Ach! powiedźcie czemuż, czemu
Za to tyle cierpieć muszę,
Żem w ciebie uwięził duszę? —
Ha! zaiste — sprawiedliwie
W nieugiętym swoim gniewie
Temi ciosy mnie ugodził
Bóg za to, żem się urodził;
Bo największą — może całą
Zbrodnią naszą jest to ciało!

Ale by zgłębić od razu
Bezdenne cierpień mych morze,
Powiedzże mi, wielki Boże,
Czemu od nędznego płazu,
Czemu pomiędzy wszystkiemi
Jam najnędzniejszy na ziemi?
Czyliż nie żyją i inni?
A jeśli nie mniej są winni,
Czemuż tylko ja jedyny
Za wszystkich cierpieć mam winy?

Wszak i ptak żyje — a przecie
Zaledwie ujrzał się w świecie,
Zaledwie stał się skrzydlatym
Różnobarwnych wzorów kwiatem
I pierzastym okrył puchem,
Już wolnych skrzydełek ruchem
W bezkresne obszary świata
W wolnością swoją ulata!
A ja z skrzydły lotniejszemi
Ja, com Boga rówieśnikiem
I obrazem jest na ziemi,
Miałbym umrzeć niewolnikiem?...

Wszakże i zwierz dziki żyje,
A zaledwie się okryje
Połyskliwą, miękką, gładką,
Niezliczonych odmian siatką
(Dzięki naturze malarce), —
Już potwór żądz niewolniczy,
Chciwy łupu i zdobyczy,
Krwawe rozpoczyna harce!
A ja z żądzmi wznioślejszemi,
Ja, com Boga rówieśnikiem
I obrazem jest na ziemi,
Miałbym umrzeć niewolnikiem?!...

Wszakże i ryba, zaledwie
Z błotnistego mułu grudki
Urodzi się, i skrzele dwie
Do żywej podobna łódki
W podwodnej poruszy toni,
Już za wolnością swą goni,
Już rozwinąwszy bieg szparki,

Bezdenne łono wód porze,
I wnet zaciasnem jest morze
Dla oceanu żeglarki. —
A ja z tą potęgą woli,
Jabym miał umrzeć w niewoli?...

Wszak i strumyk, gadzinie
W trawach pełznącej podobny,
Jednak sobie wolny płynie
I dla lilii nadbrzeżnej,
Co białej piersi blask śnieżny
Ku kryształom jego skłania,
Hymn uwielbienia wydzwania;
A ja z tą duszą potężną,
Z tym organem w piersiach dzikim,
I z tą myślą niebosiężną,
Mam umierać niewolnikiem?!

Jak ognista, groźna Etna
Jest ta moja pierś gorąca,
Ogniem cierpień pałająca
I zarazem natchnienia świetna;
A w dzikim rozpaczy szale
Gotówbym w tej piersi mojej
Szukać śmiertelnych podwoi
I rwać serce po kawale;
Bo i któryż sąd zuchwale
Taki wyrok wydać zdolny,
. . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . .
Kiedy nawet ptaszek polny,
Drobny strumyk, rybka cicha,
Ziemia i dzikie zwierzęta —
Wszystko wolnością oddycha!

## W CZĘSTOCHOWIE.

Quae medicamenta non sanant, ferrum sanat

*Hippocrates.*

Sto dni odpustu święte ogłosiły spiże —
Zajaśniały świeczniki, zaczerniały krzyże;
Lud odwieczną niewolą i nędzą dręczony
Opuszczał swą chudobę, rzucał dzieci, żony
Dla kilku dni odpustu, — dla stu dni zbawienia,
Dla marnych stu dni szczęścia — tak czuł swe cierpienia,
Wszystko swoje poświęca — tak do szczęścia wzdycha!
Wieków nędzy zapomniał — przyszłością oddycha!
Przyszłością stu dni marnych, — a zblizka i zdala
Płynie, jak wolnym wiatrem rozdymana fala,
Prosto w nawę kościoła, — i u stóp ołtarza
Łamie się i bezsilny czoło w prochu tarza!
Gdzież ta żądza ......., co go niosła w biegu?
Schnie na progu kościoła, jak piana na brzegu!

A przecież, gdyby fala ta głowę podniosła,
I gdyby chciała pierś swą ścisnąć i rozwinąć,
Trzebaby wielkiej ręki, żelaznego wiosła
I żagli geniuszu, by po niej przepłynąć!
O! nie, zaiste! — dość jest żelaznego krzyża
I czarnej sukni mnicha! — Patrz — kapłan się zbliża —
Za nim drugi i trzeci, — już orszak ofiarny
Rozwinął się ponury, milczący i czarny

Jak chmura tajemnicza; — klękli — i lud klęczy —
Powstali — i lud powstał, jękli — i lud jęczy
I w niebo głosy swoje podnosi wołanie:
Od głodu i niewoli zachowaj nas Panie!

O! biedny — biedny ludu — pomyślałem wtedy,
Tyś biedny, a Bóg twojej nie litościw biedy —
Ty płaczesz, a Bóg płaczów twych od wieku słucha,
Ty wołasz, a Opatrzność na wołanie głucha!

O! biedny; biedny ludu, gdyby ten Bóg żywy,
O którym ciebie uczą, że jest sprawiedliwy;
Gdyby on berło władzy w moje złożył ręce,
I gdybym w każdej takiej pochmurnej sukience
Mógł utkwić piorun czynu — a w każdym kapturze
Mógł zbudzić błyskawicę — o biedny mój ludu,
Zwiastowałbym ci wtedy nie modły, lecz burze!
I największego bym ci dał dowody cudu:
. . . . . . . . . . . . . . . .
I odpust bym ci sprawił zupełny — bo wieczny!

---

## UBOGIM W DUCHU.

„Pracujcie, prawowierni i módlcie się Bogu!“
Pracujcie i módlcie się! Ale jak się modlić?
Ty uderz czołem kamień przy świątyni progu —
Ja i w modlitwie mojej nie umiem się podlić!

Ty u stopni ołtarza rościel się w pokorze,
I czołgaj się śród błota, jak zgniła kałuża;
Ja chcę być, jak bezbrzeżne i bezdenne morze:
Myślą moją huragan — a modlitwą burza!

Tobie niechaj Bóg tajne zamiary ogłasza
Przez usta dyplomatów niebieskiego dworu,
Niech ci się w pocałunku objawia Judasza;
Ja Go chcę widzieć w ogniu olszowego boru,
Słuchać wyroków Jego przez usta piorunu,
Jak Mojżesz wobec ludu, na górze Syonu!
Tobie niechaj do szczęścia pacierze wystarczą,
Ciche skrzydło twych modłów niech dotknie niebiosów,
A serce obumarłe niech ci będzie tarczą
Przeciw pokusom ducha i pociskom losów;
Ja nie chcę ducha pogrześć w grobie własnych kości
A ciało karmić kęsem powszedniego chleba: —
Raz wsiadłszy, jak Eliasz w rydwan namiętności,
Chcę ogniem namiętności żywo wejść do nieba!

## NA WYSOKOŚCI TATRÓW.

Ja król — na tronie mych ojczystych gór,
Ja król i ziemi, i wichrów, i chmur!

Spojrzę — podemną w obłącz rozesłana,
Ziemia pokorne ugina kolana,
Pasmem gór dłonie żebrzące podnosi,
Litości woła i o wolność prosi;
Daremnie ziemio, — płaczem nie podołasz,
Nigdy się łzami szczęścia nie dowołasz;
Ja król, — brzęk kajdan, płacz całego świata
Do majestatu mego nie dolata! —

Ja król — gdzie tylko sięgnę wszerz i wzdłuż,
Ja król nawałnic piorunów i burz!

Spojrzę — podemną żżyma się i dąsa,
Warczy, wre — grzywą niewolniczą wstrząsa
Potwór niebieski!... To lud buntowniczy
To chmur nawała burzą zemsty ryczy!
Lecz próżno — próżno chce zatrząść mym tronem.
Napróżno do mnie wystrzela piorunem;
Ja król, mych ludów, moich chmur potęga
Do majestatu mego nie dosięga!

Ja król — na tronie mych ojczystych gór
Świetny — królewski otoczył mnie dwór!

Tu siwe skały, z powagą senatu
U stóp mojego siadły majestatu,
Berła przyrody ujarzmione władzą
Mówić nie śmieją — wiem, że mnie nie zdradzą!
Tam nieśmiertelnych wojsk olbrzymie masy
Do ziemi wrosłe — szarzeją się lasy,
Wiem, że domowej nie podniosą wojny;
Choć król — a przecież zasypiam spokojny!

Ja król — na tronie mych ojczystych gór
Świetny — królewski otoczył mnie dwór!

W dole murawa, przetykana w kwiaty
Moje królewskie wysłała komnaty —
U stóp mych strumień czołga się i szepce
I wiatr mi niesie mych dolin kadzidła;
Ale ja znam was, znam dworów pochlebce —
Daremnie zdradne rozstawiacie sidła —
Podłych języków wielkość ma nie słucha,
Choć król — pochlebstwom nie nadstawiam ucha!

---

## POWRÓT Z PIELGRZYMKI.

Patrzno, mój Janie — twój wzrok sokoli
Może już stąd tu postrzeże
Ów wiąz z bocianem — szczyty topoli,
I krzyż z kościołka i wieżę!

Patrzno, czy prawda, czy wzrok mnie łudzi,
Widzę mój domek na wzgórku,
Ale nie widzę nikogo z ludzi,
Smutno i pusto w podwórku.

Czy śpią tak długo?... już kawał z rana!
Słyszysz?... pies zawył z łańcucha —
Czy wietrzył powrót swojego pana,
Czy śmierć zobaczył, czy ducha?

Tam na ogródku — na kwietnej grzędzie,
Łodygi chwastu się wzniosły;
A pająk w oknie sieć sobie przędzie,
A ścieżki trawą zarosły. —

Słuchaj ty, Janie — gdyby też w domu
Nie było kogo powitać?
Gdyby nie było przyjąć nas komu,
Ani o zdrowie zapytać!

Straszno mi! — Jakieś myśli złowieszcze
Budzą się w smutku i trwodze;

Spieszmy do chaty, lecz pierwej jeszcze
Wstąpmy na cmentarz po drodze;

Może na głazach tego cmentarza
Drogie imiona wyczytam;
Pamięć z nich kształty zgasłe postwarza
I cienie bratnie powitam!

Ty płaczesz?... Mnie mój los nie zastrasza,
Grobów i mogił znam tyle!
Wszak przeszłość nasza i wielkość nasza
W jednej złożona mogile!

Jam nawykł błądzić stopą pielgrzymią
Po grobach sławy i blasku,
I budzić kości, co śpią pod ziemią
I krew, co przyschła na piasku!

Jam nawykł szukać w starych zamczyskach
Starej powagi, prostoty —
Starej świetności w bladych połyskach
Wytartej starej pozłoty;

A jak zaklęcie czarnoksiężnika,
Tak władza mojej pamięci,
Groby otwiera, trumny odmyka
I wraz się budzą zaklęci!

. . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . .



* *
*

Lecz na cóż zda się
W dzisiejszym czasie,
Ubiegłe czasy rozśpiewać!
Dziś już przestała
Przeszłość zgrzybiała,

Ramię do czynu zagrzewać. —
Wielcy ojcowie
Bohaterowie
Śpią tam gdzieć w ciemnej mogile,
A ich pałasze
A dusze nasze
W pochwach rdzawieją i w pyle!

Więc na cóż zda się
W dzisiejszym czasie
Żyć nam w złych losów kolei?...
Ach! nas do ziemi
Proroctwy swemi
Przywiązał anioł nadziei!

---

## PIOSNKA WYGNAŃCA.

W wonnym sadzie mojej matki
Kwitły bezy, kwitły róże,
Polne maki i bławatki,
I lilije — kwiatów stróże.

Słowik dla nich śpiewał — jęczał
Najpiękniejsze swoje pieśnie;
Wiatr szeleściał — strumień brzęczał
Pół na jawie — na pół we śnie. —

Jam w dziecinnych moich latach,
Z całym rajem w młodem sercu,
Biegał skocznie po tych kwiatach,
Na jedwabnym traw kobiercu. —

Dziś tułactwa twarde drogi,
I los gorzki w poniewierce,
Poraniły moje nogi,
Zakrwawiły moje serce.

A tam jeszcze dzisiaj może
Kwitną maki i bławatki,
I piękniejsze od nich róże
W wonnym sadzie mojej matki.

---

## BOHATEROM DNI NASZYCH.

Zdawna przywykły z duchem czasu gadać,
Mistrz z dziejów świata zasłonę odrzucił,
Kazał przeszłości z grzechów się spowiadać,
I czasom naszym taką pieśń zanucił:

„Biada ci, biada — dni dzisiejszych synu,
Coś duszą westchnął do dzieła i czynu!
Tobie po ojcach tyle nie zostało:
By żyć szczęśliwie albo umrzeć z chwałą!
Wszystkie te skarby — wszystkie te dostatki,
Coć przypaść miały z bogactw twojej matki:
Przyszła twa sława twe dzieje — Ojczyzna —
To zadłużona przez ojców puścizna
Z której dziś lihcwiarz — wiek się twój bogaci
Niedolą twoją — nędzą twojej braci!“

„Dłużniku wieków — pragnący i głodny,
Daremnie wołasz: łaknę czynu chleba
Dla ciebie wiek twój w chleb zdarzeń niepłodny,
A manna życia nie pada dziś z nieba!

Nędzarza wieków — odarty i bosy —
Próżno u świata o kiju tułaczym
Żebrzesz litości skargami i płaczem,
Próżno przeklinasz i czasy i losy —
Świat cię nie przyjmie — los cię nie wysłucha,
A na twe skargi przyszłość twoja głucha“.

„Z duszą na wielkie wzrosłą przedsięwizęcia,
Z wolą bez czynu, z myślą bez poczęcia;
Z sępem męczarni i zgryzot u łona,
Z żądzą Tantala — z niemocą Samsona;
Jak Bóg, którego naraz opuściła
Mądrość niebieska i tworzenia siła;
W otchłani czasów — bez gwiazd i bez słońca,
Nigdy się prac twych nie dopatrzysz końca —
Gdziekolwiek stąpisz, co poczniesz—co zrządzisz,
Za każdym krokiem upadniesz lub zbłądzisz!“

„Wielkich Cezarów — ty potomek prawy,
Dziś gladiator na igrzysku wrogów,
Walcz bez nadziei — zwyciężaj bez sławy,
Lub giń bez wiary w twych ojczystych Bogów —
Giń bez pociechy! — Bo któż się ośmieli,
Z krwi twojej przyszłych wywołać mścicieli?
Giń niepomszczony! Dziko i hałaśnie
Wróg twój szyderstwem twej śmierci przyklaśnie,
A może, może nawet cię doleci
W chwili skonania przekleństwo twych dzieci!“

„A może, może nawet nad twym grobem
Oszczerstwo czarnym zaklekoce dziobem,
Wiatr na wsze strony proch twój porozmiata,
Dusza twa pójdzie na pastwę języków
Umęczonemu dla zbawienia świata,
Nikt ci pośmiertnych nie stawi pomników!

A kiedy wszystkie zapomną cię dzieje,
Gdy nad twym grobem sto wieków przewieje,
Ledwie tam jakaś piosnka narodowa,
Późniei przyszłości twą pamięć przechowa!“

---

# OSTATNIA SPOWIEDŹ W STARYM KOŚCIELE

Than be so,
Better to cease to be! —
*Shakespeare.*

## OSTATNIA SPOWIEDŹ.

### I.

Być albo nie być?... Ot *było* pytanie!
Mus konieczności odpowiedział na nie —
Nie ma wątpienia; — bo czy być, czy nie być,
Kres ostateczny zawsze trzeba przeżyć. —
Więc po co zwłóczyć? — Wszak i ty kapłanie
Pacierz twój kończysz słowem: niech się stanie!

Stało się! — Byłem czem byłem, nic więcej
Będę czem będę — tem pewniej im pręcej:
Byłem ni podłym, ni pierwszym z zbrodniarzy,
Lecz byłem głupcem złudzeń i omamień!
Czem jutro będę!... Odwalcie ten kamień,
Spytajcie prochu: czem jest, o czem marzy?
Marzyć?... i o czem, o czem marzyć w grobie?
Prochu Hamleta! wstań i świadcz o sobie —
Prochu Hamleta! mów, co ci się śniło
Pod tylu wieków milczącą mogiłą!
Jeżeli miłość — jam kochał jak może
Nie wielu kocha, — ale żal się Boże
Wspominać o tem; — zbyt to stare dzieje
I zbyt bajeczne — mędrzec się z nich śmieje,
Wierzy w nie tylko jeszcze młodość płocha,
A wierzy tylko dla tego, że kocha!

Miłość — tęczową wyobraźni tkankę —
Bańki mydlane — motyla — kochankę
Dzieciom zostawmy i tym co zostali,
Na całą wieczność dziecinni i mali!
Przestałem kochać! —

Jeżeli przypadkiem
Usłyszysz kiedy o moim pogrzebie,
Nie płacz, — oh, nie płacz po mnie, — bo Bóg świadkiem,
Żem przestał kochać nawet, nawet ciebie,
Gwiazdo dziecinnych marzeń, coś na niebie
Młodości mojej najświetniej zabrzasła,
Krótko świeciła i tak wcześnie zgasła!
Zgasłaś, choć byłaś gwiazd moich królową —
Po tobie inna weszła nad mą głową
Gwiazda mądrości! —

II.

Biada im, o biada!
Którym zbyt wcześnie Bóg w duszy zagada
Głosem rozumu! — Biada tym, co błądzą
W ducha własnego bezdennej głębinie,
Bo z najstraszniejszych najstraszniejszą żądzą
Jest żądza prawdy! —

Adamowy synie,
I tyś robaczkiem, któremu przypadło
Przeżuć na drzewie wiedzy choć liść jeden —
Ale nie tobie przeznaczony Eden!
Patrzaj — sto wieków z drzewa tego jadło
Patrzaj — dziś z niego miliony jedzą —
Zapytaj, któryż syt prawdą i wiedzą?

A z drzewa dotąd ogniste owoce
Świecą nam w ciemnej domysłów pomroce;
Lecz biada temu, który je obaczy
I rzuci dla nich święty chleb powszedni;
Sprawdzą się na nim słowa przepowiedni:
Żyć będzie w nędzy, a umrze w rozpaczy!

Ja z nauk zrobić nie chciałem rzemiosła,
Bo mnie myśl wyższa wyżej innych niosła —
Prawdy szukałem! — Zdarłem fałszu maskę
Z oblicza chytrych — z poczciwego czoła
Cudowną wiary odpiąłem przepaskę,
Zasłona spadła — wyszedłem z kościoła!

Do ciebie w ten czas wyciągnąłem ręce
Matko naturo, coś zdrojem uroków
Poiła niegdyś serce niemowlęce. —
Lecz nie piękności czarownych widoków,
Ni woni kwiatów, ni szumu potoków
Pragnąłem tylko światła i nauki,
Prawdy szukałem! — Zwiedziłem pracownie
Najczarowniejszych arcydzieł twej sztuki,
Księgi tajemnic twoich znam dosłownie,
I wszystkie twory twoje znam z imienia
I wszystkie siły — prócz siły tworzenia!

Duch jest tą siłą, — tak mędrzec powiada. —
Duch tworzy, burzy — składa i rozkłada;
Duch jest sam sobie swoim światem — słońcem,
Swoim początkiem — środkiem — celem — końcem,
Duch sam jest wszystkiem!

Mędrcze — duch jest niczem!
Jest owem wielkiem zerem tajemniczem,

Którego nigdy, nigdy nie obliczam?!
Głupstwo ten wyrzekł, kto rzekł: duch jest trójcą!
Bo trójca tylko jest ducha zagadką —
Kto ją rozwiąże, będzie ojcobójcą
Czasu — rodzica, a z wiecznością — matką
Jak niegdyś Edyp, spłodzi kaziorodnie
Nowe potomstwo, a z niem nowe zbrodnie:
Ster wieku weźmie i ludźmi zawładnie,
Lecz ducha ani pojmie, ani zgadnie! —

Mam, czegom nie miał — wiem czegom nie wiedział
Że między nami a prawdą jest przedział
Nieskończoności, — w którem tylu dumnych
Tyle rzuciło głów wielkich, rozumnych,
Na pomost głupstwu!
I jam stał na zrębie
Owej przepaści — i w ciemne jej głębie
Myśl przewodniczkę bez wahaniam cisnął;
Lecz choć stu mędrców trupamim ją tuczył,
Z cierpień mej piersi więcejm się nauczył,
Bom pełnem sercem nad światem zawisnął; —
I gdym tam przeszłość z tajemnic spowiadał
Tu mi duch czasu do serca zagadał
Płaczem tysiąców!...
Ktoś znał i rozumiał
Co to jest nędza i ciężar niewoli;
Jeśliś ksiąg martwych porzucić nie umiał
Dla starców, dzieci i Niemców i moli,
Mędrcze umarłych, pozostań w pokoju
Szczęsny — śród tylu, tylu nieszczęśliwych! —
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Rzuciłem książki i wszedłem w świat żywych!
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Życie jest walką, a świat polem boju!

## III.

Dosyć jest, z duchem Bożym kto w zapasach
Łamie się przez noc, aż do wzejścia słońca
Jako ów Jakób! — Może w innych czasach
Z innemi ludźmi wytrwałbym do końca —
Byłbym zwycięskiej dobił się korony,
Lub wyszedł cały i niezwyciężony!
Dziś w pełni życia i całej potędze
Opuszczam walkę — bo któż — sił nie straci
Gdy widzi marność i hańbę, i nędzę,
I podłą gnuśność swej rodzonej braci?!
Straciłem męstwo! — Alem zyskał za to
Klejnot, którego nawet i z utratą
Życia nie stracę, — tak jestem bogatym
W znajomość ludzi i tak gardzę światem!

Znam was, o! znam was, was dumnych i świetnych
Synów przeszłości po ojcach bezdzietnych —
Znam Cyncynatów, — w dwumiesięcznej wojnie
Okrytych głośną sławą bohaterów,
A od pół wieku zajętych spokojnie
Pędzeniem wódki i robieniem serów. —
Znam wojowników — pożądliwych boju,
Co posiwiawszy na — zbytkach pokoju,
Z bliznami wieku i marsem na czole
Trupem pijackie zaścielają pole. —
Znam ich — ach! znam ich — znam obywateli
Prawych ojczyzny synów — po kądzieli,
Co ku nauce zdumionemu światu
Gotowi zrzec się dla przyszłego państwa
Nietylko herbów — lecz nawet poddaństwa —
Znam wielkich ludzi małego powiatu!
Znam i te wreszcie ostatnie filary

Tej słynnej w dziejach staropolskiej wiary;
Znam was Feniksów wzrosłych na popiele
Zgliszczów ojczystych — znam was przyjaciele
Młodości mojej — was, w których się chowa
Godność i duma nasza narodowa;
Znam was pełniących trudny obowiązek
Mistrzów balowych — rycerzy podwiązek!
Znam was i gardzę — lecz tak wami gardzę,
Że każde słowo i wszystkie gorycze,
Któremi plunąć mógłbym wam w oblicze,
Że wolą raczej przymrzeć na mej wardze! —

Znam was — lecz czemuż nie poznałem wcześniej!
Nim myśl w krainę ułudzeń wybiegła,
Nim w sercu wielkie nadzieje zażegła, —
Nim zapragnąłem, o czem wam się nie śni,
Nim powitałem z czem się muszę rozstać:
Byłbym, ach! byłbym szczęśliwym mógł zostać!

IV.

Widzę — w ustroniu niewysoka strzecha
Z cichem ogniskiem i kawałkiem roli —
Przy moim boku jakaś skromna postać —
A w jej spojrzeniu szczęście się uśmiecha —
A w domu nie brak ni chleba, ni soli,
Ni opatrzności. — Wszystkiego dostatek —
Pełne owoców gumna i spiżarnie —
I jeszcze rok w rok coś się grosza zgarnie
Na zapomogę dla maleńkich dziatek,
Które się w domu z łaski nieba mnożą
Na przyjaźń ludzką i na bojaźń Bożą, —

Człek w poważaniu — ma bliźnich szacunek,
Ma dobrą radę — w potrzebie ratunek —
A gdy na pracy uczciwy wiek stera,
Jak żył spokojnie — spokojnie umiera! —

Tak wam umierać młodzi towarzysze!
Komu domowe wystarcza zacisze,
Czyja myśl ciasna, pozioma, nieśmiała,
Nigdy nad nizką strzechą nie wzleciała,
Ten spokojnego pilnując ogniska
Niech dziedzicznego po ojcach nazwiska
Póki sił stanie od zagłady strzeże;
Gdy sił zabraknie, niech wnuki kołysze
I święte z niemi odmawia pacierze;
Lub niechaj dla nich długi traktat pisze
O gniaździe cnoty, o szlachetnych przodkach,
O doświadczonych w gospodarstwie środkach;
W końcu którego niech doda przypiski,
Że kraj ubóstwa i upadku blizki,
Jeśli niemylnej pragnie ujść zagłady,
Powinien zmienić zagony na składy !—

V.

Szalony mówię, kto jak Ugolino
W zbytku nieszczęścia własne gryząc pięście,
Śmiechem piekielnym wyszydza nieszczęście,
I w własne oczy, własną pluje śliną! —

Przekleństwo temu, kto mękom ubliża
I szydzi z cierpień pod ciężarem krzyża!
Wam Ahaswerom — lecz nie mnie, zaiste!
Ja miałem serce niewinne i czyste!

## VI.

I kiedy myślą wrócę w te lata dziecinne,
Kiedy sobie przypomnę te miejsca rodzinne —
A pamiętam jak dzisia!... Dworzec był chędogi,
Choć nie wielki—lecz wsparty na wielkich stał cnotach—
Nieprzystępny był złemu, bo miał nizkie progi,
I poczciwość na straży przy otwartych wrotach. —

W oddaleniu na wzgórzu szumiał las dębowy,
I ponure co wieczór prowadził rozmowy
Z dalekim krewnym swoim a blizkim sąsiadem,
Z spanoszonym przy dworze owocowym sadem.
Sad ten był rajem szczęścia o jesiennej porze
Dla nas, grzechu Adama maleńkich dziedziców,
Pełen złotych owoców; — lecz uchowaj Boże
Zerwać było choć jeden bez woli rodziców! —

Między tym rajem naszym a dębowym lasem,
(Straszne ztąd, że tam niegdyś przed niepomnym czasem
Kościół się wielki zapadł w czasie nabożeństwa)
Rozlewało się wielkie, szerokie jezioro,
Prawie tuż poza dworkiem, w którym nas pięcioro
Małego przy rodzicach wzrastało rodzeństwa:
Ja starszy — młodszy brat mój — i trzy śliczne siostry—
Matka anioł dobroci — ojciec trochę ostry,
Ale człowiek jak rzadko — niezrównany w cnotach,
Doświadczony w nieszczęściach i licznych kłopotach. —
Wieleby o tem mówić — lecz niech pamięć żywych
Spokojnego snu grobów nigdy nie narusza —
Nieszczęśliwy za życia — może śród szczęśliwych
Zasypia dziś w pokoju święta jego dusza!
Żył i umarł cnotliwie — i tem tylko zgrzeszył,
Że się we mnie stał ojcem nadludzkiej rozpaczy,

I że nadzieją szczęścia mojego się cieszył —
Nadzieją szczęścia mego!... Niech mu Bóg przebaczy!—

Cieszył się biedny ojciec, gdyśmy drobne dziatki,
Poklęknąwszy co rano przed Najświętszą Panną
Odmawiali pobożnie modlitwę poranną;
Albo kiedym wieczorem dla naszej czeladki
Zatrudnionej przedziwem i wiązaniem sieci
Czytywał Robinsona dziwaczne przypadki;
Miałem lat ośm wtenczas; — byłem mędrcem dzieci!
To też wpośród dziecinnych moich rówienników
Taką miałem powagę, że gdy czasem w święto
Zjechano się w sąsiedztwo, a starsi do świków,
Albo wisków zasiedli — lub też pić zaczęto,
A dziatwa w las ruszyła na wojenne harce;
Wtedy mnie jednogłośnie stawiono na czele;
A byłem wódz po temu; — w krakowskiej czamarce —
Na czole Mars — przy boku miałem karabelę —
Śmiałość wielką, — i taką wysłowienia biegłość,
Że na jakiejś tam wielkiej, uroczystej fecie,
Ja w niewoli zrodzone, ośmioletnie dziecie
Podniosłem toast: .................

„Winszujem ci sąsiedzie!“ powtarzali starzy,
A ojcu memu radość jaśniała na twarzy.
„Winszujem ci — zobaczysz, że twojej siwiźnie
Wyrośnie zeń pociecha, a chluba ojczyźnie!“
Wyrosłem — i gdzież owoc waszych przepowiedni,
Wy przyjaciele ojca mojego sąsiedni;
Gdzie waszych wróżb sprawdzenie?... gdzie zwodne [mamidła,

Za któremi w krainę wzniesion ideałów,
Do lotu archanielskie rozwijałem skrzydła;

Gdzie dni dziecinnych marzeń i młodzieńczych szałów?
Gdzie jest raj mój stracony, mój sad i jezioro,
Kościołek, las dębowy i ów nizki dworek,
W którym nas niewiniątek wzrastało pięcioro!
A gdzie modły matczyne i ranny paciorek,
Który długo mawiałem, dopóki mnie stary
Świata głupiego mędrzec — los ślepy i głuchy,
Nie wyleczył z choroby niebezpiecznej — z wiary!
A wierzyłem i w niebo i w piekło i w duchy;
Wierzyłem w łaskę boską — w miłość chrześcijańską,
W prawość ludzką — w szlachetność i w świętość [kapłańską —
Wierzyłem — w cóż nie wierzy młodość łatwowierna!
A dzisiaj — przebóg — jakaż dzisiaj próżnia we mnie —
We mnie — przy mnie — wokoło; — jakaż czczość [niezmierna!
Chciałbym wierzyć w cośkolwiek — daremnie, daremnie!
Opoka wiary pękła! — I wyż to myślicie,
Że warto żyć, jak żyję i kochać to życie?...

## VII.

Jeszcze kochać?... Pokażcież mi choć jedno serce,
Coby się nie sterało w świata poniewierce,
Coby nad względy ludzi i spraw ich zawiłość
Przeniosło zawiść piekieł, lub aniołów miłość!
Pokażcież mi to serce, któreby z zapałem,
Całą żądzą uczucia, poświęceniem całem,
Ukochało cośkolwek na tym wielkim świecie —
Cośkolwiek — ojca, brata, siostrę, matkę, dziecię,
Kochankę, przyjaciela — lub tę na ostatek,
Tę przez was uwielbianą — tę najlepszą z matek,

Ojczyznę! — Ha! pokażcie, gdzie miłość ojczyzny,
Gdzie owoc tej miłości?... Wasze łzy i blizny!...
Oh! synowie Ojczyzny z bliznami i łzami
Nim skronie bohaterskie zwieńczycie laurami,
Pokażcie mi, pokażcie — gdzie potęga duszy,

. . . . . . . . . . . . . . . . .

Która w harcie niezłomna, jak nam pismo głosi,
Olbrzymie góry płaszczy a doliny wznosi. —

. . . . . . . . . . . . . . . . .

Cierpliwość i pokora — prawda wielka święta.
Cierpliwość i pokora przebija niebiosy —
Więc cierpliwi, pokorni, zdajcie się na losy,
Albo na wolę bożą; — ale nim uwierzę
W świętość waszej pokory i w wasze pacierze
I w prawość pomazańców i w siłę tyary,
Pokażcie mi, pokażcie choćby cień tej wiary,
Która umarłych wskrzesza, niedołężnych krzepi
Przez którą chromi chodzą, przeglądają ślepi!

Niech przejrzą miliony, którym ciemność mroczy
Odwiecznymi błędami zaślepione oczy;
Niech do zdrowia powrócą ci, co się z choroby
Po pradzadach dziedzicznej wyleczyć nie mogą;
Niechaj ci, co w gnuśności pokładłszy się groby,
Trupiem okiem patrzają na przyszłość złowrogą;
Niechaj ci zmartwychwstaną, kiedy ich powoła
Na sąd wielki narodów trąba archanioła;
Wymódlcie i uproście, niech was Bóg wysłucha,
Niech na was zeszle łaskę przenajświętszą ducha;
Niechaj ogień natchnienia — ten żywy duch boży,
Który cudów naucza, nowe światy tworzy,
Stare bałwany kruszy i wskrzesza narody;
Niech ten ogień serc waszych poprzepala lody,

Niechaj błyskiem piorunu świat cały obleci,
Świętą żądzę dzieł wielkich niech w ludziach roznieci;
A gdy zbytków niewolnik wyrzeknie się dumy,
Kiedy głupcy przestaną walczyć na rozumy,
Kiedy głowy rozumne opuści ciemnota,
Kiedy mądrość przestanie być skarboną złota,
A wagą pokupności pobożność i cnota;
Gdy duch boży zamieszka w każdem drobnem sercu,
Miłość klękać przestanie na ślubnym kobiercu;
Kiedy nakoniec w ludziach sumienie się zbudzi,
Wtedy życie ukocham — uszanuję ludzi; —
Ach! wtedy może nawet z tą piersią rozdartą
Jeszczeby z wami cierpieć i żyć było warto!

---

# WIERSZE Z RÓŻNYCH CZASOPISM

## I Z RĘKOPISÓW.

## WIELKA NOC.

Noc zapadła — zmierzchły puszcze,
Głucha cisza świat zaległa,
Tylko Gopło, jęcząc, pluszcze,
I ta wieża, która strzegła
Brzegów jego przez lat tyle,
Widna z dala w czasów zmierzchu,
Jak maszt arki na wód wierzchu,
Albo płaczka na mogile.
Z nadziejami u jej kolan
Drzemie garstka Wielkopolan.

A dokoła głuchą ciszą
Świat i ludzie się kołyszą.
Tylko czasem wieść na wiatrach
Ze stron Wschodu nas doleci,
Że tam jeszcze są ich dzieci,
— Tam na skałach, w naszych Tatrach, —
Dzieci owych orłów, które
Dały skrzydła srebrnopióre
Tym, co Kijów, Wiedeń, Warnę,
Morze białe, morze czarne,
Bez taranów i korabli
Zdobywali ostrzem szabli.

Wiatr powionie — i znów ciszą
Świat i ludzie się kołyszą,
I znów głucho! Tylko czasem
Po nad starym Czarnolasem,
Z zawieszonej mistrza lutni,
Co dzień ciszej, co noc smutniej,
Niedorosłą miecza dłonią
Poruszane struny dzwonią;
Dzwonią piosnkę nazbyt rzewną,
Lub nadzieję zbyt niepewną!

Struny milkną — i znów ciszą
Świat i ludzie się kołyszą.
Tylko gdzieś tam od ogniska
Domowego ogień błyska
I przyświeca w nizkiej chatce
Czuwającej w noc czeladce.
A z czeladką do ostatka
Stara starych Piastów matka
Wyczekuje, aż anieli
Zwiastować jej przyjdą bieli,
I powiedzą, jak Elżbiecie,
Że narodzi późne dziecię,
Co prostować będzie drogi
Przed Pańskiemi Zbawcy nogi!

Nim czas przyjdzie, młode prządki
Osnuwają nić w pamiątki,
I z popiołu, który gaśnie,
Rozdmuchują stare baśnie.
Rozdmuchują — skra po skierce
Pryska — trzaska i ulata;
I gdy ziębi lud oświata,
Ta mu iskra grzeje serce!

A lud baśnie plecie, orze,
Po dawnemu wciąż nadzieje
Pod ojczystą skibę sieje,
I wciąż czeka — wciąż w pokorze
O czas żniwa rychły prosi,
Wciąż tę ziemię potem rosi,
A nie wie, że słowo Boże
I że Boże obietnice,
— Choć w przedwieczną tajemnicę
Upowite, długo drzemią
Pod rodzajną wieków ziemią, —
Są jak ziarno, które rzucił
Siejbiarz w ziemię, — potem wrócił
Z pola do dom, i po znoju
Całodziennym przy zasiewie,
Położył się spać w pokoju,
I wnet zasnął — i nic nie wie
Podczas swego snu, że ziarno,
Które przykrył ziemią czarną,
Wciąż tam pod nią przez noc rośnie.
Rośnie przez noc jedną — drugą,
Niewidzialne długo — długo;
Aż dopiero naraz w wiośnie,
W całej nagiej swej przestrzeni,
Czarny smug się zazieleni,
I bujnością swego łanu
Zbudzonemu odda panu
Najpiękniejszy plon w jesieni.

Jak to ziarno jest duch Boży!

Nieraz ludzkość uznojona
Na czas do snu się ułoży;
A on śpiącej w głębi łona

Rośnie, wzmaga się i plemi,
Jak to ziarno w głębi ziemi.
Niewidzialny, niewidomie,
Długo w głębiach ludzkich sumień,
Jak podziemny sączy strumień,
Zanim gdzieś przy czasów złomie
Na jaw tryśnie i roztoczy
Fale życia, prawdy, cudu,
Przed zaćmione marą oczy
Spragnionego przez sen ludu.

Zanim zdrój ten życia tryśnie,
Z pod wierzących serc opoki, —
Nim wiosenne słońce błyśnie,
I rozgrzeje martwe soki
Zamrożonych prawd żywota —
I rzucone gdzieś do błota,
Przedwiecznego słowa ziarno
Tchnieniem swojem rozzieleni,
I rozwidni noc tę czarną
Blaskiem jasnych swych promieni: —
Zanim wielką noc tę minie,
A dzień przyjdzie z jej powicia,
A was wezwie znów w godzinie
Zmartwychwstania Bóg do życia:
Śpijcie sobie — śpijcie sobie,
Błogo, cicho i spokojnie,
W wielkonocnym dziejów grobie
Wy, — co macie sny o wojnie
I rycerskich mar mamidła,
— Choć nie macie w sobie znamion
Tych rycerzy, którym z ramion
Wyrastały orle skrzydła, —
— Śpijcie sobie, — i ty z nimi

Ludu wierny, co staremi
— Gdy go noc usypie głucha, —
Podaniami trzeźwisz ducha;
Śpij i ty przez noc tę wielką,
Śpij spokojnie a bezpiecznie!
Bo ty z wiarą wskrzesicielką
Tą zasnąłeś, że nikt wiecznie
Nie umiera, — nikt co wierzy!
Śpij więc obok mar rycerzy!

Lecz nim zaśniesz ostatecznie,
Opatrz dobrze dom i drogi,
Które w jego wiodą progi:
Aby niemi pokryjomu
Nie zakradł się wróg do domu,
I gdy zaśniesz, aby skrycie
Nie ugodził na twe życie!

. . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . .



## MOJE SNY — MOJE UCZUCIA.

Pierś moja jest, jak wulkan, w którym śpią sny
[wieszcze,
Jak wulkan, w któren Stwórca przy stworzeniu jeszcze
Iskrę życia i gwiazdę przeznaczenia rzucił!
Wulkan wielki przedrzymał, a gdy się ocucił
Żarem uczuć odetchnął i ogniem natchnienia;
I lawą łez ognistych zapłakał i zgasnął,
I jak spał przed wiecznością, znów na wieczność zasnął!

Ja jestem, jak ów wulkan w przyrodzenia dziele.
Sam Bóg ogień swój święty w mej piersi zapalił;
Jam go zgasił — i w zimnym zmarłych żądz popiele
Jednej-m iskry na marny żywot nie ocalił!

Są kwiaty tajemnicze — co cicho i skrycie
Kwitną gdzieś tam nieznane na opoki szczycie;
Kwitną Pan Bóg wie poco? Kiedy nikt na świecie;
Nie słyszał nawet nigdy o ich wonnym kwiecie;
Nikt ich nigdy nie widział — tylko tamci z góry,
Bóg i Jego anieli, i gwiazdy, i chmury!
Jak siostry, któremi gardzi ziemia-matka,
Rosną, kwitną nieznane i więdną bez świadka!

Temi kwiaty są moje uczucia sieroce,
Co wyrosły na serca mojego opoce;
Bóg wie po co i na co?... kiedy tak tajemnie
Jak się we mnie zrodziły — wszystkie pomrą we mnie'
Nikt nigdy o tych kwiatach serca nie usłyszy,
Nikt ich nigdy nie ujrzy — chyba w nocnej ciszy
Stróż anioł — gdy snu skrzydłem osłoni mą głowę,
I senną z duchem moim zawiedzie rozmowę,
I ze wszystkich snów moich w tej niemej spowiedzi
Lecz jeden najsmutniejszy — sen serca wyśledzi!

Ty jeśli kiedy w smutnej poniewierce świata
Ujrzysz listek uwiędły, którym wiatr pomiata,
Nim go zdepcesz nieczuła obojętną nogą,
Ulituj się, ulituj nad zwiędłą niebogą;
Odejmij się na chwilę weselu i światu
I zasmuć się i pomyśl: „to liście jego kwiatu!“

26 Października 1840 r.

---

## DLA JEDYNEJ SIOSTRY

### PRZY WYJEŹDZIE W ŚWIAT.

Czy mi dziś smutno? — Nie wiem! Lecz Bóg widzi,
Że niewesołe mam serce i duszę;
Bo niechaj sobie kto i jak chce szydzi
Z niektórych rzeczy — ja przyznać się muszę,
Że choć od złudzeń wszelkich i omamień
Wolny już jestem, a w piersi pancernej
Niejedną blizną, nie serce, lecz kamień
Noszę — i pozór z wierzchu mam niewierny;
To jednak jeszcze jakiś we mnie szczątek
Pozostał z tego, co się dawniej śniło,
Jakaś przeszłości pamiątka pamiątek,
Jakieś wspomnienie tego, co minęło!
Więc choć spokojny jestem, moje czoło
Choć się nie chmurzy, ani smutkiem mroczy,
Chociaż pogodnie patrzą moje oczy —
Przyznaję jednak, że mi niewesoło!...
Ach! ale bo też jakże się weselić
W takiej, ot! chwili, gdy jeszcze za życia
Z tem wszystkiem wiecznie przychodzi się dzielić,
Z czem się wzrastało, żyło od powicia!
Z tobą, jedyna z moich, potem z tymi,
Co tam już leżą w tej nieszczęsnej ziemi,

Ach! w tej nieszczęsnej, którą, żal się Boże,
Ja ubóstwiałem więcej, niźli może
Jest dozwolono; za to sprawiedliwy
Spotka mnie wyrok — choć może i mściwy,
Że kości moich w niej pewnie nie złożę!

---

## „DO RÓŻY“

„Biedna moja — biedna mała,
Coś odczepić się nie dała
        Od bukietu różo!
Nie lękaj się, moja biedna,
Choć od sióstr swych sama jedna
        Oderwana burzą.
Nie lękaj! W świat nieznany,
Choć rzucona za Bałkany,
        Śród nas bisurmanów.
Póki z ciebie na nas czysta
Będzie wiała woń ojczysta
        Od wiślanych łanów.
Nie lękaj się, piękna różo
Co bądź tobie złego wróżą
        Źli ludzie, zła dola;
Będziesz zawsze, jak świat światem,
Najpiękniejszym dla nas kwiatem
        Ojczystego pola.

*

*    *

Czajld—Haroldowska i mnie dziś fala,
I wiatrów poświt złowrogi,
Od brzegów lądu tego oddala,
Gdze kraj mój tyle mi drogi...
Więc gdy go rzucam, a serce wzbrania
Powrotu dnia się spodziewać,
Haroldowską pieśń pożegnania
I ja bym chciał mu zaśpiewać...

Bywaj mi zdrowy! I wy, co w domu
Na dni czekacie łaskawsze,
A doczekacie łez się i sromu,
Bywajcie zdrowi na zawsze!

Bywaj mi zdrowy! Nim wiatr się skręci,
Co jeszcze do mnie przypędza
Woń pól twych i łąk, — a mnie w pamięci
Zatrze się blask i nędza.
Bywaj mi zdrowy — i wy co w domu
Na dni czekacie łaskawsze,
Aż doczekacie się żniwa sromu,
Bywajcie zdrowi nazawsze.

Łez nie mam dla was na pożegnanie
I serce nie pęka z rozpaczy,
Choć wiem, co znaczy wieczne wygnanie,
Jak gorzki chleb jest tułaczy!
Nie płaczę jednak, bo mi, jak kamień,
To serce w piersi tu leży,
Co niegdyś złotych pełne omamień,
Dziś samo w siebie nie wierzy.
Wam i mnie jedno, dokąd popłynę
I co mi nieba przeznaczą,
Nie dbam: *czy, kiedy, jak i gdzie zginę,*
Choć wiem, że po mnie zapłaczą.
Zapłaczą gorzko.......

---

## DO SOKOŁOWEJ.

### DRAGON.

Dziwne są losy! Wszak i ja przed laty
Byłem skrzydlaty,
I na Pegazie, co się z orłem bratał
Wysokom latał!
A dziś?... Nie śmiejcie się! bo w najgorszym razie,
Choć nie Pegazie,
Mam i dziś jeszcze okropne dwa skrzydła
Smoka straszydła!
I to nie tylko skrzydła, bo dragony
Mają i szpony!
Więc ty, ostrzegam, choć Sokoła żona
I oskrzydlona,
Nie śmiej się, mówię, i nie szydź z wysoka,
Ze skrzydeł smoka,
Bo gdy ze swoich dasz choć jedno pióro,
I ja będę górą.

---

## DO PIÓRA,

### KTÓRE SIĘ NIE DAŁO ODCZEPIĆ.

Raz dragon — straszydło, że ciężkie miał skrzydło
Przed żoną Sokoła się żalił,
I rzekł jej: „daj pióro, a ujrzysz mnie górą!“
I wiersze aż do niej wypalił.
A żona Sokoła odrzekła: „Twa wola
Niech będzie — masz pióro!“ I dała
I pióro mu czarne i oczko figlarne
Zdrajczyni — nie czarna, lecz biała.
A dragon niezdarny, że sam był i czarny,
I ślepy, już nieco zgrzybiały,
Nie dostrzegł swawoli tej żony Sokolej
I pióro wziął czarne od białej.
Nie świadom mamidła, wsadził je do skrzydła
Dragona — potwora — niezdarny;
I z płaczu podołu chciał z żoną Sokoła
W nadziemskie polecić obszary.
Daremne mozoły! Inaczej Sokoły
Piórami latają białemi;
Na czarnem ów dragon nie wzleciał nad zagon
I został nieborak przy ziemi.
Więc smutkiem schylony, znów idzie do żony
Sokoła i mówi tej żonie:
„Daj białe!“ A ona się śmieje z dragona
I mówi: „zapóźno dragonie!

„Te skrzydła, com miała sokółka ja biała
„Już dziś zjedzone przez myszy!“
„Przez myszy — bogowie!“ Ów dragon odpowie,
Gdy taką odpowiedź usłyszy.
I pyta jej czule: „Skąd myszy w Stambule?
Ach, powiedz i nie bądź zbyt skrytą!“
„Z nad Gopła — jeziora, zjadły je przedwczora,
Gdy były tu u nas z wizytą!“

---

## W PAMIĘTNIKU P. IDALII KRAJEWSKIEJ.

„Więc znowu żegnać! Niestety, więc znowu!
Ja, którym żegnał tych, co nie powitam,
Tak dziś własnemu nie dowierzam słowu,
Że: czy cię żegnać — serca oto pytam;
A serce mówi: nie żegnaj! złowrogi
Masz głos pożegnań, — więc dla odwrócenia
Złej wróżby, powiedz: „szczęść Wam Boże drogi
I do prędkiego prędko zobaczenia!“

---

# SPIS RZECZY.

## Tom I.

# WYBÓR PISM

RYSZARDA WINCENTEGO BERWIŃSKIEGO

NAKŁAD I DRUK ZAKŁ. GRAF. TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW.

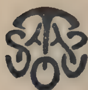
RYSZARD WINCENTY BERWIŃSKI

# WYBÓR PISM

OPRACOWAŁ I WSTĘPEM OPATRZYŁ
EUSTACHY CZEKALSKI



Tom II.



SKŁADY GŁÓWNE:
E. WENDE I SPÓŁKA, WARSZAWA,
H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I S-KA, LWÓW.

# UTWORY PROZĄ

## KOJATA.

### (POWIEŚĆ GMINNA).

Był pewnego czasu król, nazwiskiem Kojata, który miał brodę aż do kolan, a był królem potężnym; posiadał bogactw, co nie miara; pałace jego błyszczały od srebra i złota, jednak czuł się nieszczęśliwym, bo mu Pan Bóg nie dał potomstwa.

Zdarzyło się raz, że Kojata postanowił objeżdżać kraje swoje; pożegnawszy się tedy z królową, puścił się w podróż, i po roku dopiero, zaczął z powrotem zmierzać ku domowi.

Pewnego dnia, upał był nieznośny, zdawało się, że żywy ogień pada z nieba na ziemię; rozkazał więc król swoim dworzanom rozbić namioty, i pod niemi chciał czekać za wieczornym chłodem.

Wtem mu się pić zachciało; a nigdzie kropli wody znaleźć nie było można.

Spragniony i zniecierpliwiony Kojata, wsiadł sam na konia i szukał zdroju w okolicy. Ledwie co kilka staj ujechał, postrzegł studzienkę pełną kryształowej wody. Na wierzchu pływał puhar złoty. Kojata sięgnął co tchu po niego, ale o cuda! ilekroć razy miał go już, już uchwycić, zawsze mu się puhar wymknął z pod ręki; plusnął jak rybka, zanurzył się pod wodę, znowu wypłynął i znowu zniknął.

„Nie dam ja z siebie żartować!“ pomyślał król Kojata, położył się, jak długi przed studnią, przytknął usta do wody i pił sobie po prostu, nie zważając na to, że długa jego broda, zanurzyła się w studni!

Napiwszy się do woli, chce wstawać; a tu oto nie można, bo go ktoś w wodzie silnie trzyma za brodę.

— „Kto tam? Puszczaj!“ wrzasnął król obrażony, ale miasto odpowiedzieć, pokazała się tylko twarz straszliwa z pod wody! Dwoje zielonych ócz tkwiło głęboko w głowie; w brodzie królewskiej topiły się dwa orle szpony; a usta wykrzywione śmiechem szyderskim, przemówiły chrapliwie te słowa: „Daremnie wydzierasz mi się o, królu! Nie puszczę ja ciebie pierwej, póki mi nie przysiężesz, że dostanę to z twego domu o czem ty wcale nie wiesz“.

Król Kojata pomyślał sobie: „Nie może to być rzecz wielkiej wagi, kiedy o niej nie wiem! i przyrzekł ją poczwarze!“

W tej chwili uczuł się wolnym i usłyszał te słowa:

— „Jeżeli złamiesz przysięgę, biada ci, biada!“

Potem podniósł się z ziemi, otrząsnął brodę z wody jak kaczka, kiedy się zanurzy i strzepie; wsiadł na koń i ruszył dalej.

Nie pamiętam, jak długo jeszcze podróżował; ale, gdy dojeżdżał do stołecznego swego miasta, wyszedł lud cały naprzeciw niego z okrzykami radości. Na progu pałacowym, przywitała go piękna królowa, trzymając małe dziecię na ręku.

Kojata zbladł, jak czecheł śmiertelny; zwiesił głowę na piersi i wyrzekł smętnym głosem: „Więc to dziecię moje, o którem nie wiedziałem“.

I dwie duże łzy spłynęły na siwą jego brodę, a lud cały zdumiał się niepomału; ale nikt nie śmiał pytać się o przyczynę smutku. Nikt też nie dociekał tajemnicy

króla, chociaż wszyscy widzieli, że ma jakiegoś robaka w sercu, który go toczy i gryzie. Dni mu schodziły na niepokoju; nocą sen mu z powiek uciekał.

Tak minęło miesięcy i lat nie mało.

Królewicz tymczasem wyrósł już na chłopca, i był najpiękniejszym z młodzieży; a król Kojata zapomniał zupełnie o owem zdarzeniu przy studni. Ale był ktoś, co lepiej o tem pamiętał!

Zdarzyło się, że królewicz wyjechał pewnego dnia na polowanie! Ścigając ranionego zwierza, oddalił się od reszty myśliwych. Był sam w miejscu najdzikszem; a wokoło niego drzewa rosochate i cisza głęboka. Naraz coś mu nad głową między liściem szeleścić poczęło, i wnet ukazał się pomiędzy gałęziami jakiś staruszek dziwaczny i zlazł na ziemię; broda jego i oczy zapadłe były zielone.

— „Witam cię, królewiczu Milanie, rzekł dziadek, dosyć długo czekałem na ciebie; przecieć mię wreszcie nawiedził!“

—„Ktoś ty, starcze?“ zapytał królewicz.

— „O tem, potem! Teraz słuchaj, co ci powiem. Pozdrów odemnie twego ojca, króla Kojatę i przypomnij mu o długu, który już dawno miał mi być wypłacony! Wkrótce się znowu zobaczymy“.

To mówiąc, zniknął dziwaczny staruszek, a królewicz zdumiony wrócił do domu, i opowiedział ojcu, całe to zdarzenie. Król Kojata, słysząc o starcu z zielonemi oczyma, pobladł jak czecheł śmiertelny i zawołał boleśnie: — „O biada ci, biada, synu mój ukochany. Królewiczu Milanie. Wkrótce trzeba będzie nam się rozłączyć!“ Tutaj odkrył ze łzami okropną swoją tajemnicę i przysięgę, którą wykonał przed laty!

— „Nie płacz mój ojcze!“ — rzekł wesoło królewicz, nie taki to dyabeł czarny, jak go zwykle malują! Każ mi

no okulbaczyć cisaka mojego, a dam ja sobie radę na świecie. Gdybym jednak po siedmiu dniach nie powrócił, to mnie już na tej ziemi nie zobaczysz!“

Przygotowano wnet wszystko do odjazdu Milana. Król ojciec dał mu złote strzemiona, miecz stalowy i błogosławieństwo swoje; królowa matka zawiesiła mu na szyi krzyż złoty i pożegnała po trzykroć. Królewicz Milan puścił się wreszcie w podróż.

Ciekawi pewno jesteście, jak mu się w owej podróży powodzi? Oto jechał bez ustanku, jeden dzień, drugi i trzeci; a gdy słońce po czwarty raz za góry się spuściło, stanął nad przestronnem jeziorem. Powierzchnia jego, jak szyba wygładzona, pod strych równała się z brzegami: zdało się, że lada wietrzyk przechluśnie bałwanem na ziemię; ale wietrzyk nawet nie śmiał zamącić przezroczystej wody, w której się przeglądało nadbrzeżne sitowie i kilka chmurek wieczornych. Królewicz Milan nadjechał bliżej; i dlaczegoż to z takiem podziwieniem spogląda przed siebie? Oto trzydzieści szarych kaczek pływa i kąpie się w jeziorze, a nad brzegiem leży trzydzieści koszul białych, jak mleko! Milan zsiadł z konia, przyczołgał się między trawą i krzakami, wziął jedną koszulkę, i czekał, co się dalej stanie.

Kaczki tymczasem nurzają się i strzepują skrzydełkami, igrają z falami i kąpią się do woli, a potem dwadzieścia dziewięć wypłynęło na brzeg, skłoniło się ku ziemi i wszystkie zamieniły się w przecudne dziewice, wszystkie wdziały na siebie koszulki i znikły. Tylko trzydziesta została na wodzie; krąży ona, żałośnie wyrzekając, nad brzegiem; wyciąga szyjkę do góry, wzlatuje i spada, aż jej się Milanowi żal zrobiło! Wyszedł więc z ukrycia na widok, a kaczka ozwała się do niego ludzkim głosem: — „Królewiczu Milanie, oddaj mi moją koszulę, a nie pożałujesz tego!“

Wysłuchał Milan tej prośby i położył koszulę na trawię. W tej chwili stawa przed nim dziewica tak piękna, jakiej dziś nie masz pod słońcem, ani w powieściach, ani w gadkach cudownych.

Zarumieniona, podała mu rękę i rzekła: — „Dzięki ci, królewiczu Milanie, żeś mojej prośby wysłuchał. Nie pożałujesz tego, powtarzam, bo ja jestem córką czarnoksiężnika Czernucha, imię moje Welena. Jest nas sióstr trzydzieści; a ojciec nasz panuje w królestwie podziemnem, nad tysiącami zamków i pałaców przepysznych. Od dawna już oczekuje ciebie i gniewa się, że tak długo nie przybywasz! Ale bądź spokojny, królewiczu, i słuchaj mojej rady. Skoro staniesz przed ojcem Czernuchem, królem krajów podziemnych, padnij na kolana i czołgaj się ku niemu. Chociażby zgrzytał zębami, i tupał nogą o ziemię, nie zważaj na to królewiczu! a teraz za mną, hop! hop! hop!“ To rzekłszy, tupnęła nóżką, i wraz z Milanem zapadła się w ziemię!

W królestwie podziemnem stał pałac zbudowany z węgli pałających i oświetlał ciemnicę, jak słońce oświeca ziemię naszą. Był to pałac czarnoksiężnika Czernucha. Królewicz Milan śmiało wszedł do niego.

Czernuch siedział na tronie ognistym: czoło zdobiła mu świetna korona, a oczy iskrzyły się, jak dwa szmaragdy zielone; skoro go Milan zobaczył, upadł na kolana i czołgał się ku niemu.

Czarnoksiężnik tupnął nogami i zawył, aż podwaliny pałacu zadrżały! Ale królewicz, pamiętny słów Weleny, czołgał się coraz bliżej, złożywszy ręce na piersiach.

— „Wygrałeś hultaju, przyprowadzając mnie twoją postawą do śmiechu“, zawołał Czernuch i zaśmiał się serdecznie.—„Inaczej byłbyś zginął niemylnie; a więc zgoda między nami; za opieszałość jednak twoją w przybyciu, wykonasz mi trzy zadane roboty. Naprzód wybudujesz

nocy dzisiejszej pałac z marmuru; okna w ścianach mają być kryształowe, a dach złoty. Jeżeli mi taki pałac wystawisz, to dobrze, a nie, to się pożegnaj z twoją głową."

Czarnoksiężnik skinął ręką, dwóch służących przyskoczyło, wzięło Milana pod ręce i wprowadzono go do przepysznego pokoju, w którym stało łóżko dlań przygotowane; napróżno jednak nęciło go miękkim puchem do siebie; on zdrów jak ryba, a jutro ma umrzeć; więc pewno ostatniej nocy przed śmiercią nie zaśnie. Smutnemi myślami zajęty siedział Milan przy oknie. W tem nadleciała mała pszczółka i brzęcząc skrzydełkami po szybach wołała bez ustanku: — „Wpuść mnie! wpuść mnie!" Milan otworzył okno, a pszczółka zmieniła się w tej chwili w piękną Welenę i rzekła: — „Witam cię, królewiczu! ale, czemuż to tak smutno?"

— Jutro mam umrzeć z ręki twojego ojca", odpowiedział zimno królewicz.

— „Nie umrzesz, przysięgam! Jutro przed świtem stanie pałac gotowy; a ty chodź z siekierą dokoła, jak gdybyś coś jeszcze poprawiał."

I tak też się stało. Przed wschodem chodził już Milan z siekierą koło przepysznego pałacu, jakby coś jeszcze poprawiał!

Sam Czernuch zdumiał się nad pięknością budowy.

— „Doskonały z ciebie cieśla", — mówił do Milana, — aleś się musiał piorunem zwijać tej nocy. Na tem się jednak nie skończy, mój bracie. Mam ja w domu trzydzieści córek. Jutro staną wszystkie przed tobą w rzędzie, a powiesz mi, która z nich najmłodsza Welena. Trzy razy wolno ci każdą obejrzeć. Jeśli zgadniesz, to dobrze; jeżeli nie, to się pożegnasz z twoją głową."

Milan rozśmiał się w duszy, powrócił do swego pokoju i myślał sobie: — „Teraz, toś mi się na tęgi koncept wy-

sadził, panie Czernuchu. Jabym nie miał mojej Weleny poznać?... hm! hm!"

— „Któż wie, czybyś ją poznał, bez mojej pomocy?"— rzekła pszczółka, wlatując znowu do pokoju. Jest nas sióstr trzydzieści, a wszystkieśmy sobie podobne, jak dwie krople wody! Lecz słuchaj! Na mojem czole, usiędzie muszka i po tem mnie poznasz. Bywaj zdrów królewiczu!

Nazajutrz, zawołano Milana; trzydzieści dziewic w bieli stało już rzędem ze spuszczonemi ku ziemi oczyma. Czernuch siedział na tronie, złośliwie się uśmiechając; a królewicz, przeszedłszy raz rząd cały, zbladł, bo muszki na żadnem czole nie było. Powolniejszym krokiem przeszedł drugi raz i zaczerwienił się, bo muszki na żadnem czole nie było.

Szmer głuchy i ciche śmiechy rozległy się dokoła; wtem usiadła maleńka, jak maczek muszka, na skroni, żywym ogniem płonącej. Co tchu schwycił Milan dziewicę za rękę i zawołał: — „To jest Welena, najmłodsza twoja córka!"

— „Hm, hm! tu mi jakaś baba bróździ", rzekł Czarnuch zagniewany, „bo gdzie dyabeł nie może, tam babę poślij. Ale baby mają długie włosy, a krótki rozum. Złapię ja ciebie, ptaszku, poczekaj! Za trzy godziny staniesz znowu przedemną; wtedy zapalę słomę; a pierwej nim się do końca dotli, masz uszyć parę butów. Jeżeli je uszyjesz, to ci powiem: „tęgi szewc z ciebie!"; a jak nie, to się inaczej rozmówimy!"

Powróciwszy do swego pokoju, chodził Milan szerokim krokiem i marszczył czoło, aż mu się brwi ze sobą stykały.

„Ja syn królewski, mam buty szyć!... Nie, nigdy! nigdy tak rodu mojego nie splamię!" Kiedy to Milan do siebie przemawiał, wleciała piękna Welena przez okno:

— „Więc cóż myślisz robić?“ — zapytała go z niespokojnością.

— „Umrzeć wolę z ręki tego łotra; a szyć butów nie będę!“ — „Nie, mój miły, ty umrzeć nie możesz, bo i jabym wtedy umarła“, rzekła Welena. „Albo więc przełam twój upór, albo się ratuj ucieczką!“

To mówiąc plunęła na okno, a ślina przymarzła do szyby. Poczem wyprowadziła Milana z pokoju, zatrzasła drzwi na rygle, i przybywszy na miejsce, kędy się w ziemię zapadli, wyrzekła: hop! hop! i znów przed niemi było przestronne jezioro z kwiecistemi brzegami, na których pasł się jeszcze cisak królewicza. Ledwo zoczył pana swego, zarżał radośnie, przyklęknął do wsiadania i wnet popędził z Milanem i Weleną na wyskok.

Tymczasem Czernuch czeka i czeka na królewicza, a jego jak niemasz tak niemasz. Wysyła tedy swych dworzan po niego. Dworzanie przybywszy do drzwi zamkniętych, pukają, a ślina przymarznięta do szyby odpowiada: „Zaraz przyjdę“.

Tę odpowiedź przynoszą Czernuchowi, który czeka nanowo i wysyła powtórnie służących. Powtórnie odpowiada ślina pukającym: „Zaraz przyjdę!“

Rozgniewany tem do żywego czarnoksiężnik, wrzasnął·—„Czy on mnie myśli na dudka wystrychnąć! Wyłamcie drzwi i tu mi go przywleczcie!“

W mgnieniu oka wyleciały drzwi podważone, a ślina w głos się roześmiała. Czernuch o ledwie nie pękł ze złości, postrzegłszy próżną komnatę i wydał rozkazy do pogoni.

Cały rejment złych duchów rozbiegł się wszystkiemi drogami. Wtedy szepnęła Welena na ucho Milanowi: „Słyszę ja zdala tętent końskich kopyt!“

Milan zeskoczył z konia, przyłożył ucho do ziemi i rzekł: „Prawda! gonią nas, gonią i są tuż za nami!

Welena pomruknąwszy kilka słów tajemniczych, zmieniła się natenczas w rzekę; Milana zmieniła w most żelazny, a konia w kruka.

Gdy pogoń dotarła do mostu, stanęła nagle jak wryta, bo dalej tropu nie było; a za mostem trzy drogi, na trzy się strony krzyżują. Co tu począć? Trudna rada, trzeba z niczem powrócić.

Czernuch wołał już z daleka do powracających:

— „Półgłówki! oszukano was; ten most i owa rzeka, to byli oni sami; dalej za nimi na nowo; albo was ukamienować każe!“ W tej samej chwili szepnęła piękna Welena Milanowi: — „Słyszę tętent końskich kopyt!“ Milan zeskoczył z konia, przyłożył ucho do ziemi i rzekł:

— „Gonią nas i są tuż za nami!“

Bez zwłoki więc zmieniła Welena siebie, Milana i konia w gęstą, ponurą knieję, z tysiącem krętych ścieżek. W niej zdało się ścigającym, jakgdyby przed sobą widzieli dwóch jeźdźców; a goniąc za nimi, tak się zbłąkali w bezdrożach, że powrócili na miejsce, kędy się schodzi do podziemnych krain Czernucha. Wtedy dopiero knieja, ścieżki i jeździcy, jak sen przed nimi zniknęli.

Sam Czernuch wsiadł tedy na swego karosza, a Welena szepnęła znowu drżącym głosem: — „Biada nam! Czernuch, mój ojciec, nas goni! Ale przy pierwszym kościele kończy się jego władza i potęga. Podaj więc krzyż twój, Milanie!

Posłuszny królewicz, oddał swój złoty krzyżyk, który mu matka królowa na piersi zawiesiła. Ledwo go ręką dotknęła Welena, zamieniła siebie w klasztor, Milana w mnicha, a cisaka w dzwonnicę.

Szczęściem, że się pospieszyła, bo już Czernuch stał przed klasztorem. „Czy nie widziałeś tu, ojcze, dwóch jeźdźców uciekających?“

— „Właśnie“, odpowiedział zapytany, „wyruszył od nas z popasu królewicz Milan i piękna Welena i kazali cię uprzejmie pozdrowić.“

— „Niech sobie jadą na złamanie karku!“ — wrzasnął Czernuch zsiniały od gniewu, powrócił z kwitkiem do domu i dostał ze zmartwienia żółtaczki.

Milan zaś i piękna Welena zdążyli bezpiecznie do stołecznego miasta króla Kojaty, który im wkrótce sute wyprawił wesele. Zaproszono na nie wielu zacnych gości, między innymi mnie także. Bawiliśmy się wszyscy wybornie; piwa, miodu, wina było do zbytku, a jednak nikt nie lał za kołnierz.

---

# BOGUNKA NA GOPLE

## PROLOG.

„Spieszmy — za chwilę kraj nas powita,
Gdzie lepsza przeszłość z grobów wykwita,
Kraj cudów, czarów, uroku!
Pamięć, co skarbu przeszłości strzeże,
Zwoła tam króle, dawne rycerze,
Z dawniejszych dziejów pomroku.

Cienie czarowną zaklęte władzą,
Powstaną z mogił i przeszłość zdradzą,
Ukrytą w tajniach grobowych;
I ujrzym stare, szorstkie postacie
O długich brodach, w ojczystej szacie,
W chełmach i giezłach stalowych;

Ujrzym tam kordy w męskiej prawicy,
Usłyszym pieśni Boga-Rodzicy,
Szczęk broni, kopyt tętenta;
Ujrzym, gdzie ziemia krwią ojców zlana,
Życiem kupiona kośćmi zasiana,
Męskie ich cnoty pamięta!

I znowu ujrzym w świetle miesiąca,
Jak Gopła fala przejrzysta i drząca,

Chórem się dziewic zabieli;
I znów usłyszym, jak ciche dźwięki
Czarownej, nocnej, dzikiej piosenki
Zabrzmią na Gopła topieli...

Głos jej popłynie po śnieżnej toni
Myśl za nią w ciemną przeszłość pogoni,
Iskrę w pomroku rozżarzy, —
Wśród broni szczęku, wśród bitew wrzawy,
Wśród pieśni dawnej wielkości, sławy,
O przyszłych losach zamarzy!..."

Spieszmy więc...

---

*
*   *

A jako kwestarz z świątyni pamiątek chodziłem od sioła do sioła, — od chaty do chaty. — Tu ziarnko piasku krwią uświęcone, tam odłamek kamienia z grobu bohatyra — ówdzie pamięć czepiącą się zoranego latami czoła, jako bluszcz gruzów i ruin, — a tam znowu słowo ulatujące z dymem kurnego ogniska, — wszystko to brałem datkiem pielgrzymstwa i niosłem skwapliwie na wielki pomnik przeszłości. —

*
*   *

Pod wieczór stanąłem w Kruszwicy. —

*
*   *

O Gopło! z pomiędzy wód naszych jedyne, wspaniałe; kolebko i grobie słowieńskiej przeszłości, jakże się z tobą powitać? jakimże językiem przemówić do ciebie?... Ileż to dźwięków różnorodnych przelatywało nad tobą bez śladu, bez echa!... Czyż i mój głos przepłynie po fali wód twoich, jako te dni blasku i świetności, które ciebie otaczały niegdyś, a z których dzisiaj została jeno bajka, usypiająca rozkwilone dzieci!

*
*   *

Stoję na brzegach twoich obnażonych, odartych z kwiatu swobody, podobien majtkowi wyrzuconemu na ziemię obcą, co marzy o szczęśliwszej, a dalekiej matce.— Czyż ją kiedy obaczę? Podobien majtkowi buduję ze szczątków rozbitego okrętu łódkę nadziei i puszczam się w niej na twój grzbiet nieugięty, nieujarzmiony nigdy — zawsze wolny, aby o wolności zadumać!... Wicher nawałnicy, który ponad tobą przewiewa, szum burzy, która fałduje twój wał posuwisty, krzyk puszczyka, który osiadł na szczątkach królewskiego gmachu, może natchnie pierś moją; — z popiołów zmarłej wielkości może odgrzebię iskrę nowego życia; — z powoju i bluszczu, osłaniającego ruiny dawnej świetności, może uwiję wieniec tryumfalny na skroń przyszłych bohatyrów!

*
*   *

Wypłynąłem... Ogarniam cię w całej okazałości, o ziemio moja rodzinna; widzę cię z nędzą i z groby twoimi! W nich stara sława twoja i potęga spoczywa; ona cię opuściła w chwili utrapienia, przeniewierzyła się matce swojej; aleś ty, o ziemio nasza, wierna pozostała twym dzieciom; — żywisz i pielęgnujesz je. — Tyś zawsze niezmienna, ta sama! Piękną byłaś w szacie godowej, w czasie wesela synów twych; piękniejsząś stokroć, boś nieszczęśliwą jest dzisiaj!

*
*   *

Widziałem raz niewiastę w orszaku pogrzebnym — w szatach żałobnych, idącą z rozpuszczonym włosem,

z bladem licem, ze łzawą powieką, za trumną synów, którzy, jak pomarli — nie wiem!

*

* *

Dzisiaj oglądam ciebie w całej głębokości smutku twojego. — Żadna zasłona nie kryje przed okiem mojem twego oblicza, zroszonego złami. Przejrzę cię od końca do końca, boś ty równa o, ziemio moja, jak są równi ci, którzy ciebie zamieszkują. — Na twoich też tylko równinach, równość pojętą być może!

*

* *

Góry podnoszące ku niebu ośnieżone czoła, których nigdy stopa ludzka nie zdeptała, podobne są dumie, która ucieka w obłoki, a u stóp swoich zostawia cierpienia, łzy i niedolę... Na ich szczycie orzeł się gnieździ i szybuje w niedościgłe wysokości po sławę, a po żer tylko wraca w doliny na udręczenie słabszych.

*

* *

Na was, o równiny, mej ziemi równo się cierpi, równo płacze! Smutna nuta bolesnej piosnki brzmi daleko po rosie na płaszczyźnie waszej; — nie wstrzyma jej, ani odbije bryła skał opoczysta, ale ją złowi tkliwe ucho słuchacza, a serce wespół czujące echem odpowie!

*

* *

Błogosławioną bądź, o ziemio obiecana, choć nieszczęśliwa, piękna, chociaż odarta z blasku dawnego i chwały!... Smutny jest prawda widok twój; — smutny widok tylu chat nędzy — tylu szczątków zbytku — tylu pamiątek szczęścia!

*

* *

Przeszłość — obecność!... Oto grzech Adamowy, a oto pokuta Izraela. — Wszystko smutne, — nawet ta wieża samotna,[1]) która z grobu wieków niezgięte podnosi czoło i nieśmiertelności woła. — A jest to wieża Babel, — ci co ją budowali, w rozproszeniu są na wszystkie strony świata i pomięszane języki ich i nie rozumieją się — jedni wołają: wolność, a drudzy: zdrada! — ci chcą żelaza — ci złota!

*

* *

Smutny to, zaiste, widok upadku! Jest wszakże potęga wyobraźni, która ten smutek rozjaśnia, która pustynie życiem i blaskiem napełnia, jak napełnia niebiosa aniołami i szczęściem. Ona odmłodzi kwiat swobody, który nam przedwcześnie uwiądł na niwie przeznaczenia; zapełni szczerbę, którą czas w naszej przeszłości wyła-

---

[1]) Zdaje się, że dzisiejsza wieża w Kruszwicy niesłusznie nazywaná Myszą; bo według Galla wieża, w której myszy zjadły Popiela była drzewianna: lignea. Gallus. Lib. I. Cap. 3. p. 26.

mał; podźwignie ołtarze sławy, które czas zniszczył i roznieci na nich nieśmiertelny ogień nadziei!

*
* *

Szczęśliwy, kto na jej skrzydłach obleci przestrzeń wód twoich, o Gopło! Nie wstrzymają go tam granice, które przedzieliły twe brzegi, które przedzieliły ludzi jednego plemienia. Plemiona twoje pływają swobodnie w gościnę do siebie, bo ty nie znasz pana — prócz Boga! — Jego też tylko woli podlegasz!... Człowiek włada na ziemi i znaczy kroki swoje ruiną i gwałtem: — na powierzchni twojej niema śladu stóp jego!... Czas włada człowiekiem i zmarszczkami lata swoje na czole jego cechuje: — na powierzchni twojej nie ma śladu wieków tysiąca!

*
* *

Ale w głębokościach wód twoich są tajemnice niedościgłe — okropne!

*
* *

Ja potęgą wyobraźni, jako laską Mojżesza uderzam ciebie!

*
* *

I jak pod laską Mojżesza pękło wód łono przede mną.— Zbliż się, człowieku — na dno, którego żadne oko ludz-

kie nie pokalało dotąd, spojrzyj — i zadrżyj!... Oto grób bogów! — bogów, przed którymi lud wielki, potężny korzył się i na twarz upadał; — a dziś czoła ich w błoto zagrzęzły, a gad wodny wije się u stóp ich i pełza! [1])

*
* *

O wszechwładny tyranie, którego czasem nazwano, który unieśmiertelniasz śmiertelnych, a bogów potrącasz w otchłań niepamięci, któryś mściwy i dobroczynny zarazem; do ciebie głos mój młodzieńczy, z piersi karmionej nadzieją i wiarą, podnoszę!... W twoim ręku skarb szczęścia niewyczerpany, — a my ubodzy, uciśnieni nędzą prześladowania, o jeden tylko klejnot, błagamy ciebie, — o klejnot, któregośmy na południu i na zachodzie i za morzami szukali: — o podaj nam co prędzej!... nienaruszony, niepokalany złożymy go kiedyś na ołtarzach twoich!

*
* *

Przyjdzie czas zmartwychwstania, ale nie dla was Bogowie upadli!... Wyście jak anieli w piekło strąceni, bez nadziei powrotu na łono niebieskie!

*
* *

A przecież chciałbym was wskrzesić!

---

[1]) Za Mieczysława topiono bóstwa pogańskie w Gople. — Długosz K. 95.



Gdybym miał oko nieba błękitne, spojrzałbym na ciebie Bożku-Pogodo [1]). Możeby lica twoje pogodne i piękne życiem zajaśniały; — oko twoje niebieskie możeby promieniem słońca zagrzało owe ziemskie serca skrzepłe, nieczułe; — możeby naród nieszczęśliwy, któremu szarańcza wschodu i grad północy zbił całą żniwa nadzieję, możeby przyszedł przed ołtarze twoje i błagał o plonniejszy owoc krwawych prac swoich!



Gdybym był chmurą czarną, burzliwą, co od północy przynosi ludziom zniszczenie, spadłbym piorunem w łono twoje, bożku Perkunie, i ogień straszliwy, który w niem przygasł od wieków, rozpłomieniłbym nanowo! Wichrem nawałnicy zanurtowałbym do ciebie Poświście, [2]) i zbudził cię z długiego letargu! Niechby w was dawna wróciła potęga, niechbyście wstali i w gniewu zapalczywości waszej, kraj ten naszerz i nadłuż przebieżeli!



Cześć tobie, bożku Wet-za-wet. [3]) Dzień święta twojego może niedaleki: zgromadzi się znowu lud mnogi, potężny, przed ołtarze twoje, jak dawniej zą lepszych cza-

---

[1]) Pogoda, bożek Polaków; — czczono w nim czyste niebo i suszę w czasie żniwa.

[2]) Świst, Poświst, Pogwizd, Pochwist, bożek wiatrów nawalnych.

[3]) Rugowit, Wit, Wet, Wet-za-wet, bożek Słowian. Przedstawiano go o siedmiu ustach, z siedmiu mieczami u boku.

sów bywało. — Tam ci zgotują igrzyska biesiadne!... Tam ci nie wystarczy siedem ust twoich do spijania krwi, która popłynie, tam nie wystarczy ludowi głosu do wykrzykania imienia twego: Wet-za-wet!

*
* *

O gdybym dzisiaj mógł ciebie wskrzesić i jeden z siedmiu mieczy twoich pochwycić!... Ale wszakże tu Żywie, rodzicielka życia, postradała panowanie swoje, Marzanna [1]) ostatnia jej powieki zamknęła i skonała sama. — Więc ani życia, ani śmierci pomiędzy wami!

*
* *

Są przecież dwa Bóstwa jeszcze, które żyją w powieści ludu.

*
* *

Stary rybak, wykołysany z dziecka wód falą, dziwa prawi o topielcach. — Dusze ich błąkają się w bezdennych toniach Gopła. — Nija [2]) czuwa nad niemi. —

*
* *

Któż z przyjeziornych mieszkańców nie widział owych widm fantastycznych, krążących ponad toniami Gopła — kto nie słyszał nocnego śpiewu, i tej muzyki tak dźwię-

---

[3]) Nie zgadzają się z sobą historycy, co do atrybutów bogini Marzanny, — ja ją wedle Naruszewicza uważam za Bóstwo śmierci, moru, marcia.

[1]) Nija jest podług jednych opiekunką dusz zmarłych, podług innych bóstwem złego, jak Jesse bóstwem dobrego.

cznie brzmiącej w powietrzu, pomięszanej z dalekiem brzmieniem dzwonów, z grą wiatrów i z szumem jeziora?...

*
* *

Któż nie słyszał o tych duchach opiekuńczych naszych źródeł — strumieni — rzek — jezior?...

*
* *

A Gopło przed wszystkiemi najpierwsze! Bywają noce, w których nad jego wodami gromadzi się cały ten świat nadpowietrzny.

*
* *

Piękna nadgoplańska dziewica rozpowiada nieraz płochemu młodzieńcowi o Bogunce, tej nieszczęśliwej kochance, której strzeże Dziewanna, bogini czystej miłości.

*
* *

Chcesz-li się dowiedzieć tajemnych, uroczych powieści, chcesz-li usłyszeć pieśni eteryczne żywiołów, chcesz-li ujrzeć na wód powierzchni cień tej cudowneej, nadziemskiej istoty, — zrób naprzód Bóstwu z serca ofiarę — pokochaj i czekaj chwili przyjaznej.

*
* *

Kiedy księżyc na nowiu zejdzie w noc wiosenną, jeszcze dzień się nie rozwiódł z wieczorem. — Zmrok otula do snu pół-świata, jak nędza, której nie starczyło łachmana na okrycie całej sieroty. — Coraz się sciemnia

i ścieśnia widnokrąg, ale powietrze jeszcze przejrzyste, choć we mgle; jeszcze lekkie i świeże, choć przesycone wyziewem białej lilii, która panuje kwiatom nadgoplańskim.

*
* *

To chwila uroczysta! Korzystaj z niej, synu natchnienia, i spojrzyj na to zwierciadło jeziora, w którem się geniusz miejsc tych przegląda. Twarz księżyca smętna i blada spoczywa na wygładzonej wód szybie, jako nadzieja na łożu śmierci; — a siostry młodsze, przyrodnie otoczyły je wkoło i płaczą. — U stóp twoich błyszczą łzy czyste na trawie i zazieleniają murawę. — W oddaleniu ozwie się czasem ptak leśny, utuli głowę pod skrzydło i zaśnie. — Cisza — nieprzerwana cisza!... — Tylko komary i chrząszcze wydzwaniają jeszcze hymny wieczorne; — tylko ryba zapluśnie czasem w jeziorze, roztoczy koło tajemne, które się coraz rozszerza i rośnie, jak koło myśli ludzkiej, póki się z morzem wieczności nie zleje!

*
* *

To chwila uroczysta! Korzystaj z niej, synu natchnienia!... Jeżeli walka z cierpieniem i przeciwnościami nadała duszy twojej hartu i męstwa; masz-li odwagę powierzyć się cieniom nocy i falom jeziora, niech łódka wyobraźni twojej uniesie cię na tę powierzchnię ślizką, niech żagiel myśli napięty oddali cię od brzegów tej ziemi, na której wszystko stradałeś, co było drogiego! —

*
* *

Zapomnij o świecie! — Ale strzeż się marzycielu młody, aby cię nie zaczarował wpływ duchów i widok jezio-

ra, którego wody uśpione i ciche nęcą porzucić burzliwe morze żywota. Tam na dnie jego pokój i spoczynek straszliwy; tam ciała topielców zasypane żwirem niepamięci; tylko oblicza odkryte i obrócone ku niebu, jakby raz jeszcze obaczyć chciały promień słoneczny. Ach! bo najpiękniejsze jest życie, kiedy je żegnać przychodzi!

*
*     *

Zachowaj je ku lepszej przyszłości, młodzieńcze! Śmiało więc, śmiało zawróć łódką w stronę, gdzie twarz księżyca w drżącej się kąpie topieli — smętna i blada. — Tam trzykrotnem uderzeniem wiosła rozbij szybę przejrzystą. —

*
*     *

Zaplušnie woda — zasyczy; — w kropelki pryśnie — pianką zakipi. — Wiatr się obudzi, co spał na wałach... zadzwoni w chmury. — Więc lasy szumią — liście szeleszczą — szklanny dźwięk wody chórem odbrzmiewa— ręka tajemna uderza w arfę sfer wyższych — a coraz głośniej, donioślej! — Leją się tony — plączą się dźwięki i pieśń tajemna wypływa z głębi jeziora. — Słuchaj jej — słuchaj!

## ŚPIEW DUCHÓW NAD WODAMI.

### CHÓR.

Nad wodami, nad falami,
Bez początku i bez końca!
A pod nami, a nad nami
Same gwiazdy, same słońca!

Rykła burza, drży świat cały,
Człek się z wałem losu łamie!
Nas nad burze, nas nad wały
Nieśmiertelne wznosi ramię!

GŁOS JEDEN.

W jutrzni się szatę ubieram,
A karmię niebieską manną,
A myję rosą poranną,
A słońca blaskiem ocieram. —

GŁOS WTÓRY.

Mieszkaniem mojem niebiosy,
A pode mną ziemia klęczy,
I ołtarze moje wieńczy
W kwiaty, owoce i kłosy!
Na falach wiatru gdy pędzę,
A świat ten marny obaczę,
I sprawy ludzkie i nędzę, —
Zakrywam twarz mą i płaczę.

CHÓR.

On kiedy spojrzy na ziemię,
Twarz swą w żałobę ubiera;
A świat na zbrodni swych brzemię
Pogodnem licem spoziera.

GŁOS TRZECI.

Gopło zwierciadłem jest świata;
Dziś niebo jego namiotem,
A jutro wiatr niem pomiata
Jak los człowieka żywotem. —

## GŁOS CZWARTY.

Dziki potok z Tatrów szczytu
W bezdenną się przepaść ciska,
Ostrosłupem do błękitu,
Pianą gwiazdom w oczy pryska.

## CHÓR.

Więc kto chce szumnie zasłynąć,
Pianką sławy łudzić oko;
Musi wysoko popłynąć,
A potem upaść głęboko!

## GŁOS CZWARTY.

Pożądliwy sławy szumu
Stanął młodzian nad potokiem;
Dumnem na świat spojrzał okiem,
I chciał być wyższym od tłumu!
Wzgardził światem, wzgardził życiem,
W odmęt się rzucił, zuchwały!
Ja go rozbiłem o skały,
I dziś sławny tem rozbiciem!

## CHÓR.

Bo kto chce głośno zasłynąć,
Pianką sławy łudzić oko,
Musi wysoko popłynąć,
A potem upaść głęboko!

## GŁOS PIĄTY.

Morskie oko [1]) patrzy z góry
Czyste, promienne, spokojne;
Pod niem wieczną toczą wojnę:
Ziemia, ludzie, wiatry, chmury!
Morskie oko wód swych lica
Nigdy smutkiem nie zachmurza!
Ale w głębi jego — burza,
I niejedna tajemnca!

## CHÓR.

Więc choć nigdy swego lica
Czarnym smutkiem nie zachmurza,
W łonie jego wieczna burza
I niejedna tajemnica!

## GŁOS PIĄTY.

Głupiec chciał rozumem słynąć,
I podwodne odkryć światy;
Zanurtował... przed stu laty,
A dziś jeszcze ma wypłynąć!

## CHÓR.

Kto chce zgłębić wiedzy tonie,
Gdy przepaści jej nie zbada,
Żywiołu jej nie owłada;
W odmęcie myśl, utonie!

---

[1]) Jezioro na szczycie Karpat, mające 4560 stóp wysokości, otoczone skałami granitowemi na kilka tysięcy stóp wyżej jeszcze sterczącemi. Podług gminnych podań jest ono niezgruntowane, ma podziemne połączenie wyłącznie z morzem i w pewnych czasach do góry się podnosi. Nie ma przy niem żadnego drzewa, nic żywego, ani ptaków, ani płazów, a w niem samem żadnych ryb.

Nad odmętem, nad falami,
Bez początku i bez końca;
A pod nami, a nad nami,
Same gwiazdy, same słońca!

*

* *

Jeszcze — jeszcze słychać ostatnie dźwięki — a coraz dalej i dalej!... Cisza... jeno lasy szumią — liście szeleszczą — wiatr dzwoni z chmury, — a fala kipi!... Słuchaj!... Cóż to za nowy dźwięk, długi, przeciągły, bolesny?... Zda się, że to westchnienie całego narodu, wydobyte z piersi głęboką raną rozdartej!... Słuchaj!... Dźwięk po dźwięku, akkord po akkordzie się leje; coraz donośniej — swobodniej... Już się głos jeden rozplątał z nieładu — to śpiew niewieści — piosnka czarowna już zrozumiałe jej słowa:

(ŚPIEW).

Wał po wale z wód odpływa,
Gwiazda życia dogorywa,
A niemasz go — nie!
Ach, przybywaj! nockę cienmą
Na pieszczotach przebaw zemną,
Dzień biały na śnie!

Tu nas czeka rozesłana
Sina fala, biała piana,
Jasna toń na dnie,
Tu nas w dole, tu nas w górze
Ukołyszą chłodne burze
W miłym, rajskim śnie!

Tu do pieszczot nocka nęci,
A dzień we śnie niepamięci
Przeminie, jak cień;
Ja dnie skrócę, ciemne noce
Rozkoszami ci ozłocę;
Jako słońce dzień!

Wał po wale z wód odpływa,
Gwiazda życia dogorywa,
A nie masz go — nie!
Ach, przybywaj — nockę ciemną
Na pieszczotach przebaw zemną
Dzień biały na śnie!

*
*       *

Śpiew rozbrzmiał — już tylko echo odpowiada echu.— Ocknij się zapaleńcze młody!... Dusza twoja cała w twem uchu; łowisz chciwie dźwięki ostatnie, jakbyś je chciał oddechem pochłonąć, jakbyś je chciał przytrzymać okiem, jakbyś je chciał wcielić w istotę, której obraz wywołały z duszy. — Ocknij się — spojrzyj!... Na srebrnej fali — w srebrzystej szacie — przepłynęła!... Kto taki?... To ona — Bogunka!

*
*       *

Cuda to i dziwy! — A nie każdemu dano jest dopatrzeć się ich gruntu. —

*
*       *

Aliści nasz świt pełen tajemnicy!... Żywioły nasze — ogień i woda — powietrze i ziemia, zaklęte są niewidzialnemi widmami wyobraźni.

*

* *

Lud nasz kocha tę ziemię, która go piastuje i karmi, więc ją w pojęciu uszlachetnia i upiększa — miłością podnosi istność jej do istności własnej, aby ją tem goręcej mógł do młodzieńczej piersi przycisnąć. — To też wszystko, co gdzieindziej martwem jest i bezczynnem— żyje u nas i działa; a wszystko, co żyje, ma udział w losach człowieka. —

*

* *

U nas zwierzęta, nawet same drzewa rozmawiają z sobą — ptakowie sejmikują i radzą — bociany rodzinami żyją i kochają ojczyznę swoją. —

*

* *

Takto miłość kraju, aż do ubóstwienia podniesiona u nas. — Kto jej nie rozumie, niechaj się dziwi powieściom ludu, powieściom moim — niechaj wiary nie daje temu, co jeszcze opowiem — bo nie tylko Gopło same zaczarowane jest wyobraźnią; wyjdźno o zmroku wieczornym do przyległych kniei — a nowych się cudów napatrzysz.

*

* *

Zaledwie północ wybije, — ozwie się las cały łoskotem i hukiem. — Grają trąbki, grają psy gończe!—Wcwał koń przegania — koń kary — nozdrze rozdarte, — chrapa zapieniona, — a z nozdrza i z chrapy strumienie

ognia pryskają; — a grzywa świszczy z wiatrami — a wiatry czepią się grzywy, bo zbyć nie mogą za jeźdźcem. — Jeździcowi mało świstu, mało lotu. — Uścisnął konia w golenie — szparciej wypuścił; — uderzył w trąbkę i dziką pieśnią wyzywa echa do wtóru!

*

* *

Zagrała psiarnia na gołoborzu; — odszczekuje gęsto — goni na oko. — Prędko — noga łania sadzi przed nią; — mignie czasem — czasem przepadnie, jak wiatr niedojrzana. — Oj! niech sadzi, niech miga!... Cała zgraja tuż za nią, a koń z jeźdźcem na przedzie. Wpadli w knieję — na Ostrów!...

*

* *

Jest tam dziś jeszcze na tem ostrowiu dąb jeden wspaniały — samotny z pomiędzy braci tysiąca. — On Piasta jeszcze pamięta. — Cześć wieków otacza koronę jego; — ochroniła go przeto ręka ludzka, — ale czas go nie ochroni!... Odrywa on powoli korę od pnia jego, jako pamięć od minionej wielkości. — Usycha... zaledwie tyle liści zachował, aby z nich uwić koronę żałobną na trumnę przeszłości!

*

* *

A przy nim leży brat drugi, rodzony — może brat starszy!... Dawniej był tronem orła siwego; — orzeł sława puszczy okolicznej — postrach trzód leśnych — orzeł siadywał na nim!... Przyszła burza, trzasł piorun... oj! nie — nię burza to, nie piorun!... Drobne plemię mró-

wek — mała rzeczpospolita podkopała tron odwieczny i runął! Orzeł się porwał z wierzchołka jego — roztoczył skrzydła szerokie, wzniósł się ku chmurom i więcej nań już nie siędzie; — a miasto sławy, wyrasta z niego pistrzyca, a miasto orła gad na nim siada—a mała rzeczpospolita złożyła w spróchniałce orlego tronu spólne gospodarzenie swoje... Takto sława — tak wielkość — tak ludzie!...

*

*   *

Tam na to ostrowie wpada zgraja myśliwska. — Zbudziło się odwieczne milczenie. — Cisza spłoszona, ucieka przed wrzawą w las, — na jezioro; — ścigana echem tuła się po brzegach, po łące; — aż się schroniła w puszcze zagoplańskie; — na trzęsawiskach Bachorzy osiadła i dyszy!

*

*   *

A na ostrowiu szum dziki i wrzawa. Grzmi trąbka — koń dudni — psy grają. — Nagle ucięły. — Trąbka i tętent umilkły — umilkło echo!... Cisza — głęboka cisza! Dwa ją przerwały westchnienia... Zda się, że miłość serc dwojga ulatywała na nich do nieba!

Zda się — ale któż prawdę odgadnie?... Kto ci wysnuje całą tę przędzę tajemnic?...

*

*   *

Bóg tam wie!... Stare to dzieje — jeszcze za ojca — za dziadka, i jeszcze starsze. — Corocznie tutaj tej nocy tajemnej poluje dziki strzelec po lesie — corocznie ugania za łanią i przepada w kniei bez śladu. — Tylko czasami przerwą ciszę wieczoru te dwa westchnienia ża-

łosne; — długo je słychać w powietrzu. — Wtedy występuje na falach jeziora dziewica w bieli — przepływa z wolna i niknie w oddali!

*
* *

Dziwne to rzeczy — dziwne zdarzenia!

*
* *

Szukałem w starych księgach mądrości, nigdzie o tem nie napisano; — ale mówiono wiele między ludem po wioskach nadbrzeżnych, — a ja podsłuchałem powieści.—

---

„Quod tamen per veridicam majorum
„narrationem condidici — non silebo. —
„Narrabat itaque grandis natu quidam."

*Kadłubek, his. Vol, epis. 1. 2. ed.*

„non est inconveniens, aliquid ex relatione majorum addidisse,"

*M. Galli. Chro. Cap. XLII p. 219.*

## I.

Wicher szumiał wierzchołkiem lasów. — Wieczornice wstawały we zmroku — a słońce kładło się na zachód;— nazierkiem z pod ciemnej rzęsy chmur wieczornych patrzało na ziemię; — a krwawym blaskiem wyłuszczywszy się poraz ostatni na wodach Gopła, smutnie olśniło zakopcone mury zamku przyjeziornego, co niby dziewięciosił wierutny stał sobie na puszczy; — opasany był potrójnym rechotem, w którym i we dnie noc ze światłem walczyła — a zawdy dyszała woda z pod zielonej pleśni, ujarzmiona i martwa! — Tak samo odpoczywa Gopło bez ruchu i życia pod nakryciem lodu, kiedy w porze zimowej zaśnie wespół z niedźwiedziem.

Aliści Gopło docześnie jeno znosi więzy i pęta — niechno mu w słońcu wiosennem zabłyśnie nadzieja życia, hnet starga twarde okowy i jako przedtem, pohula sobie wolne!... Zasie w rechotach woda — to wieczny niewolnik — nigdy nie hula, nigdy się lekką nie kędzierzawi posmyczą; — raz uwięziona — przywykła kajdanom — bez szemrania nawet dźwiga je w zimie i lecie.— „Przezacz?"... zapytasz, — odpowiem wręcz: „to dzieło ludzkie, a to dzieło boskie! — Woda Goplańska jest jako lud, co się przez wolę Bożą sam z siebie narodził i jest narodem; a woda w rechotach jest jako motłoch cyga-

nów, co przemysłem mędrszych, a potrzebą położenia wiedziony, z rozlicznych stron i miejsc, z południa i z północy — ze wschodu i z zachodu, ściekł się na jedno miejsce i zlał się w jedną kałużę! —

Pleśń ją ucisku okryje i dławi, to dyszy, a cierpi! — Nie może się w wnętrznościach swoich rozsierdzić, ani bałwanów swoich rozbić o brzegi!

Tak w rzechotach Gopłańskiego grodu dyszała woda, którą ręka można ujarzmiła, aby niewolnicą zasłonić obronnie wysypane wały i nadwałki — a strzedz baszt i murów, butne czoła dźwigających w górę. — W owych tam bowiem czasach, za plecami wałów kryły się zamczyska; za plecami niewolnika, oprycznego panowania świadomi, nieokreślnie nad poddanymi wydziwiający tyranie!

Na zamku Gopłańskim mieszkał ksiądz Sokół. Dziwak — szaławiła, ale się w kaszy zjeść nie da. — Choć jeszcze prawie maisz w leciech, ale ćwik w boju. Z dziecka nawykł trudom powszednim. — Nawet pieszczoty macierzyńskie obce mu są; — wcześnie został sierotą. — Ani Rodzica, ani maci nie zapamięta; — jeno o nich słyszał od ludzi. A i to, co słyszał, niby mętna woda, beze dna i gruntu; łacniej rybę w kałuży, niż w tych baśniach prawdę ułowić. — Powiadają, że ojca stradał jutro po narodzeniu swojem; — na jakiejś wardzędze nocnej zaprzepadł bez śladu, a za nim poszła i matka, — do jemioły zielonej podobna, co razem ze starym dębem żyje i naraz umiera. — Boć też nie miał po co żyć na świecie!

Córa Wojewódzka jedyna; — można pani dusz tysiąca — i więcej; młoda a gładka, mogła niejednemu wpaść w oko i niejednemu podać czarną polewkę. — Wielu też było zalotników. — Zajeżdżali rojno i zbrojno przed dworzec wojewódzki. — Nieraz dziedziniec dźwięczał złotemi podkowy; — nieraz się głaźne przezro-

czyszcza dworca wyłyszczyły w napierśnikach i chełmach stalowych, i nieraz dumna Wojewodzianka, w srebrzystej tarczy klęczącego wojownika — niby w zwrotnicy krasotę swoją ujrzała.

Bo to dawniej nie tak, jak dzisiaj zajeżdżało się w swaty. — Tam pierwej, niż z miłością swoją, trza było odprawić zrękowiny z brzeszczotem lub kordem; — z pierwu nim białogłowę, trza było kolczą do piersi przytulić, a przy graniu cięciwy na czarnem polu potańcować z wrogiem. Trza było wojować oblubienicę krwią i znojem — wysłużyć ją sobie u matki — ojczyzny! Wieldzy też to na ten czas byli mężowie!

Wieldzy do Wojewódzkiej córy zajeżdżali! — Ona wszystkich zbywała krótko — bo jednemu już się z wolą Bożą i z wolą Ojców oddała. Sokół to książę, Rodzic dzisiejszego, umiał się tak głaźno wnęcić do niewieściego serca. — Boć też naczołem chadzał przed drugimi i w dostojeństwie i w męstwie. — Dorodny, słuszny, — a chłop co się w korzec nie mierzy. — Prawdać i jego szampierzom nie wadzi, — i oni nie przy kądzieli wyrośli; — przecież Sokół zalecał się przed innymi butą wymoszczoną na otwartem czole i układnością słów wczesnych.—Umiał on niemi i Wojewodziankę i Ojce jej pozyskać, a porobiwszy bogate zasiłki, jako się więc słuszy przy zrękowinach — huczne wyprawił wesele, i wnet małżonkę przywiódł z rajcami do dziedzicznego grodu na Gople. Smutne to, stare zamczysko; — ale wszelakoż, choć mury jego zczerniałe, a głęboka wokoło zapuszcza się knieja, nie było tam na on czas głucho, ani smutno, jako więc bywa w klasztorze.

Sokół ochotny i k'rzeczny, bo sobie głaźną żonę przyżął w dom samotny; — a to nie półrzeczy — wszak już przed laty mawiano: „wzdyć dobra żona, męża korona!“

Więc biesiady gęste i gwarne; — nie brak zasobów,

nie brak i gościa; — co jeden, to prędzej zajeżdża, a co jeden, to później zamek opuszcza, gościniec za gościnę stawiwszy. — Sokół rad wszystkim — nie pierwszy do spoczynku i nie ostatni do dzbana.

Tak sporo czasu minęło — i tak miało być zawdy.

Aliści zkądże ta nagła zmiana w Sokole; — zkądże miasto dawnej dumy, siadła mu na czole posępność i troska; — a spytać go o księżną, to niby nie słucha, a przecież słyszał, bo się mocniej zachmurzył; — a mówić mu o wojnie, to ręką machnie, a nic nie odpowie. — Całe dnie w samotności przepędza, zamyka się w swojej komnacie; — tam pono gęste puhary miodu wychyla; — czasami wpada w szał, czasami w zadumę; czasami rzuca się na pilśń niedźwiedzią i nieruchomy zasypia. —

O wieczorze dopiero, kiedy księżyc zejdzie na niebo i na środku Goplańskich toni się pławi, — na on czas dopiero rzuca zamek — opuszcza most zwodzony — brzegami Gopła się błąka — między młokiciną ginie i wedle pogłosek, spieszy na ostrowie.

Czasami chciałby te ćmy złych myśli wrzawą hałaśną odegnać. — Nuż więc biesiady ogłasza — weseli się — ucztuje dzień cały!... Aż naraz w połowie śmiech przerwał — połowinę niedopitego roztruhana odstawił, i z dawną surowością na czole siada na ławę podścienną — głowę na szerokiej opiera dłoni, duma i milczy! — Wyjrzy raz, drugi na niebo, — księżyc zeszedł — już wieczór; on rzuca biesiadników i zamek; skrytemi werteby chadza nad brzeg Gopła i znika w gąszczach. —

Tak znowu sporo czasu minęło i myślano, że tak zawdy będzie.

— Aliści nowe zajścia w zamku.

Była tam jedna wczesna świetlica, modrzewiem wymoszczona; — w niej stały odścienne poławia gonią okryte, a na ścieniech wisiała szumnie dziana opona

i malowała różne potrzeby. — Pod błoniastemi przeziernikami lśniły się stalne zwrotnice, — a trzcinna podłoga osuta była grzebieniem, jedliną i ajerem; — na trójnogu stała kadzielniczka i dymiła wonną lebiodką, a w jednym kącie stał tapczan włosieńcem okryty, a na tym tapczanie wezgłowia, a na wezgłowiach spoczywała księżna, blada — cierpiąca; — przy niej dziecina w bieliznę uwita. — W świetlicy było cicho — jeno czasem skrzętne służebnice zaszeleściły szatami...

Powolną stopą wszedł Sokół — spojrzał na dziecię — podjął je na ręce — i znowu spojrzał; — uśmiech poruszył wąsem, co mu się zwieszał ku brodzie, — a nuż łza się na niego stoczyła — i przytulił do męskiej piersi niemowlę. — To wierny obraz matki, choć chłopię; — oko czarne, włos kruczy; — tylko czoło wziął po Ojcu, wysokie — dumne!... Sokół się wtórnie uśmiechnął; — radość błysła na surowej twarzy, — rozdęła pierś i kolczą — i szukała drogi, jakby się wylać.

To ojczyc[1]) prawy i ziemie swojej i rodzica swego, plemiennik rodu, oszajca uczciwego imienia i sporego mienia i sławy i cnót pradziadowskich. — To bogactwo matczyne, skarb ojca!

Czuł to snać Sokół; bo ukląkł przed tapczanem, czoło na dłoń żony opuścił i chował głuche milczenie.

A noc już była wtedy. Smolna wstęga łuczywa, zatknięta w straganie, słabo świeciła po pułapie komnaty, — a księżyc jeszcze słabiej po pułapie nieba, które się raz wraz czarniej zadymiało chmurami.

---

[1]) Ojczyc, Ojczycz, ojcowic znaczyło raz: Syna prawego łoża, np. ojcowicem przewodził bękart. Paszk. Bell. B. 3. drugi raz: syna Ojczyzny, rodaka, syna ziemi, np. Lada cudzoziemiec uprzedzi teraz u nas starych Ojcowiców stopnie. Pot. Arg. 400. To o czem wiem dowodnie, jako Ojczyc prawy spisałem ci rycerstwa Polskiego tu sprawy. Papr. Gn. Albo też: Póki dawne u nas Ojcowiców plemię rządziło, póty dobrze było. Pot. Arg. 119. (Dopis. aut.)

Książę na to nie miał baczenia; jeno na żonę patrzał, jeno na syna, a czasem coś poszeptnął służebnym, i odpasał zbroję, żeby nie chrzęszczała — i skóry niedźwiedzie kazał rozesłać pod nogi. —

Cisza była w komnacie, — ale na dworze wiatr szumiał — fala Gopła coraz gęściej pluskotała o brzegi, miecielica coraz głośniej wichrzyła po lesie. —

Sokół i na to nie miał baczenia, — ale księżna zasłabła; — nocy miało się już na drugą połowę — dziecię zakwiliło żałośnie — i uchyliły się odrzwie — i stanęła na progu wiedźma!... długie, białe szaty miała na sobie, bladość na licu, a w ręku praszcze krwawe.

Wręcz podjęła się księżna z posłania, a krzykiem bolesnym rozdarłszy słuch obecnych, w bezładnem omdleniu zwisła na wezgłowie!...

Sokół się wezdrgnął — okrył twarz dłońmi obiema, a potem wybiegł spieszno na podsień — krom zawieruchy i zimna ku jezioru się zadał — raz, dwa zamajaczył cieniem i zaprzepadł w łożach. —

Nad rankiem księżna skonała; książę więcej nie wrócił.

Różna o tem pogadanka była między ludem. — Każdy się w domyślaniu zacieka, a nikt naprawdę palca nie położy. — Raz ci przyniosą do ucha, a mówią, że to niezmyślone wieści, o jakiejś dziewczynie rybackiej, o jakichś pokątnych schadzkach na Goplańskiem ostrowiu,— a ta dziewczyna, to czarodziejka wierutna; — zna się na ziołach skutecznych; — widywano ją pono, jak na nowiu zbierała rutę, barwinek i jakieś tam jeszcze korzonki, o których nie każdemu wiedzieć — mówią, że niemi urzekła Sokoła. — Znowu rybacy zajeziorni wyłowili czerwo topielca na Kruszwickiem wybrzeżu; i twierdzą ociętnie, że to książęcy trup; — aliści w tem nic

pewnego; — trudno im podać ucho wiary; — ciało rozbite o mury Kruszwickiego zamku, ani da rysów rozeznać. —

Tak dziwnie zmotały się języki powieściarzy! — Najłacniej mógłby je stary Kiryło z nieładu rozplątać, wszakże on milczeć woli, snać przez opatrzenie się na osierocone chłopię, któremu w potrzebie drugim ojcem być ma. — Toć też żarliwiej pieczołuje o nim, jakby o własnym synie, — a dzieciuch pod jego okiem rośnie jak na zaczynieniu. — Śliczny to chłopiec i dziarski, — czarnooki, żywy, jak skra, abo rtęć; komośliwy, jak źrebiec wzięty ze stada; nie da się ująć na wodze, ale powolny jest radom starego; — burzliwy kiedy go drażnią — łagodny, jak głaszczą. — Widać nad Gopłem się rodził; bo i Gopło kobieli się, zżyma i burzy, kiedy wicher po niem chłosta, a kiedy lekki powiew je muszcze, to się wnet urochmani i ciche.

Chłopiec lubi sobie na jego brzegach wybrykać — w komnacie nie posiedzi, niewieścich pieszczot nie zniesie, bajarek nie posłucha; radziej chęć swoją dzierży do konia, a szabli; aż serce rośnie staremu słudze. — Zna on co będzie z chłopięcia, bo stary szpakami karmiony.— Więc go odrazu do bojowego rzemiosła nakłada. [1])

Uczy go z pierwu, jak majdan naciągać, jak się imać brzeszczota, a jak krzosać karwaszem, uczy, jako raz razem odrazić! — Później mu na uwagę przekłada, jak się przysłuszy komonnikiem na czarne pole wyjeżdżać, a jak pieszką wychodzić.

Potem go uczy, jak zażywać fortelów wojennych, aby nieprzyjaciołom sieść na miedzy. — A chłopiec pojętny, bo chuć w nim i chciwość po temu.

---

[1]) Gdy poznasz w dziatkach, z których będą męże,
Cackiem ich nie tul, ale daj oręże.
*Kchw. Wied. A.*

Ledwie też wyrosł nad głowę pacholęciu — nie zabawił dłużej pomiędzy domaki. — Rzucił wnet zamek ojcowski i bryndy dziecinne i baśnie domowego ogniska, a szukał milszej dla ucha wrzawy bitew, szczęku oręża.

Wnet się swojem polem gonić poważył, a wcale mu z tem do twarzy, bo się wychował na trudach wojennych; — koń był mu piastunem, zbroja kołyską, niebo szatrem, a kawał żelaza w ręku błyskotką zabaw dziecinnych, a drogim klejnotem dojrzalszego wieku. — Nim to swe imię okupił, — nim nieraz okupił życie swoje, — machnął — krzyż zrobił — i śmierć, jak złego ducha odegnał. — Zrzadka na skronie szełom nakładał, abo kolczą na piersi. — Tym kawałkiem żelaza i skroń i piersi okrywał. — Tak lacka ziemia walczyła dawniej. —

Lekka i chyża — zawdy gotowa do boju, — dziś ją zbudził najeźdzca, dzisiaj pognała za nim — na kark mu siadła, na ostrzu szabel rozniosła śmierć i sławę; — jutro spachaczem brała się do dom, aby w pokoju na ojczystym glebie usiadłszy, jąć się lemiesza i chleba. Była potężna!...

Tak się i Sokół wilekości dobił. Słynne imię jego u swoich — straszne i gromkie u obcych. [1])

Brzegami Dźwiny i Połoty — Donajcu i Dniepru, równie polabską równiną bieży sława jego; — to w trzciny błót meotyckich skacze gronostajem, — to po wodach Dniestru pływa białą kaczką, to sokołem, lub orłem leci pod mgłami Karpat, to wilkiem po kniejach Litwy! Tam ludożercze Pieczyngi i niewierne Połowce — tu

---

[1]) Choć w tym ustępie zdaje się na pozór, jakoby Sokół był osobą czysto-historyczną, przestrzegam wszakże, iż raczej symbolicznie uważać go tu należy. (Dopis. aut.)

dzicy Wilcy i lud pomorski, a ówdzie Niemce podstępne umieją imię jego wymawiać. —

Nieraz bywało — siedzą przy biesiadzie, a oto jeden z poszedziałych krysaczy rozpowiada otrokom zajścia i sprawy wojenne, a wymówi znieobaczka, pół-głosem imię Sokoła; — nuż zrywają się starzy wojownicy i sięgają kaleną po strzałę, i cięciwy palcem pytają, czy dzwoni i okiem sępiem szatrzą zkąd śmierć leci — zkąd Sokół?...

A on tym czasem więcej sta mil daleki, nad wodami przesławnego jeziora Gopła, w pokoju żywot swój wiedzie. Po długich leciech krwawego rzemiosła, pierwszy raz wrócił pod dach rodzinnego grodu; nie przeto, iżby sobie zmierził wojaczkę, abo zatążył do wywczasu i wygód; — wszakże on ciałem zatwardział na trudy, sercem na tęsknotę; — ale mu nie stało zapaśnika, pokój ogłoszono i ustała wojna.

Samotrzeć ze starym sługą i z pacholęciem wrócił Sokół na zamek; a czarna knieja Goplańska, a dziki widok roztoczonego jeziora, tak mu do smaku przypadły, jak rumakowi step gładki. — Lubił się rozpatrywać po chuczących — zapienionych wałach — lubił słuchać głuchego szumu drzew leśnych, — jeno spoczynku nie lubił!

Od urodzenia miał myśli pożądliwe czynu, — a od lat tyla karmił je krwią, śmiercią, wrzawą bitew, okrzykami zwycięstw. — Na teraz ich gnuśnością ani wiejskiem próżniactwem nie wykarmi; szumem drzew leśnych, śpiewem słowiczym nie uśpi. — Bo ani spoczynek, ani wywczas nie mają siły zatłumić tę chuć i żądzę, której nie zażegły. — Jest to ogień straszliwy — równie gwałtowny, niewstrzymany, jak ów stary ogień grecki — i równie, jak on, nieznany już dzisiaj osłabionego ducha pokoleniom! Biada tym, którzy go w wnętrznościach swoich przechowują!... Kiedy już wszystko na-

około strawi, a nie ma więcej, czemby go podsycić, — wtedy płomień swój na własny ołtarz obraca i pali go sobie na obiatę!

Dla Sokoła jeden jest tylko rodzaj zatrudnienia w tej puszczy — łowy!

---

## II.

Myślistwo różne w ludziach się znajduje.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Więc są, co tylko ciało w myśli mają,
Więc łotry w nocy dla rozboju wstają;
Owi, acz w domu i pokornie siedzą,
Wzdyć jako dudków lis ma łowić — wiedzą.
Są też takowi, co cnotę miłują,
A bez nej żadnej myśli nie sprawują.
Poczciwiec nie dba o lichwę, kradzieżą!
Radniej tem swą chęć cieszy, kiedy bieżą
Charci za sarną — za kaczką sokoli,
Swe gospodarstwo uczciwe, po woli
Sprawiwszy...

**Matheusz Cygańki, 15....**

Sławni przodkowie, co tak polowali
W zanadrze sobie poglądać nie dali.

*Stryjk. Gon. G. 3.*

Sokół się całkiem oddał myśliwstwu i łowom. — Jest tam w nich coś na obraz i podobieństwo wojny. — Wisi karwasz na temblaku, majdan z kuplerza; koń między goleniem; — czasem i cięciwa zagra, czasem i łączysz-cze zajęczy, — a zawdy gwarno i warno, i zawdy śmierć na stręcie! — Raz to włochacz telepakiem bieży, albo dra-

binę stawia i wodzi za pasy, -- albo też zamiata, strzela i wichrzy, porykiem przemawiając w głos.

To znowu samura z warchlęty rznie się na złaję kondlów, a oni krzepko ją dzierżą — cięto ujadając; — a trąbka krótko zacina; — aż na raz ozwie się powłokiem, co najdłuższym tonem, — raz wraz dzwoniąc psiarni na odprawę, a wytrębując ją z lasu.

To najwcześniejszy dźwięk dla myśliwego ucha — to znak obierzy.

Ściąga się myśliwska watacha ze wszech stron, jako kto może wydążyć — ten pieszką — ów na chestrze — a inny na dzielnym ciekunie — wszyscy w tę stronę zkąd pomian dano. —

Patrzą — a tu zwierz rozciągnięty dyszy; — juchę czy posokę płuży — drga ostatniemi podrygi i zdycha!...

Nuż tryumfu graniem zajęczą trąbki i rogi — las cały wręcz im odgrywa, a szczęsnemu myśliwcowi oko jaśnieje chwałą.

Takie zabawy przywodzą Sokołowi na pamięć zwycięstwa dni przeszłych. — Wojownik z wiary i zakonu swego — z potrzeby rozmiłował się w łowach; — więc dni całe na nich tranowi. — Wyjeżdża rano — świtaniem, — wieczorem, o zmierzchu wraca! Całą już knieję przetrzebił, wszystkie zakątki, obydla; całą zwierzynę przepłoszył — od pierzchliwego zająca, aż do niedźwiedzia i dzika. — Nie wybiegały się przed nim cielne łanie, ani kotne sarny.

Jedno jest przecież ostrowie, na którem dotąd nie postał. — Dąb się tam wznosi odwieczny; butny szczyt chmurmi obwinął, a pleczystemi ramiony pieczy starszeńskiej osłonił krzewia i chrósty sąsiednie. I wiekiem i powagą ojcuje puszczy Goplańskiej; a wspaniałością konarów przynęca oczy pątników. — Nigdy go wszakże Sokół nie obdaruje spojrzeniem; — chroni się tego miej-

sca skwapliwie. — A niechno znieobaczka który myśliwiec zwróci tam jego baczenie — bo nie rzadko bywa, że zwierza na to ostrowie ubiegają — niechno więc kto poradzi objechać owo tę knieję — to Sokół rozokiem na niego spojrzy, nic nie odrzecze, tylko czoło gęstszemi chmury zasępi.

Jedni powiadają, że od urodzenia czuł wstręt ku temu miejscu; drudzy, że to Kiryło stary tak mu je powieśćmi, a przestrogi swemi obmierzył.

Lud innych jeszcze bajek siła rozsiewa; w powszechności nie lubi Sokoła; — rządy sobie jego przykrząc, nie może odrazu przywyknąć służbie niewolnej i oprycznemu panowaniu jego. — Inak to było jeszcze przed niedawnym czasem, — a dobre czasy długo się pamiętają. — Wtedy kto oręż mógł w potrzebie dźwignąć — wolny był i zborom uczęstniczył i nad swojemi potrzeby, swoim językiem przemawiał. — Trza było chleba, do ziemi przyćpał ręce robocze; — trza było bronić matki albo siostry — to się jął krwawego miecza i w imię swobód bił do upadłego! Aliści teraz — użal się Boże starego zakonu! — Jednym ręce do ziemi przyrosły, drugim do żelaza; — jednym ci, a wszystkim jeden przewodzi. —

Karb sądu i miecz kazania jedno ramie dzierży; a za mieczem idzie sprawiedliwość. — Więc kędyś się zadział kmieciu Boży?... Jeszcze u sąsiednich Pomorców z nowym zakonem stare zachowujesz prawa; — wzdyć u nas?... do nas Niemce inny obyczaj przynieśli. —

Sokół wojował z nimi, — wyszedł z walki zwycięzcą i zwyciężonym na raz! Zwycięzcą w broni, a zwyciężonym na umyśle i duchu. Wsmak mu znać poszły udzielne rzędy grabiów i baronów niemieckich; — z kordem pobratany na wojnach, nie chciał go odpasać w pokoju; a wojować nie było kogo, chyba uciążać kmiecie! —

Na zamku jego raz na raz zgraja goszczących. — Dawni towarzysze broni, bracia spólnych klęsk i zwycięstw, zjeżdżają tam licznie i tłumnie, a służba i pachołcy po siołach rozłożeni brząkają sobie ratajmi. — Prawdę mówią, że żołnierz w pokoju — to hulaka na cudzym chlebie. — Wreszcie i te łowy, to dla ludu rzecz uciążliwa. — Słychać wzdyć nie wiem, czy prawda, że kiedy zwierza nie stanie, to pono szczwają i ludzi. — A na wysokim lesie jest wzgórze, gdzie Sokół zwykł pod wielkim dębem śniadać z łowcami — zaś pacholęta z psiarnią stoją na uboczy, poniżej. — Więc bywa, któsiak tam z góry rzuci pomiędzy złajnie kęs chleba — a nuż zgłodniałe pacholęta poczną się oń z psami ujadać!

Trudno ludowi do tego życia przywyknąć — trudno skopciałym murom zamczyska; — w nich od śmierci starego Sokoła cisza klasztorna mieszkała; — dzisiaj zbiegłszy na puszcze ustąpiła hałaśnej wrzawie myśliwskiej drużyny i hucznym biesiadujących okrzykom. Każdy dzień widzi szumne przybory, — widzi padające pod toporem capaje — stepowe źrebce i woły; — każda noc mąci się i kłóci dźwiękiem roztruhanów, szumem lipniaku i kurdeszowym okrzykiem!

---

....biesiada — bo bies na niej siada.
— — — — — — — — — —
siedm biesiada, a dziewięć zwada. —
*Stare Przysłowie.*—

## III.

Słońce zaszło — wieczór się zbliżył. — Przed broną zamkową trąbka zabrzmiała — most opadł — i naraz końskiemi kopyty zadudnił. — Na obszerny dziedziniec wpadł War — war przyjezdnych i nie mógł się zmieścić. — Rżenie koni, psów wycie — trzask biczów — szaszor — huk — wrzawa, tłuką się zmieszane po murach, przeskakują rechoty i wały; — ścigane nowemi krzyki chronią się po lesie, echem się nawołują zewsząd i uciekają w pola. —

To książę Sokół z łowów powraca — posobkiem jedzie na przedzie; — dzielny koń pod nim — cisak — sudanny, przecwałny. — Aż spojrzeć miło, jak wędzidłem dzwoni, jak pianą toczy — jak chlusta przodem, a zadem naokracz rozpiera. — Za koniem pies czarny, ogromny kondel idzie z wolna — kuleje. — Jest to pies najsławniejszy na wszystkie knieje — najcnotliwszego pomiotu!... Nigdy on w szkopec nie szuka, ani goni; nigdy nie ukrada, nie przemykuje, — gębą nie zarzyna, bądź goni wiatrem, bądź tropem, albo kopytem; — wie-

trzny i chwatny; — skoro się pąda dobierze, albo też zwierza ruszy, to krzepko, że wszystkiego skoku dzierży popędzonego póty, póki może, abo on gonić, abo zwierz uciekać.—

A przecież dzisiaj, bies go wie czemu, tak się nie spisał. — Stanowiąc odyńca na kieł mu się nawinął, okulał i mało szaszkiem z potrzeby nie wyszedł. —

Pan morkotny, przeto cisakowi nie folguje; — pono i on się nie sprawił; krom zwyczaju nie wydołał łani na gołoborzu.

Pan markotny, bodzie ostrogą, ściąga wodzami, aż go w miejscu osadził i skoczył na ziemię. —

Chłop z niego sążnisty; — głową dorasta prawie drzew Goplańskiej puszczy; — pleczysty, jak dąb — wspaniały, jak lew. — Na barkach wisi mu burka niedźwiedzia, łapami spięta pod gardłem na stalowe trzpienia; — pod nią błyszczy bułat krótki, obosieczny; — pod lewą ręką kołczan z pierzastemi zastrzały; a przez prawe ramię zwieszony miał łuk obłączysty, dwoma rzędami zębów sadzony, dwoma końcami nagięty ku sobie — gruby i ciężki — zdziałany na siłę olbrzyma. — Jedna go tylko ręka naciągnąć zdoła. — Sokół, najlepszy łucznik na całą okolicę — o staje celu swojego nie chybia.—
Stanąwszy na ziemi odgarnął z czoła włosy, które mu w długich kędziorach na barki spadały — potem kuczmę bobrowem podczerwiem wyłożoną, bróźcem na ucho nasadził i świsnął. —
Przyskoczyło pacholę — i według zwyczaju odbierało od pana łuk, sajdak i strzały; — a odebrawszy stało jeszcze chwilę w oczekiwaniu, jak gdyby nie wy-

pełniło zwykłej roboty. — Roześmiał się Sokół — wziął od stojącego obok towarzysza oszczep stalowy i oddał pacholęciu. —

Ono go w ręku poważy — z zadziwieniem spojrzy na księcia; — widzi, że lżejszy, że nie pański! — Książę bez oszczepu powrócił — to dziwna. — Nigdy on go daremnie nie ciskał. — Dzisiaj snać ręka zawiodła. —

Na dziedzińcu nieład i zamieszanie. Konie luźno puszczone, na wyskok pędzą ku stajniom; — ogonami nakrywają grzbiety — prykają. — Tylko książęcy koń, cisak, zwolna stąpa, a żwawo robi bokami; — zatknął się i shasał pod jeźdźcem. —

Już też i psy wolne; — charty ze smyczy zdzierzgnięto; — gończym puszczono sfory — kondle oddrążkowano; — wszystkie radośnie poszczekują, kręcą się, wiją, skaczą po psiarkach i po myśliwych—gryzą się z sobą.—

Tylko książęcy pies czarny, szerchłowaty — wyciągnął się wpodłuż na wysokim progu; — czego dawniej nie zwyknął — bo zawdy legał w koszyku; — dzisiaj paszczę oparł na przednich łapach — wywiesił jęzor spieniony i chciwie zachwytuje powietrza. —

Łowcy z juków wydobywają zwierzynę; a myśliwi stanęli do koła — i nuż przygody dnia dzisiejszego wezmą opowiadać — jedni się chwalą z obierzy — drudzy wymówkami zastawiają; — bo to tak, a to tak było — a nigdy bez ale; zwyczajnie, jak myśliwi. — Najbutniejszy był tam ze wszystkich Niemierza, który kończerzem odyńca osadził; — najmarkotniejszy zaś Sokół; — obłów nie zły, a on szaraka nawet nie uszczwał. — „Oj! ta łania — ta łania — a to już po raz drugi tak go przez nogę rzuciła. — Niech licho weźmie!“

Zmarszczył się — klasnął w dłonie: „Hejsa, Kiryło! — niechaj stoły zastawią, — na sto chłopa spraw ucztę!“

Kiryło głową pokiwnął „już zastawiono!“

A więc dalej, co żywo!

I ci, co już posiedli — i ci, co przeciągali znużone członki, — wszystko się gromadnie porwało. — Ich dwa razy nie prosić; jak grad się sypli na podsień — a potem długim chodnikiem zmierzali do wielkiej świetlicy. —

Świetlica ta obszerna na przestrzał; — wpośrodku ognisko, smolnem płonące łuczywem, — czarnym buchające dymem, który się wila po pułapie i w różnorodne zakrąża obłoki. — Po stronach jednym rzędem ławy — drugim rzędem stoły dębowe, wązkie, a długie na trzy sążnie. —

Łuki, sajdaki, kołczany, oszczepy; rogi jelenie i żubrze, — maczugi, palcaty, oksze i karwasze, rozwieszone błyszczą po ścianach; — po ławach rozesłane skóry niedźwiedzie i dzicze; — po stołach rozstawione gąsiory i misy ze strawą pożywną. — Tam łapa niedźwiedzia i pieczeń źrebięca pierwsze trzyma miejsce, bo tak przystoi na myśliwego i na starego żołnierza.

W zamku też goście po temu! — Zawiesili sajdaki na ścianach — na łowach się rozsiedli — na stołach się rozparli szeroko. —

Ksiądz Sokół pochwycił roztruhan: „Kiryło, lej lipniaka!“

Zapienił się miód stary — pryska iskrami złotemi, jakby się ogień z kagańca przelewał w turzy roztruhan.

„Witanego!“ zawołał gościom ksiądz Sokół i wychylił go do dna; — on się nigdy, ani do korda, ani do dzbana nie leni; — ostatni schodzi z czarnego pola, — ostatni wstaje z za stoła, — a zawdy na pierwszym brzasku jutrzni stoi pierwszy w szatrze i w zamku. —

Za nim reszta idzie w ślady; — to sami wojownicy— mają o czem ku pamięci swej mówić; — tam razem gonili na ostrze. tam wpadli z mieczem i ogniem; — wysie-

kli, spalili. Świetne wspomnienia! Niemi karmią duszę i poją; — a dzbanami miodu poją ciało i zmysły. —

Najpoważniejszy wiekiem pomiędzy nimi był Władybój, żupan (patrz 3 przyp. R. B.) od zasieki pomorskiej,— już on tyle wydarzeń i czasów, i rzeczy pamięta, że dla wszystkich miejsca w głowie nie staje; — więc na wierzch wybiegły, zmarszczkami obsiadły czoło i włos mu siwy z starej mózgowni zegnały! —

Przy tem wszystkiem zachował dotąd siłę młodzieńczą; a chociaż od lat kilku zawiesił kolczę i zbroję w komorze, — lubi jeszcze dzisiaj zabawy myśliwskie;—więc kiedy inni o wojnach, on prawi o łowach; — uczy maiszów, jako w las jadąc mają się ozwać trąbieniem zakładnem — jakie na wysokim lesie, — a jakie w kniei objeznej wywieranie być ma. —

Uczy ich tego i owego — stary gaduła; młódź go jedna słucha — a druga gwarzy i rozprawia się z sobą; — a coraz głośniej i huczniej w świetlicy. — Z po za stołów świecą oblicza surowe — ostre, jak te pałasze, co brząkają pod stołem; — a czupryny się kurzą — wąsy się jeżą — oczy wesołością, męstwem i grozą strzelają. Huczno i gwarno!... przecież nie tak, jak zwykle; bo ksiądz Sokół, chociaż gęsto zapija, i zagaduje nie ścicha, widać wszakże, że gniewny, że nie swój. — Żal mu pewnie grubego zwierza, co go wypuścił z obławy — a bardziej jeszcze żal wiernego pocisku, który mu służył na bojach; wstyd, że marnie go stracił. —

Nuż więc wrzaśnie na służbę: „Kto mi oszczep przyniesie, — pachołcy — kto mi mój oszczep przyniesie, a kto łanię wytropi do jutra, weźmie w darze kęs złota i me łaski książęce!“

Cichość się zrobiła w świetlicy — wszyscy słuchają, — a Władybój stary tak się ozwie:

„Co ci książę Sokole, co ci się hasać na wiatry!...

Oszczep twój — wiaruj mym słowom, oszczep twój łupem ci wzięty, a z łanią sprawa nieczysta!“

„„Jako? Włodyboju, bywalcze“ — wpadł mu w słowo Sokół sierdziście — „jako?... oszczep mój łupem mi wzięty? W stu rozprawach i dwiestu nikt mi go wydrzeć nie dośpiał!“ “

„W stu rozprawach i dwiestu, nikt ci go wydrzeć nie dośpiał — a oto dzisiaj na łowach oszczep twój chrobry stradałeś — stradałeś lepak podstępem.“

„„Czyim podstępem władyku?“ “ — zapytał groźno ksiądz Sokół i poskoczył na nogi. —

„Dawna to o tem przypowieść — Bojanie, stary gęślarzu — przystąpno ku nam i pocznij.“ —

Z pomiędzy grona służebnych, co na podsieniu gody sobie piwne sprawili, — wystąpił starzec wzniosłej postawy, choć pochylonej już wiekiem; — włos miał siwy, rzadki, rozwiany po barkach — na głowie szłyk borsuczy, a w ręku domrę o trzech stronach — siwa broda spadała na odkryte, ogorzałe piersi.

„Bojanie — stary gęślarzu, wznówno pamięcią dawne powieści o Gople“ zagadał do niego Władybój, a Sokół usiadł na ławie.

Kiryło przyrzucił drewek w kaganiec, a kiedy sypły iskrami i płomień popędziły pomiędzy górą — Bojan położył palce na stronach i obudził je z uśpienia. — Zakwiliły żałośnie, płaczliwie — niesfornemi i bolesnemi jęki, jakoby troje dzieci niemowląt;—aż smutno słuchać przytomnym. — Wnet je też starzec dłonią ugłaszcze, popieści; — wnet je ucisza, łagodzi; do snu je znowu utula, taką je baśnią kołysząc:

„Szumi Gopło — całe życie,
Na niebieskim śpi błękicie,

Niebieskim śpi snem;
Ale według starej wieści
Tajemnice strasznej treści,
Chowa w łonie swem.

Gorze ci rybaku młody,
Gdyś załaknął starej wody [1])
Z goplańskiego dna!
Biedna macierz twoja stara
I gołąbka twoja biała,
Biedna łódka twa!

Coś zachwarszczało na dworze. Bojan umilkł. — Cicho w świetlicy, aż szum rozdętej fali dosłyszeć; — zda się, że tam z jeziora podnoszą się dźwięki nowej pieśni, — a to wiatr pochwycił echo gęślarza i roznosi je po lesie.

W komnacie cicho! — Wszyscy czekają końca. — Sam tylko Sokół nie cierpliwi się i zżyma widocznie. — Wyrosły na bojach — wojownik z lat młodych, lubi pieśń bohatyrską — wojenną, — ale znieść nie może dźwięków niewieścich, bo i niewiastą gardzi od dziecka.

Bojan znów palce na stronach położył i z pełnej piersi pieśń swoją poczyna:

Nadgoplańskich puszcz wybrzeże,
Tajne z Gopłem ma przymierze —
Tajemną ma moc;
Po wybrzeżu lekka łania
Za wiatrami się ugania,
Ugania dzień, noc!

---

[1]) Czytaj w słowniczku pod słowem „siewierny".

O myśliwcze! jakeś żywy
Od łączyszcza, od cięciwy
Wstrzymaj śmiałą dłoń;
Miniesz celu w ciemnym lesie,
Wiater pocisk twój zaniesie
Na Goplańską toń.

I staniesz się sprzymierzeńcem,
Staniesz Gopła oblubieńcem
W wiekuisty czas;
I za życia i po skonie
Będziesz kochał Gopła tonie
I ten ciemny las. —

Tak śpiewał Bojan. — Sokół się dłużej nie mógł powściągnąć i puhar srebrzysty, który trzymał w ręku, cisnął pod nogi gęślarza: „Weź to stary za objatę — a baśnie twoje schowaj dla prządek kędzielnych; — nie mnie je do ucha książęcego podawaj!... Czyś ty już stary zabaczył twoich dawnych pieśni?... Kiedyśmy w czarnen polu szatry roztasowali, inaksząś pieśń nam poczynał o starym dębie na puszczy — o sirym orle na stepie, a serce w kolczą zadźwiękło, a pałasz w pochwach zachrzęszczał! Dziś już odwykłeś pieśni wojennych — miej się precz od nas, gęślarzu!

Bojan nie podjął puhara — lecz ku drzwiom brał się spachaczem. — Władybój stary podjął się z ławy i tak doń rzecze: „Dobrze, Bojanie, miej się precz z zamku a u mnie lepszą gościnę znachodzisz. — Chodź za mną stary!“

To mówiąc temblak przyciągał i wyszedł z za stoła;— za nim wstał z ławy Niemierza — Zbigniew od Gniezna stolicy i inni. —

Na to Sokół gniewem rozgorzał, i już sięgnął do kor-a, — ale kęs myślą pobaczy i tak się gniewnym ozewie:

„K'woli rozumu dzierzmy gniew krótki! Co nam kłótiami kalać biesiady i gody. — Do czasu spory zostawić; dzisiaj odwiecznym zwyczajem siądźmy za stoły ościnne!"

„„Starym zwyczajem każesz nam siadać za stoły, okole; rzecze Władybój poważny, — a masz w po-rdzie obyczaj najstarszy w kniejach goplańskich. — n odwiecznych prawd święte podania stare ojce przy-sły w te strony. — Jeszczem był małe pacholę, kiedy ie o tem uczono. — Bojan ma prawdę za sobą. — Ty bywalec nad Gopłem. — W dalekich ziemiach i kra-ch rosłeś na wojnach i na obcej wierze; — aniś od iatki zasłyszał o strasznej wieści Sokole, aniś jej świa-om, zaiste, a więc poszanuj głos drugich i bacz się w słowie i czynie, byś miał pociechę w twym domu!" "

„O jakich wieściach mówicie?"

„„Jasne są wody Gopła — lecz czarne są jego głę-pie; — a chociaż niebo pogodne, nigdy ich do dna nie spatrzysz; — jakie tam czary się dzieją, nigdy się tego ie dowiesz. — Ale zapytaj rybaków, oni cię dziwów iauczą o pięknej dziewie Bogunce, — ale zapytaj myśli-vych, oni cię dziwów nauczą, o dzikiej łani zaklętej. — Chroń się, abyś jej nie poszczwał!

Rozśmiał się Sokół: „Co wy mnie o tem prawicie! Ja rom szabliska i wojny nie znam miłośnic dla siebie. — Dziewek się kraśnych nie lękam; — a póki siła w ra-mieniu, nie dam się przemódz czarami. — Kto zemną dzie po ręku — wołał podając prawicę — kto zemną dzie po ręku, że jutro łanię doścignę, jutro na moim ci-aku i na mój kończerz nadzieję, kto idzie?"

Nikt się nie ozwał z przytomnych, wszyscy chowają

milczenie. — Głucho w świetlicy, — lecz na podsieniu gwar powstał, podwoje prysły narozsiecz i wszedł mąż zbrojny.

„Ja z tobą idę po ręku — Sokole księciu!“ powiedział i wraz mu podał prawicę. —

Kiryło, co długą chwilę stał już w zadumie, milczący; — gdy ninie w oko weźmie przybysza, zatrwoży sobą widocznie. — To gość niewczesny! Czarny, kosmaty kopieniak go kryje; na głowie ma kaniastą kapicę, głęboko wciśniętą na oczy, jako pasiecznik, gdy idzie do ula; — w ręku palcatą maczugę, — a na ramieniu łuk obłączysty — z długich włosów kapie mu pot gęsto, — rzekłbyś, iż znój go z czoła wycisnął; — a wzdyć nie widać po nim znużenia; — i z kopieniaka czarnego sączy się woda kroplami; rzekłbyś, iż ranna to rosa okryła suknie przybysza, a wzdyć to północ dopiero i rosa jeszcze nie pada.

Czarny książęcy pies, brzechun, zapaśnik z dzikim niedźwiedziem, co dotąd cicho leżał u nóg pana — porwał się nagle i jako kurta pastuszy, ogon pod siebie zwinąwszy, zarył pysk w ziemię i zawył; — odpowiedziała mu psiarnia w dziedzińcu i długiem wyciem, niesfornem darła powietrze i uszy. — Tak kiedy do wsi wilk wpadnie, pomiot psi ze snu zbudzony skomli i w budy się chroni. —

Każdy się wezdrgnął z przytomnych; jeno Sokołowi w posłuch to poszło; — krokiem nastąpił przed siebie, chwycił podaną prawicę — potrząsnął silnem ramieniem: „Zgoda“, rzecze, „słowo moje wierzę twej pieczy, — a wasze słowo niech naszej waśni kres stawi; zakład połóżcie, rycerzu!“

„Słuchaj, Sokole“, odpowie głosem ponurym, „więcej niż ci się widzi w zastaw położę — pobacz, czy słowa nie cofniesz?“

„ „Gościem mi jesteś, — więc obelgi mi nie ma w tej mowie, — słowa nie cofam! — Na wszystko tobie odpowiem!“ “

„Na wszystko!“ powtórzył niespełna głosem — „więc rzecz do jutra zostawmy“.

„ „Zgoda, rycerzu, a dzisiaj strzeżmy praw starych przy uczcie; — odwiecznym przeto zwyczajem siądźcie za stoły gościnne i broń odłóżcie na ubocz; kto za me progi przestąpił, bezpieczen życia bez zbroje!“ “

Siadł nieznajomy na ławie, lecz broni swej nie odłożył; — na palcatej maczudze wsparł się obiemi rękoma; przyjął gościnę na zamku, ale biesiady nie dzieli; nie tknie napoju, ni strawy. — Sokół doń zapił lipniakiem — on swój roztruhan ku ziemi przychylił — odlał miód kroplami niewielu, resztę postawił przed sobą. — Sokół go częstem słowem zagaduje, on skąpo odpowiada i zrzadka. —

Wszystkim to niewsmak — ucichła wrzawa w świetlicy; — ale za to na dworze zerwała się burza; — miecielica wichrzy po lesie — skrzypią jawory i sosny, — dęby łomocą i jęczą — trzaskawice świecą we chmurach, a wicher harce wyprawia z biesami. — Zwierz dziki uchodzi w jarugi i nory, a ulewa szumi jarami i prądzi. — Szumi Gopło. — Słychać, jak pluskoce rozdętą falą o brzegi; słuchać, jak kipi, wre, syczy, jak pianą pryska na chmury. — Hajstry i inne ptactwo krzyk przeraźliwy czyni ponad wodami. —

W świetlicy pobrzękują odrzwie, poświstują wichry — trą się na pułapie z dymem i odgarniają z góry. — Dym się dołem tłucze po klepisku i tumani czarnemi kłębami. Deszcz leje się strugą przez dymniki, a przeziernikami rzęsisto zacina. —

Goście z ław się podjęli, i zda się, jakoby chmura

z nieba spadła i okryła wszystkich po jednemu — jakby im zmoczyła odzienie i twarze. —

Każdy oczy z dymu przeciera, każdy szaty strzepuje z deszczu. —

Jeno ów książęcy porucznik w czarnym kopieniaku— sam jedyny — ani oczu przetrze, ani strzepnie sukien. — Powstał przecież z ławy — wyszedł z zastoła i ma się ku drzwiom.

„Co, rycerzu — rzeknie Sokół na to, psa wygonić żal byłoby dzisiaj, a cóż puścić wojaka z ramienia i z rodu, chocia prawda jeszcze nie wiemy, jako wam dzieją?...

Na te ostatnie słowa przybylec niby nie zważał — krótko i wręcz odpowiedział, że do miecielic przywykły, że się woli nie odejmie swojej, krom piorunów i wichrów i wybiegł na podsień. — Darmo Sokół wołał — darmo służby pytał, gdzie poszedł... — Wśród ciemności nikt go nie dopatrzył. —

A już też ranek niedaleki — kury pieją. — Gościom się trza rozejść na spoczynek. — Uczty i tak dziś nie będzie — każdy się w myślach zadumał — wszyscy milczą — milczy sam Sokół.

Wreszcie Władybój stary przerwał tę ciszę powszechną:

„Dajno Sokole służebnych, co nam do komnat poświecą; — sen już przemaga powieki i ty się rozmyśl samotnie. Ja z starej głowy ci mówię, źleś sobie począł, Sokole! Nie wiesz z kim wszedłeś w zapasy, — a mnie się wrzkomo coś widzi z tym oto nocnym przybyszem, że to rzecz krzywa i czarna! Słyszysz, jak Gopło szaleje? Starzy Bogowie jego się budzą. — Miej się na pieczy, Sokole!

„ „Moja to sprawa, Władyku!“ “ butnie mu Sokół odrzecze i w dłonie klaśnie na sługi.

Sypną się rączo z podsienia, — zapalą smolne łuczywa i krzyżowemi chodniki prowadzą gości do komnat. — Sokół ich żegna kolejką — a kiedy wszystkich pożegnał, — udał się do swej sypialni. — Za chwilę głucho na zamku; tylko z książęcej komnaty słychać szmer jakiejś rozmowy; — raz księcia męski głos, gromki, krótko się ozwie a żwawo; drugi raz ciche poszepty. — To stary sługa Kiryło tajny ma z panem rozhowor; a poznać z głosu i z mowy, że mu coś na myśl przekłada i radę z prośbą kojarzy; ale niewiele snać wskórał, bo wyszedł z głową zwieszoną i zasępionem obliczem. Wrócił do wielkiej świetlicy; — tam przed tlejącem ogniskiem rozesłał skórę niedźwiedzią i przyległ do niej, jak długi, nie na to przecież, by zasnął. — Troska mu jakaś dojmuje — złe myśli spać mu nie dadzą — podniósł się wpoły i usiadł: „Mnieć to wróżbita wykładał i z gwiazd i z dłoni dziecilucha, a jam burcie jego wiary dać nie chciał; — wzdyć prawda idzie dziś za nim! Dawniej mi biegał po myśli, dziś radom starym ucha nie nakłoni. — Co mi twe rady Kiryło — szablicą moją wszędy sobie radę wykrzeszę!... Zawdy szablica, a nigdy statku, ni tyla!... Możeby lepiej z temi było, gdyby niewiastkę uczciwą w dom przywiódł"...

Starość ma to w przyrodzeniu, że rada wiele gwarzy. — Kiryło głowę oszedziałą laty w wywiędłe ręce opuścił — wsparł na kolanach łokcie żylaste i dumał. — W niej myśli coraz to luźniej biegają — coraz to bardziej dziwaczą. — Raz się przerzucą w owego nocnego z kapiącym włosem, z mokrym kopieniekiem! drugi raz znowu z topielca — kiedy z Gopła wyłazi drzący, zmoczony — już w ludzkiem ciele. Strach patrzeć!

Zasnął Kiryło. — Na zamku cisza. — Słychać jeno chrapanie śpiących — i wycie wilków i szum puszczy i krzyk wodnego ptactwa na Gople. —

## IV.

Na dworze jeszcze chmurno — gwiazdy zrzadka świecą — a coraz bledziej i mdławiej, — bo mają to w przyrodzeniu swojem, że choć noc całą jasno świecą, to nad ranem gasną. — A jeno gwiazda jutrzenna, już co dalej to jaśniejsza, aż do wzejścia słońca.

Zapalił się ranek i zdjął mgły nocne. — Słońce krwią zabiegło — Gopło zaigrało złotem; — opar się gęstemi kłęby podnosi nad wodami — to ręce ofiarników szlą z zatopionych kościołów kadzidła niebu i Bogom. Rosa jeszcze mży i pada; to dzionek w poczęciu zaraz płacze nad zbrodniami nocy; — wiatry burzą znużone, śpią na błękitnem łożu jeziora — a hajstry za obłowem się gonią. —

Na zamku gwar się obudził — służba się krząta i zwija. Robią przybory na dzisiejsze gony, a robią żwawo i śpieszno — bo to myśliwemu nie trza zaspać jutrzni, psy najlepszy wiatr mają po rosie.

Łowczy sieci składa do szyku — a jeno takie, co się na czarny zwierz biorą; na bok odrzuca pomyłki, stręty i poły dwoiste, a same tylko objętki przyrządza. —

Stajenni cudzą zgrzebłami rumaki, a książęcego cisaka zmywają wodą jeziorną i przecierają wiechciami; snać, że go puszczą w zawody, — z niego zaś ciekun

nielada, sudanny, przecwałny — nie na pochwiłek chowan! Kładą nań czołdar kosmaty i przyciągają poponą; — potem bardelę lekką i miękką przypaszą — z trzciny plecioną i słomy — okrytą w burzę srebrzystą. — To najwcześniejsza kulbaka do lekkiej jazdy — równie koniowi, jak jeźdźcom przydatna. — Przecież cisak niechętny dzisiaj, że ją nań kładą tak rano; zżyma się, ziemię kopytem bije — łeb w górę zadziera i wyżywa czamką stalową — wolałby pewnie przeżywać owies złotawy i kwietną trawę przy żłobie.

Pachołcy wyprowadzają pod juki konie podwodne — parepcie krwie pośledniejszej; — wnet sieci i łowcze przybory wtroczono. —

Psiarnię sforują, drążkują i smyczą; a są tam psy wielkiego pomiotu; są pokurcze i czyste brzechuny, są i mieszane złajniki — ogary, charty i kondle; — lecz nie masz między niemi, ani jednego bydlarza, cygana, albo brzechajły; — wszystko to same mistrze chwatne i głaźne! Dziś głodne, jak zwykle przed gonem, aby tem częściej ujadały, skowyczą i zdzierają się z kółek.

Wszystko gotowe; wytrąbiono z rogów hasło do pochodu. Książę Sokół wybiegł na dziedziniec, a za nim reszta drużyny. — To sam chłop doborowy, jakby pod sznur jeden w drugiego; wszyscy przybrani zbrojno, choć lekko; widać, że nie na ciężką potrzebę jadą. — I Sokół nie zmienił odzienia; — taż sama burka niedźwiedzia, co wczoraj — sajdak tak samy. — Tylko oszczep inny ma w ręku, krwią zapisany; — tylko na łuk nową zaciągnął cięciwę. —

Zwyczajem starych myśliwych trza wypróbować, czy pewna. —

Sokół z kaleny wziął strzałę, i na łączyszcze nałożył— potem wokoło okiem potoczy, szukając celu pod rękę.—

Górą — wysoko — aż gdzieś na niebie, wisiała plam-

ka maluchna — sina; — zwolna nieznacznie krążyła wieńcem obłącznym. —

Książę tam spojrzał — poszatrzył chwilę; — to bocian skrzydłem na wiatrach leży — ani poruszy, ani zatrzepie; — trzaby go przybić do chmury! Spuścił łuk nadół — rozprężył szerokie bary — naciągnął, aż mu bielma krwią zaszły; — potem go podniósł do oka — zmierzył i puścił; świsło powietrze i warczy; jękło łączyszcze — cięciwa brzękła i długą chwilę drży niema.— Strzały nie dojrzeć; za okiem poszła ku niebu; — przepadła w stropie błękitu. — Czy ominęła kres lotny?...

Coś zaszumiało w powietrzu — spojrzą; ot bocian spadł na dziedziniec pod nogi strzelca, — zastrzał mu przeszył naroki. —

Zdumią się wszyscy — a Sokół rzecze z przechwałką: „Ha co! myśliwce, łuczniki, jakoś to z łanią dziś będzie! A teraz na koń — psiarnia przodem w las; od Przywłok jeziora gon się poczyna. — Górą wiara!“

Rzekł i już dosiadł cisaka i naprzód chce go wysadzić, ale koń przysiadł na zadzie — chlusnął szczupaka na lewo i zarżał. — Nie miał on tego dawniej w zwyczaju, próżny narowów, kwoli się jeźdźca miarkował. — Zdziwił się Sokół, między golenie go ścisnął, — aju — hej! cmoknął, popuścił wodze i szusnął. — Koń wtórnie dęba postawił — bił celeniami powietrze — rzucał się w prawo i lewo!

Sokół choć z lejcem rozumie, jako i kiedy go podać,— próżno mu wędzidła przybiera; — nie da się przemódz jeźdźcowi — jak żywo nie chce za most wyskoczyć!

W dziedzińcu stroi korwety, jak w tańcu, zżyma się, chrapa!

„Ha! czuryłowcze wierutny! parepciu!“ krzyknie ksiądz Sokół sierdziście, i tak mu dojmie bodźcami, że

ptakiem sunął w powietrze i jednym skokiem rechot przesadził. —

Zadudni ziemia, a koń inochodem kopnie się prosto do lasu; ogon konopiaty na wiatr rozpuścił, grzywę nastrzępił i kipi. — Przecież mu z miejsca niesporo — niegładko stąpa — potknął się nawet raz, drugi; na czystem polu, na równej drodze się potknął. — Zła wróżba!

Sokół mu przybrał wędzidła i zawrócił nazad do zamku; — nie przeto, aby wstrzymany wieszczą poznaką, chciał dzisiejszych łowów zaniechać. Gdzie tam! — On tylko myśli na resztę drużyny poczekać, która przy moście dotychczas stoi i patrzy na wały. —

Tam wielki, czarny pies — na tylnych łapach przysiadłszy, wyciągnął paszczę do góry i wyje przeciągle, żałośnie!...

To książęcy pies — Capaj!

Zawdy skory na łowy, był przodownikiem myśliwskiej drużyny; — przed koniem pana zwijał się wkoło i skakał, — naprzód się puszczał, jak strzała, i znów wróciwszy do konia skomlał radośnie. — A cóż się stało, że dzisiaj sam na wałach pozostał?...

Książę co miał pary zagwizdnął w palec po dwakroć; — pierwszy raz w życiu pies nie usłyszał świśnięcia. — Dopiero kiedy w róg turzy uderzył — poskoczył kondel za wały — stanął — a potem ogon pod się zwinąwszy, zwolna poszedł za koniem, tuż przy nodze — smutno! I cisak zwiesił łeb butny ku ziemi i wcale nieczestnie się dzierży. —

Na wszystkich licach widać zdumienie. — Wjechali w las. Tam szumią drzewa i liście szeleszczą, rzekłbyś, że lecą rozpierzchłe żurawie. — Z wierzchołka jodeł i z wypróchniałej osiki wrzeszczy straszne dziwo — a czarne ptactwo krzyk czyni swarliwy; — orły szczekają — kłapają sępy. —

A drużyna jedzie milcząca; ani zarżą konie, ani psy zaskowyczą — ani się łowcy rozśmieją, ani im echo w głośnym rozhoworze powtóruje.

Zła wróżba!

Władybój stary, Żupan od kraju morskiego, zatrzymał swoją rydzą świerzopę i ozwał się w te słowa:

„Sokole księciu! trudno jest kromia wody płynąć; — a jak Gopło jarzmi i wełni niechamowne prądy, tak i nam ciecze wola Bogów niewstrzymana; a trudno ją przed czasem zmyśleć w myśli, abo zdumać w dumie, — abo oczyma zglądnąć; — wszakoż niewcześnie jest powsze jutra zatykać uszy i oczy zamykać na wieszcze poznaki. — Ja tobie mówię, że nam nie po myśli wszczynają się łowy dzisiejsze, — zaniechajmy ich pierwej, nim się ciężkie żale powleką za niemi, a wedle zwyczaju ojców wróćmy na zamek.

„„Co mi Władyboju!““ wręcz mu Sokół odpowiedział i machnął ręką naodlew — „„serce moje z prawdziwej stali kowane, ani się da przemódz burtami; komu ręka do broni dośpiała, ten potrafi połonić strach blady, a nie poniecha zamiaru!““

„Za rano poczynasz rad młodych udzielać, Sokole! ja starej głowy nie oddam twoim wybrykom, a poczciwego żywota nie wplątam w czarne zapasy i nie podzielę z tobą dziś łowów!“

Tak rzekł wpół-gniewny Władybój i konia na wstecz zawrócił; za nim w ślady szedł koniem Jarosław, plemiennik sławnego Wszesława. —

Obaj jechali z krocza brzegiem jeziora, — a reszta w las pognała. —

Pachołcy w prawo — od Przywłok jeziora zakładają smycze, — a wszystko ciszkiem i jak się słuszy. —

Łucznicy długim rzędem knieję przecięli — w gąszczach czyhają na zdobycz; jedni do ziemi przykuczli —

drudzy za drzewa i karcze chronią się w milczeniu. Cisza po lesie — tylko czasem zaklekoce gałąź o gałąź — tylko czasem zaszumi powietrze pod skrzydłem krzeczota, który spłoszony z cypla choiny, szyba się górą we wiatrach — a czasem doleci ucha pęchczenie psów gończych, wietrzących tropy, któremi w nocy zwierz na żerowisko chadzał.

Głucho po kniei — ucho nic nie wysłyszy — oko nie wypatrzy. — Cisza...

Aż oto naraz zaskomlał pies jeden — potem drugi i trzeci, i już cała psiarnia gra społem; wszyscy jednakiem szczekaniem — choć różnemi głosy; — snać wpadła na świeże ślady; a cięto szczeka, ucina krótko — snać goni na oko, kłem doskwieruje z blizka. — Zamąciło się powietrze!

Sokół przemknął w gęstwinie — skoczył z cisaka — ucho do ziemi przykłada. — Zerwał się — odrzucił kędziory z czoła, pochwycił oszczep oburącz i za pniem dębu przyklęknął. — Słucha... a tu cała knieja brzmi jednem echem skomlenia: tatuff, tatuff, tau, tau — świadome ucho pozna, jaki zwierz w matni — oj! zwierz to czarny!

Czasem się ozwie ryk głuchy, lub drzewołomy klekocą — coraz donośniej i bliżej. — To włochacz! Psiarnia tuż za nim — książęcy brzechun na przedzie. — Zwierz rozjadły telepakiem rznie naprzód — a czasem się zwróci — strzeli na złajnie, w tył je odsadzi i znowu naprzód — to i psi naprzód — znowu mu zębów dodają, a on zamiata i wichrzy, — aż wypadł z ostępu. —

Sokół poskoczył z za pniaka — nogę wrył w ziemię przed siebie — oszczep uścisnął ledwie co żyły nie pękną -- haż go ha! — krzyknął. — Capaj dotarł na skórę — zwierz postawił drabinę, rzucił się naprzód — rozszerzył jare ramiona — jeno, co go miał uścisnąć — ale

go Sokół grotem osądził, aż po oszczepisko, podrzucił w górę — zwalił na ziemię i nogą na kark przydławił!

Potem róg turzy do warg przyłożył, zadął weń pełną piersią i długim dźwiękiem otrębuje knieję.

Zbiera się myśliwska czereda — psy zaraz od ręki sforują — sam tylko Capaj luźno puszczony, jak zawsze — przecież wcale inaczej, jak indziej sprawuje się dzisiaj. — Dawniej byłby się wspiął na piersi pana i polizał mu ręce — a potem łapy na powalonym niedźwiedziu położył i lizał juchę, i pilnował obierzy. Dzisiaj kudły włochate powąchawszy, odszedł nabok — przysiadł — wlepił oczy w niedźwiedzia i warczał. —

Inaczej Sokół — śmiej się w głos — rozhoworzy wesół: „Jak wam się widzi, myśliwce?... jakmiarz co mnie miał popieścić, czestniem ugodził i celnie — pod lewą łapę! Ninacz się przygodzi burnictwo Władyka! Dałem sobie radę z niedźwiedziem, nierzkąc z łanią! — Nuż pachołcy wytchnąć koniom, zagwiznąć u źródła i podać garść trawy, — a zasie drzewiej opasieczyć knieję — byle ciszkiem i milczkiem, i szczelnie, aby nas z nieobaczka zwierz jaki nie rzucił przez nogę. — Tam w jarugach wilk luty przylega dniami, a powyżej mają łanie stanowiszcze swoje. — Wiere nam żadna nie ujdzie!

„„Ha! to wygracie zakład wczorajszy“ “ — rzekł któsik z ubocza.

Sokół chciał na to coś odpowiedzieć, kiedy za nim zachwarszczały chrósty — zaskomlał Capaj i między nogi pana się wcisnął, a reszta psiarni potargawszy sfory w las się rozpierzchła, wrzaskliwie wyjąc. —

Poskoczyli myśliwce i krzykli zdumieni! — Włochacz przeszyty końcerzem — porwał się z ziemi i w knieję uchodził, prosto ku wybrzeżom jeziora.

„Haż go ha! Capaj!“ zawołał książę na kondla —

„haź go ha!... na koń łuczniki — od ostrowia put przeciąć!“

Daremnie wołał. — Pies nie usłuchał rozkazu — cisak się zżymał i nie dał dosieść — a niedźwiedź przepadł w gęstwinie razem z oszczepem.

Nocnica się zbudziła w spróchniałce i zahukało śmiechem. Wiatr zadął wierzchołkiem lasu. — Gopło zaszumiało falą i grozą kipi zmącone; aż ciarki przeszły patrzących — lecz książę na to nie zważa; dosiadł nareszcie cisaka — zgwizną Capaja, trop mu wskazuje niedźwiedzi; — ale go próżno wnętą zaprawia — próżno na pąda zawodzi — pies nie chce słuchać przynuki, skomli i na zad konia się chroni.

Sokół się sroży i sroma! Wydobył z tuła strzałę pierzastą i gniewnie na psa łuk złożył, i wnet się znowu powściągnie i wnet znów zgrzytnie zębami; — ni przecz ni zacz wiłuje koniem po łozach. —

„Przetrzebić knieję — w zaroślach bacznie szlakować — daleko nie mógł ztąd ubiedz!“

Pachołcy kręcą głowami — lecz tropią pilnie i bacznie. — Minęła chwila niemała; psy się schlastały i ludzie; — konie zaszłapiły wybrzeże, jak gdyby przez noc całą spasał je tysiączny skot bawołów. — Przepatrzono i przemacano las cały... ni widu, ni słychu!... Niedźwiedź przepadł, jak w ziemię.

Szeptali tam sobie niektórzy, coś o topielcach i wiedźmach i spoglądali raz po raz na czarne jezioro; — coś też i o pieśni Bojana pomrukiwali wrzkomo. — Lecz Sokół tego nie słyszał — czy słyszeć nie miał woli, a dłużej dzierżyć się nie mógł i turzym głosem zawołał: „Gdzieś w głębsze poszedł komysze; trza nowy gon założyć; — wądołami psy puszczać — górą osadzić łuczniki, a ktoby zwierza przeoczył, albo z obławy wypu-

ścił — czyby to żupan, czy otrok prosty; — ten mi wyskoczy psiego krom miru!“

Tak się niewcześnie odgrażał; — ale że znano go z dawna, jak szaławiłę — wichrowca, nikt mu się przeto wpoprzek nie stawił. —

Pchnięto się ryścią w jarugi. — Chłapoce ziemia rozkisła — zwolna niemieje wrzask swarny; jeszcze w oddali brzęczy pół-głosem, niby rój pszczółek roboczych, a coraz ciszej. — Wreszcie i tego nie słychać; głucho w powietrzu, tylko wiatr szumi po jodłach — tylko liść chwarszczy po ziemi. — Długie milczenie. Snać psy zziajane od ranka, bez wczasu swego i karmiu, nie ochoczo szukają i nie chwatno ganiają za wiatrem... Ależ słuchaj... ot zagrał pies jeden, drugi i trzeci — a wcale innem szczekaniem, jak na pierwszym gonie; — jeżeliś czestny myśliwiec, to wiesz, co bieży przed psami.

Miły to dźwięk dla ucha Sokołowego — łania na tropie. —

Poszatrzy chwilę — popatrzy zkąd wiatr zawiewa, — potem się kopnie w lewo ku gołoborzu. — Szczwany to łowiec — nigdy się z zwierzem nie minie, kiedy mu przetnie manowce. —

Majakiem okrąża łozy — młyńcem jarugi objeżdża, aż wpadł na przesmyk i stanął.

Chalają pieski, brzechocą — echo na pokrzyk im wtórzy — stugębiem odbija pomian łowiecki. — Słucha go Sokół... a szuwary chrzęszczą, coraz to głośniej, — coraz wyraźniej szołomią szukłaki. — Dobra poznaka, zwierz niedaleki!

Sokół skoro sięgnął do tuła — wydobył zastrzał pierzasty—czyście birkucki—a nie wereszkę, nie brzechwę, której leniwo do celu; — ściągnął z ramienia łuk obłączysty — jął go w majdanie lewicą, potrząsnął...

Już się też łania wysforowała z obydla, a złaja gończych w też tropy, książęcy brzechun posobkiem.

Sokół zachwycił powietrza, oddech zatrzymał—opuścił na dół łączyszcze — naciągnął — podjął — złożył się — puścił... Świsło powietrze i sykło. — Drgała łania, zabechtała... ale suwa dalej i postrzał zagrzęzły w połciu unosi.

Nuż w pogoń za nią — bo stradać grubego zwierza, to nie pół-rzeczy,—a zakład przegrać, to wstyd i szkoda.

Książę rozsadził cisaka na wszystkie cztery kopyta, aż ziemia jęczy — uderzył w trąbkę pomian zdobyczy — tasak wyciągnął z podpasa—błyskał brzeszczotem w powietrzu i pędził na zabój. — Już też prześcignął psy wszystkie — ledwie mu Capaj wydoła. Samowtór gonią za łanią — gonią łozami, strugami, po rokicinie nadbrzeżnej i po żuławach kwiecistych; — aż wpadli na ostrów Goplański.

W kniei zamęt, huk, wrzawa! Pieszki i jeźdźcy — psy i pachołcy tłumnie się roją i kręcą; — każdy podąża za hasłem, a każdemu echo z innej je strony przyniosło — krzyżują się wlewo i wprawo — mieszają, warchocą. Psy na sto tropów razem wpadły i w głos za wiatrem szczekają. Wszystkich się licho czepiło!

Scibor, Żupan oszajczyzny Bachorskiej, szwankował razem z rumakiem. — Dzielny to siekiel, wilczaty — ale pętliną o karcz założył i padł na wszystkie cztery.

Zaś przed Niemierzą szarak się pomknął — koń na bok brdysnął i jeźdźca zesadził.

Innemu znowu najlepszy kondel wpadł na ostrzęże — okulał i szuszkiem wyszedł. —

Zamieszanie w kniei wielkie! A kędy Sokół?... nikt nie wie; — nie słychać ani jego rogu dźwięcznego, ani odszczekiwanie Capaja.

Daremnie łowczy kilkakroć powian trąbkę uderza; —

echo mu tylko z ostępu wraca, nic więcej; — daremnie wysyła pieszych na podsłuchy, a konnych na szpiegrze; — nigdzie pogłoski, ani poszlaku nie schwytać. —

„Jak sobie począć w tej dobie?“

„„Jak począć?... niewiada — wzdyć czekać trzeba!““

Czekają. — A tu już wieczór za pasem. Dzionek wnet weźmie prędkie dokonanie; — noc rozpina zmroki na podniebiu — szarzeją lasy.

Książę już może do dom powrócił; — wszak to u niego nie trudno; wszak zawdy lubi wichrzyć — wiłować. Trzaby języka zasięgnąć — nuż więc pacholę wsadzić na chestra i pchnąć po zwiady do zamku. —

Rusza pacholę — jak skrzacik miga we zmroku; a chociaż żwawo pomyka — to długa chwila przejdzie, nim wróci — do zamku sporo, — noc ciemna.

Jeźdźce tym czasem zasiedli, konie puszczono na trawę. — Jedni przylegli do burek — złożyli tuły i łuki— drudzy na giermakach pilśnianych wyciągnęli się pokotem — a inni wsparci na maczugach palcatych i okszach, stali, jak dęby omszone.

Rozhowor cichy chodził po rosie, każdy poszeptnie marudzi — rumaki dzwonią czamkami — psy ziają. —

A coraz chłodniej się robi. Wiatr siewierny zawiewa twardo. — Czort wie zkąd tam wywłoczy chmurzyska na niebo. Będzie ulewa — może grad spadnie.

Zimno wciurnaskie namolnie doskwiera—dżdże przechodzi mrówiem po cielsku. — Trzaby się ogrzać. — Kiedy stal przy boku, to o krzymień nie trudno w polu. — Wnet skrzesano ogień w karwasze — rzucono w chrusty i rozniecono zadmuchem. — Trzaska płomień — sypie iskrami; to buchunie słupem do góry, to się uchyli pod wiatrem i wężykiem w szuwarach płazi. Siwy dym nad nim wiłuje, — ale mu dzisiaj nie sporo ku

chmurom — więc opada i tłucze się po ziemie; — będzie plusk jutro. —

„Gdzie się też Sokół zagonił? iście wymrozi go drżączka“.

„„Byleby jeno nie gorzej! on tego świadom, jak kania deszczu; — ale ten jego poręcznik, i owa burta Władyka.“ “

„Zpierwu i jam ją lekce pokładał, ni starą baję kądzielną — wzdyć inak teraz się widzi.

„Wara, grzmilas!“ zawołał Scibor na kondla, który mu u nóg jął warczeć. —

„„Było nie budzić lichą ze śpiku, było nie tężyć za biesem, bo to z nim sprawa nie łatwa!“ “

„Wara, grzmilas!“ zawołał wtórnie Scibor na kondla, ale pies głosu nie słuchał i skoczył naprzód szczekając.

Między drzwiami cień się łamał i zbliżał do ognia.

„Kto tam?“

„„Swojak!“ “ odrzekł przybylec.

„Ha! to Bojan, stary gęślarz. Pomaga Bóg gęślarzu. — Witajcie zdrowo — a odkądże tą dobą?...“

„„Od pasiecznika z majdan ślesińskich.“ “

„Siądźcie no z nami i podzielcie spólne ognisko“.

Bojan usiadł na bierzwie dębowej i gęśl trójstronną między kolana postawił.

„Jakież nam wieści przychodzą z wami, gęślarzu — trudne, czy czestne?“

„„Nieczestne, wielce nieczestne dla kmiecia, wam lepak wielce przydatne, wojacy. — Zwierz luty ruszył się pono z łożyska i chce pochłeptać krwie naszej!“ “

„Co za zwierz? drzewiej gadajcie“.

„„Na zachód kruk ciągnie z chmurami — tam wietrzy śmierć i ścierwo; jutrzejszym plonem dziś się już pasię.“ “

Skoczył Niemierza na nogi: „A więc Niemiec dźwiga

łeb smoczy? Niemiec się bójczym zapasom nadstawia! A któż spachaczem wszedł z Cydyńskiej równiny?...[1]) Ledwie nóg setnię wywlekł z porażki — a już się kusi o odwet!“

„„Wrychle się zamógł po klęsce, oj wrychle! Czedoborowa[2]) szablica jeszcze nie oschła z posoki, a już ją przyjdzie zatoczyć.“ “

„Przyjdzie zatoczyć i moją. — Szcześć wiara. Polabskiej[3]) brzegi krwi się napiją — niechno nam wojną wrzasną po taborze!“

„Ale pobaczcie, Władyki — przerwał rozważnie Bojan oszedziały; — jak psy zaskomlą — to się wilcy zbudzą. — Niemców psie plemię zacięte — lecz gorsze wilków pomorskich — będzie się mściło krzywd swoich, — podławi trzody i stada — popali sioła i grody. — Wzdyć i Braniborz w ich ziemi, ten gród przodkowy ze wszystkich, ze stu zamkami i więcej — z pozłocistemi szczytami — wzdyć jeszcze dzisiaj się kurzy głównią przez naszych rzuconą“.

„„O Braniborzu mówicie — toć i mój Rodzic był w tej potrzebie, rzekł Wszesław, jeden z łuczników — nieraz mi o tem powiadał, więc wszystko pomnę do ździebła. — Oj! tak, to prawda! Twardo im w sprawie leżeli Wilkowie; sto dób i cztery już obsaczali Braniborz; sto dób i cztery krzesali ogień szablami o skalne mury grodziska — kamień się prażył pod stalą, aż setnej doby i piątej żywym rozgorzał płomieniem, — tak nasi weszli do miasta!“ “

„Tak i my wejdziem raz wtóry, kiedy nas z gniazda poruszą, odparł z ubocza szpak wrony i ćwik w bojowem rzemiośle, — jać nie od dzisiaj — nie maisz; — nie

---

[1]) Patrz 6 przyp. R. B.
[2]) Patrz 6 przyp. R. B.
[3]) Patrz 7 przyp R. B.

w jednejm zbroi się chował — nie w jednym szatrze sypiałem — sytem wojaczki; — radniej mi pola pilnować, a pługa. — Ale niechajno zawarcholą drudzy — to i ja stanę w potrzebie — damy im radę dołężną, — oj damy! Zesworujemy psy szczwane, wilków podławim!“

„„I zagorujem nad niemi!“ “ zawołał inny sierdziście.“ “

„Niewiada jeszcze, niewiada!“ przerwał mu gęślarz — „bo słychać pono i o tem, że na Ranowskim[1]) ostrowiu, wielką Stanicę Arkońską już wystawiono na widok — wiatr ją rozwinął od morza i pewnie ku nam zawiewa; — świszczy złowieszczą nowinę i po ziemicach rozmiata, a lud się tłumnie gromadzi i zbrojno — wielką wyprawę gotując.“ —

„„Wielką zabawę powiedźcie; wzdyć nam już tąga za wojną, — knieje się trzebią i rzedzą; czarnego zwierza nie staje — toć zapolujem na Niemce!“ “

„Oj! iście, iście wojacy! Wam to w smak idzic, rzekł Bojan, głową wstrząsając. — Przecież na jednej łące wół trawy patrzy, a Bocian żaby; a cóż to kmieciom wojna przyniesie?... Pola kopytem koń zorze — kośćmi zasieje — krwią spłócze i zaplonuje niedola! — Was-cić to na barzego wsadzi; dla was to wczesne pogłoski, a najwcześniejsze dla księcia!“ “

Wszyscy zajęci wieśćmi gęślarza, zabaczyli chwilę o księciu, — nuż spojrzą na się kolejno — i oczywisty niepokój wybił się wszystkim na lica.

„Tego, ni tego nie widać!“

„„Co się to znaczy, Władyki?“ “ zapytał Bojan zdziwiony, który we zmroku nie dostrzegł, że brak Sokoła przy ogniu.

„Słuchaj Bojanie — tak i tak było“ — odrzekł ktoś żwawo i jął rzecz całą powiadać. —

---

[1]) Patrz 9 przyp. R. B

„ „Jedźcie do zamku, Władyki — przerwał mu gęślarz powstając — jedźcie do zamku — darmo tu czekać na księcia, — on nie tak prędko powróci!“ “

„Przeraczby nie mał powrócić?“

„ „Jużci dostojno i jak się słuszy — Lasota w kniei go zbłąkał.

Coś zadudniło w pobliżu — ucichnął Bojan. — Zapewne Sokół cwałuje?... Nie to pacholę spachaczem z zamku przypadło. Sokoła nie masz — nikomu wrotny mostu nie zwodził.

„Uczyńcie wiarę mym słowom — książę majaczy po lesie!“

„ „My ci wiarujem gęślarzu; — ale nam wszelak opowiedz te dawne klechdy i stare o Dobrohoczym Lasocie.“ “

„Zgoda!“ rzekł Bojan, co się już brał do odejścia i usiadł znowu na bierzwie. — Przyrzucono chróstu do ognia — przy którym w koło obłączne zasiedli przodem łucznicy — za nimi służba, pachołcy i psiarnia. Scibor się w burkę zawinął i wsparł plecami o drzewo. Pies jego grzmilas położył łeb na kolanach gęślarza — i patrzał mu w oczy tak baczno, jakby z innemi słuchał powieści, którą Bojan począł w te słowa:

## PIEŚŃ BOJANA.

Cześć rodzicielom pomarłym! — My plemiennicy ich [rodów,
jako karuty bezlistne, abo szawiny niepłodne
po mogilnikach rozsiani, zawieruchami mieceni —
gradem sieczeni karania,—wróćmy pamięcią w ich czasy;
błogie to czasy i szczesne!...

Z ula Słowieńskiej pasieki, rój się był młody wyroił,

chciał się posobkiem zawiązać, w swojskiej się barci
[osadzić,
bo miał dwie skrzydeł do pracy — a ku obronie miał
[żądła!
Długo więc szukał pasieki najprzydatniejszej ze wszyst-
[kich. —
świata niemało przeleciał!

Tam był gdzie ziemia pod niebem gładką równiną się
[płazi,
tam, gdzie ziemia zgłodniała górą do nieba ucieka,
chleba żebrząc u słońca dla kamienistej opoki;
tam gdzie ziemia spragniona — w wody bezkresne się
[nurząc,
wód tych wypić nie może, ani ugasić pragnienia;
tam był i wszędzie — a nigdzie stałą nie opadł siedzibą.—

Aż dnia pewnego pod wieczór — wieczór wiosenny,
[któremu
ranek niejeden zimowy światła i blasku zazdrości;
aż więc takiego wieczora rój on od dawna wędrowny,
skrzydłem pątniczem przybieżał na uroczyszcze cudowne!
Był to krainiec polisty, a w tym kraińcu jezioro
lekką posmyczą złocone, prądzi się rybą rozliczną; —
po nad jeziorem brzegami kwiecą się smugi i łamy,
stadem bugajów i leśną dzikich trzód rzeszą spasane. —

„Tu oszajczyzną siądziemy, gniazdo rodowe zało-
[żem!"
rzekła starszyna do dziatwy; — dziatwa na prawo i lewo
z brzękiem i gwarem się sypła; — jedni więc na las
[wysoki,
drudzy pomiędzy rokitna — trzeci bieżeli na pola. —
Skrzypły telegi i maże, — oksze na sosnach i jodłach
od gwiazd porannej jutrzenki, aże do nocy jęczały. —

A po niedługim tak czasie — z gładkiej, polistej wstał
[ziemi
gród przed wszystkiemi najpierwszy, co mu dziś Gniezno
[dziejemy!
W koło zaś grodu na obłącz — liczne się zbiegły ple-
[miona;
ludzie do ziemi rędzinnej ręce robocze przyćpili,
i podnosili z niej miasta — wyprowadzali plon bujny! —

Gospodarzenie tam swojskie w swojskiem domostwie
[mieszkało;
pola się kłosiem złociły — po uroczyszczach kwiat
[płonął,
smugiem się pasał skot dojny — lasy się zwierzem roiły
i pasiekami gęstemi — lipa patokiem płużyła!

I był dobytek wszelaki, — póki nam z obcej ........
nie zazierano w zanadrza — póki był we czci i wierze
święty, przesławny obyczaj pradziadowskiego zakonu!

Gdzież lepak dziś się zadziały owe wietnice i kony,
kędy buhaje święcone, stada zborowe starszyny —
kędy i roki żupańskie?

Ongi się gniazdo rodowe całe zbierało, plemiennie,
rataj, kmieć, żupan i władyk spólnie na ławach siadali,
jako się słyszy od wieka — głosy zbierali na karby,
miecz zaś, co gonił za krzywdą, pieczy starostów wie-
[rzyli; —
ani wiadali, co swary, ani wiadali, co waśnie! —

Wzdyć to dziś wszystko, słuchacze, poszło na śmiecie
[i wiatry!
Rataj od ziemi rędzinnej rękę roboczą odejmał, —
jął się szabliska i korda — krwawe rzemiosło rozpoczął.
Jednej rodziny plemiennik, na plemienniki bił swoje;

zasie z postronnej dziedziny gad się w dom cisnął zwa-
[śniony; —
nuż w rodowego pień drzewa szczep się odrodny za-
[szczepił,
w liczne wystrzelił odnogi. —

Gorze wzdyć drzewu, słuchacze, kiedy swym drze-
[niem ma żywić
obce, nie swoje gałęzie,
gdy wieloraki ma owoc jednym korzeniem wyradzać;
gorze, o gorze owocom!

Inak to było słuchacze, póki nam z obcej ...........
nie zazierano w zanadrza — póki był we czci i wierze
święty, przesławny obyczaj pradziadowskiego zakonu!

Nasi Bogowie! — o święć się czasie minionej wiel-
[kości! —
Wieldzy, potężni — dziś lepak ledwie że w pieśni lub
[burcie
chwilę wspomnieniem odżyje szczęsny świat, którym
[władnęli —
którym władnęli, jak ojce — pieczołujące nad dziećmi!
Spólnie też z ludem mieszkali, spólnie na ziemi ojczystej;
w gajach i kniejach i górach — w źródłach, strumieniach
[i rzekach,
między zbożami na polach, między trzodami po smu-
[gach, [1])
wszedy nad człekiem czuwali — aby mu zkąd zła przy-
[goda
w dom lub dobytek nie weszła;—człowiek zaś z człekiem
[tę ziemię
dzierżył w pokoju i zgodzie!

---

[1]) Patrz 11 przzp. R. B.

Odkąd jednakże on piękny — tylu potężnych świat [Bogów
k'woli jednemu na wieczne musiał iść od nas wygnanie,
biada nam, biada słuchacze!
Tylu ich jeden zwyciężył — jeden nas wszystkich zwy- [cięży!
I wnet ta ziemia przestanie spólną być naszą macierzą—
jedna ją ręka owładnie, — ten zaś co panem jej będzie,
jako ten Bóg dziś nie z nami, ale na niebie wysoko,
tak i on wyżej od ludu na swej stolicy zasiędzie —
biada słowiańskiej wolności!

Lepiej, o lepiej nam było, póki nam z obcej .........
nie zazierano w zanadrza — póki był we czci i wierze
święty — przesławny obyczaj pradziadowskiego zakonu!

Cześć Rodzicielom pomarłym! my plemiennicy ich [rodów,
jako karuty bezlistne, abo szawiny niepłodne,
po mogilnikach rozsiani, — zawieruchami mieceni,
gradem karania sieczeni; wróćmy pamięcią w ich czasy—
błogie to czasy i szczęsne! —

---

Tu Bojan umilkł na chwilę — a kiedy wszyscy słuchają — on bierze gęśl na kolana i, uderzając z rzadka po stronach, tak dalej śpiewa:

*
* *

„A teraz przejdźmy we wdzięczniejsze pianie, kiedy wdzięczniejsza pieśń nas k'sobie wzywa.

---

„Tu na Goplańskiem ostrowiu był majdan,
A kurna chata była na Majdanie;
W tej chacie macierz, ni gołąbka siwa,

Przy niej młodyca krasna, ni jagoda,
Abo też Gopło, gdy w niebie pogoda;
Abo też tęcza, gdy opadną dyszcze,
Abo jak samo Radżborza bożyszcze.[1])
Dwa oczy u niej, jak rosy dwie krople —
Abo dwie gwiazdy utopione w Gople;
A nad oczami dwa jaskółcze skrzydła,
Tak rozstawione ponętnie, jak sidła
Na krasnopiórze dzięcioły i szpaki,
Na cne władyki, kmiecie i wojaki. —

„W kureniu u nich zasobno i zdarno,
Wszędy chędogo — wszędy gospodarno.
Był tam pasiecznik roboczy i rojny,
I białe stada i liczny skot dojny,
Krasawica go ganiała co rano
Tam kędy burzan wyrasta w kolano!
Rano ganiała na kwietną dąbrowę,
A na południe zdajała w dojnice,
I nabiał w sągi zlewała zdunowe,
Tu słodkie mleko — tam kwaśną żęczycę.
Wieczorem biegła do gaju Dziewanny,
Szukać pod wrzosem opieńka, czy biela,
Czy ruty kwiatu — czy barwinku ziela,
Czy też nałapać z rosą białej manny.
A jako łania, co ją wiater niesie,
Tak, pieśni dziejąc, biegała po lesie.
Nieraz też jeleń znęcony urodą,
Porzucił wądoł i jelonkę młodą
I przyszedł zbliża przyglądać się dziewie;
I nieraz słowik przeleciał nad wodą,
Po nad głęboką — i usiadł na drzewie,

---

1) Patrz 12 przyp. R. B.

I dziwował się pieszczotliwej pieśni
I samby od niej nie zaśpiewał wcześniej.
„Wzdyć nad Bogunkę drugiej krasawicy
„Nie znachodziłbyś w całej okolicy!"

---

„W onych tam czasach żyło troje braci,
Prawych Ojczyców z Rodzica i Maci,
Na oszajczyznach szerokich zasiedli;
A choć kopcami rubieszyli wzajem,
Uczciwy żywot w świętej zgodzie wiedli,
Pradziadów swoich starym obyczajem,
Najpierwszy z braci był Lasota — łowiec,
Co czarne zwierze brał na stalne groty;
A drugi Siewier, co pilnował owiec,
I pola złocił i rozpleniał skoty;
Trzeci Bolesław, co szatrów pilnował,
Myślą za dziełmi wojackiemi latał,
I sławę sobie twardym mieczem kował,
A lotną strzałą po świecie rozmiatał. [1])

---

„Na cztery wiatry wytrąbię z roga:
„„Tam u wielkiego kamienia Dadźboga [2])
„„Ponad brzegami przesławnego Gopła,
„„Święte ma roki rozpocząć Starszyna!" "
„Wieść się z kopyta w kraj słowieński kopła,
Lecz i wiatry za skrzydła przypina;
Leci przez pola — między zboża wpada,
Szepiotką — szumką coś im opowiada —
A w puszczy ryczy — a szumi po lesie;
Po górach skacze i na skały pnie się,

---

[1]) Patrz 13 przyp. R. B.
[2]) Patrz 14 przyp R. B.

U których góral próżno chleba żebrze;
I znowu schodzi na rozkoszne debrze
I echem dzwoni — a śpiący pastucha
Zrywa się zdziwion — i nadstawia ucha. —
Ona tymczasem już wpadła do sioła,
Do każdej chaty zapuka, zawoła;
Oblata grody i chrominy kmiecie,
I tych, i owych na roki i wiece
Zwołuje zewsząd; — więc kmiecie — władycy
I starostwie — z całej okolicy —
Ku brzegom Gopła zdążają gromadnie —
Niektórzy zbrojno — a wszyscy bezładnie!"

---

„Zmrok — dzień się z nocą pasuje u wschodu,
Nie wiada jeszcze, czy jutro — czy wczora —
Wzdyć wielce rano!... Brzegami jeziora
Jechał Bolesław — od skalnego grodu
Potężny żupan; — a pojeżdżał rojno
Licznym orszakiem i bitno, i zbrojno. —
Dumał o wojnie — i krwawej zabawie,
O drogich łupach i o droższej sławie.
A nuż koń pod nim zarży i uskoczy,
Jakby go tarnie w pętlinę ubodły;
Spojrzy Bolesław zdumionemi oczy:
Tam dziewka smagła, jak odziomek jodły —
Krasna, jak tęcza gdy opadną dyszcze,
Abo, jak samo Radźborza bożyszcze, —
Po rosie biega — z wiatry się ugania,
Lekka i skoczna — niby łońska łania —
A takie dźwięczne rozwodzi w głos pieśni,
Żeby sam słowik nie zaśpiewał wcześnij;
Pieśni poczyna o strasznym Olbrzymie,
O Łomilasie — co na puszczy drzymie,

Tam kędy Noteć srebrnym strugiem ciecze. —
Słucha tych pieśni Bolesław i rzecze:
„Wzdyćby mi pieśni bohaterskie piała,
W kres za mą sławą wodząc swoje głosy,
To orłem w chmury — turem na komysze,
To w gaj słowikiem, między wdzięczne wrzosy,
Na których sen się chyba i kołysze
Po krwawej pracy — wzdyćby ona piała
Jak trąbka moja, kiedy grzmi po lesie,
Abo jak szabla, kiedy z szablą trze się,
Abo jak z łuku wypuszczona strzała.
I wzdyćby kolczą z piersi odpasała,
I kord od boku — co za krzywdą goni —
I białą dłonią zmietła znój ze skroni
I złoty owies zasuła dla koni.

---

„Z pół-dniowem słońcem — kiedy była pora
Wielkiej objaty — szedł brzegiem jeziora
Siewier Bahorski — przy nim sotnie kmiece,
Na święte roki i na święte wiece.
I wraz ujrzeli w cichym majdajniku
Kurną chrominę o jednym dymniku.
W kureniu było zasobno i zdarno,
Wszędy chędogo — wszędy gospodarno;
Był tam pasiecznik roboczy i rojny
I białe stada, i liczny skot dojny —
A krasawica gładka, ni jagoda,
Albo też Gopło, gdy w niebie pogoda,
W opłotki zgania to wełniste owce,
To żyzne dojki i płonne jałowce;
To świeży nabiał rozlewa w dojnice,
Tam słodkie mleko — tu kwaśną żęczyce.
Rzecze więc Siewier: „wzdyćby w moim domu
Gospodarować mogła kromia sromu,

Dniami oglądać mleko — dajne skoty,
Opasać juńce i młode łońszczaki;
A wieczorami oprządać len złoty,
Abo dziać szaty — abo szyć giermaki.
„Już biały dzionek poszedł spać za lasem,
A wieczór wstawał — noc wrzkomo za pasem,
Kruki krakają i powietrznym ściegiem
We mgłach wieczornych ciągną za noclegiem.
Lasota z roków ponury i dziki
Wraca do kniei — przy nim dwa złajniki
I brzechun czarny, nieodstępny sługa,
I łuk obłączny, i straszna maczuga.
A krasawica, co ma jasne oczy
Jako dwie gwiazdy utopione w Gople,
Abo ja krosy porannej dwie krople,
Szuka po lesie opieńka, czy biela,
Czy ruty kwiatu — czy Dziewanny ziela.
A jako łania, co ją wiater niesie,
Tak sobie buja po wrzosowym lesie.
Jeleń z komysza znęcony urodą,
Porzucił wądoł i jelonkę młodą,
I przyszedł zbliża przyglądać się dziewie;
A słowik usiadł na sąsiedniem drzewie
I słuchał pieśni; — a obaj złajnicy
Pobiegli lizać ręce krasawicy.
I rzekł Lasota: „zna łowcze przynuki,
Wnęty myśliwskie — czarodziejskie sztuki,
Wzdyćby mi w kniei przynęcała zwierzy
I nauczała uroczych obierzy!“

---

Zorze wstawały, a padały rosy;
Ziemia ku niebu woniejące włosy
Wdzięczne rozwiła. — Na ostrowskiem drzewie
Grzegrzułka śpiącej zakukała dziewie:

Krasna krasawko wstań, wstań raniusieńko,
Liczko u źródła umyj bielusieńko,
Umieć świealicę — a dzianie na pole
Rozściel — a zastaw chleb i sól na stole,
Bo jadą goście — goście zawołani:
Wieldzy Władycy i wieldzy żupani.

---

„Jutrzennym rankiem — chmurzystemi póry,
Przyleciał orzeł od skalistej góry
I srebrnem skrzydłem zaszumiał przed chatą:
Od Bolesława jadą ku wam swaty,
A wiozą z sobą objatę bogatą;
Plony zamorskie — Dalmackie kabaty
Parciane dzianie i złotogłów lity,
I stalne miecze i srebrzyste szczyty.

---

I wtórnie jutro z południowem słońcem,
Leci jaskółka od Bachorzy gońcem,
I drobnem skrzydłem w wyględy łapoce;
I drobnym dzióbkiem taką wieść szczebiocze:
Krasna krasawko, jadą do was swaty,
A żenią z sobą bogate objaty;
Żenią Bogaje i wełniste owce,
I żyzne dójki i płonne jałowce,
I niosą siła płomiennego chleba,
Co nam go wszystkim potrzeba.

---

„I znowu jutro — wieczornego czasu
Przyleciał Sokół od ciemnego lasu,
I krzywym dziobem przyniósł wieść od chaty:
Lasota ku wyprawuje swaty:
Łowcze rarogi i gończe złajniki,
Iście na łosie, niedźwiedzie i dziki!“

Tu Bojan umilkł na chwilę — „ kiedy wszyscy słuchają — on uderzając zrzadka po strunach, tak dalej śpiewa:

„Smutnie wrzos szumi, kiedy mu zielona.
Z butnego czoła opada korona;
Smutna kalina, gdy rumiane lica
Szron jej pobieli — zetnie miecielica;
Ale od wrzosu — od zwiędłej kaliny
Smutniejsze liczko płaczącej dziewczyny.
„Obfitym prądem wody Noci cieką,
Ale obfitszą i prądniejszą rzeką
Płyną łzy smutne — płyną smutne żale:
„ „Czemuż się — czemu słoneczkiem nie spalę,
„ „Abo czemu się nie rozpłynę łezką,
„ „„Abo nie stanę gwiazdeczką niebieską,
„ „Co świeci w nocy, a nad rankiem blednie!
„ „Złotem słoneczkiem grzałabym ich we dnie,
„ „W nocy by gwiazdą niebieską świeciła,
„ „A rano łezką niebieską poiła,
„ „Czemuż się, czemu wiatrem nie rozwieję,
„ „Abo ruczajem w gaju nie rozleję?
„ „Krew bym i rany zmyła białą wodą,
„ „Wiatrem otarła! — Czemuż się nie stanę,
„ „Tym, co się burzą — i co się pogodą
„ „Ubiera w niebie; — co pola i drzewa
„ „W liście i kwiaty, i w plony odziewa;
„ „Przecz się nie stanę? bym w listki i kwicia
„ „Mogła rozwinąć zwiędły kwiatek życia!" " [1])
„Takie Bogunka twarde żale szerzy,
A kruk się w górze chyba i raduje,
Bo obierz widzi i zgniłą śmierć czuje;
I sęp we wiatrach siwe skrzydła pierzy
I dziób na chmurach toczy do wieczerzy.

---

[1]) Patrz 19 przyp. R. B.

„Na czystem polu leżały trzy chłopy,
Jeden przy drugim — jakoby trzy snopy
Na płonnem ścierniu zabaczone w żniwa.
Wiatr je wymłaca — a płócze ulewa,
A ptacy dziobią — i grad po nich siecze,
I szron je mrozi i słońce je piecze.
„A czy to zasie taki sen ich mroczy,
Że aż nie słyszą, jak kruki i wrony
Kraczą im w uszy — zaglądają w oczy,
I na orężach zaostrzają szpony?...

---

„Oj! iście, iście! — sen to chłopów morzy,
Sen życiodajny — ale z niego zasie
Nikt im zapadłych oczu nie otworzy,
Chyba ptak czarny — co się śmiercią pasie!“

„Kto są ci męże?... Trzej bracia Władycy,
Co panowali Goplańskiej ziemicy —
Pierwszy Lasota — co drugim przodkował
W leciech i zwierza brał na stalne groty —
A drugi Siewier — co pola pilnował,
I stawiał brogi i rozleniał skoty —
Trzeci Bolesław, co myślami latał
Za dziełmi; — sławę twardym mieczem kował,
A po ziemicach strzałami rozmiatał.

---

„A jak pomarli?... Wzdyć wedle osnowy
Czynów i zdarzeń — trudno głosem śpiewać;
Bo nawet w pieśni — Bojańskiemi słowy
Twardo jest bracia — bratnią krew przelewać!

---

„Kiedy łupiezca — znieobaczka, zdradnie
Uśpione sioła w ciemną noc napadnie;
Kiedy wydziera matkom niemowlęta,
A słabe starce w ciężkie kowa pęta;

Kiedy bróg pali — burzy świetne grody,
A w plon zagania i ludzi, i trzody;
Wtedy mąż wstanie i ramię podźwignie
I śmierć rozsieje — abo karku przygnie
Do stóp swoich! — Wtedy cni słuchacze moi,
I Bojan wstanie i strony nastroi
Do dzikiej pieśni — i dzikiemi strony,
W chmury pomiecie głos swój zakrwawiony;
Strzałą poświszczy — posoką pociecze,
Ogniem wypali i mieczem wysiecze,
I dziko zagra i krwawo zaśpiewa!
Ale gdy zasie brat naprzeciw braci —
Kość jednej kości — kwiat jednego drzewa —
Syn jednej ziemi — owoc jednej maci
Stanie z orężem — wtedy cni słuchacze,
Bojan umilknie i krwawo zapłacze!

— — — — — — — — — —

Wzdyć się i ninie pieśń ma końcem schyla!

— — — — — — — — — —

Bo o Żupanach Lasocie, Siewierze
I Bolesławie — dosyć wiedzieć tyla,
Że ostrzem poszli na krwawe szampierze
Dla krasnej dziewki — i krwawe przymierze
Na bratobójcze zawiązali miecze!
„Taki ich koniec, o słuchacze cześni!
Ale nie taki koniec mojej pieśni —
Bo wzdyć krew bratnia niewrychle ociecze;
Wiatr jej nie zwieje — ani deszcz nie spierze,
Mróz nie wymrozi — słońce nie wypiecze! —
„Więc o Żupanach Lasocie, Siewierze
I Bolesławie — nową pieśń wam poczną,
I wraz za nimi nowym pójdę ściegiem —
To na smug kwietny, między juńce skoczne,
To na kowysze — to jeziornym brzegiem

Bujać krasawką — łanią skubać trawę;
Raz w młodym gaju zakwilić słowikiem —
Raz surmą zabrzmieć w bohatyrską sławę,
A raz na puszczy zabrzechtać złajnikiem!
„Straszne to czary — wzdyć wiedzieć wam trzeba,
Że bratobójcom trudno jest do nieba![1])
Trudno do nieba — do ziemi niesporo; —
Po uroczyszczach śpią we dnie; — wieczorem
Wyłażą strzygą — topielcem, upiorem;
We mgłach, we zmrokach wiłują się zmorą,
Wiłują w lasach — tumanią manowce,
To na bezdroża zawodzą wędrowce —
To na prąd wichrzą młyńcami rybaki,
To łowca wpędzą na zdradne majaki.
„Po wsze rocznice — i po długie czasy,
Trza im odprawiać mordercze zapasy!
Tak trzej Żupanie Goplańskiej dzielnicy,
Wzdy potępieńcy, i wzdy pokutnicy
Tułać się muszą, — aż krwi troja braci
Troistym mirem ktosiak nie zapłaci!
Tak po wsze jutra i tak po wsze wczora
Ujrzysz ich widno na brzegach jeziora.

---

„Lasota z kniei wyprawia straszydła;
Raz gania stają na czarnego zwierza —
Raz bierze na się i pióra, i skrzydła
I z chmur na stado gołębic uderza;
A raz się w kudły odziewa niedźwiedzie,
Majaczy łowca i zdradnie go wiedzie
Na zgubne kały; — to mu wraz przypada,
To wraz uchodzi; — to się w klon przerzuci,
To w smukłą jodłę, i wręcz odpowiada

---

[1]) **Patrz przyp. 16 R. B.**

Klonem i jodłą — i stugębnem echem
Świerki i dęby, i sosny pokłóci
I wręcz ucichnie — abo sowim śmiechem
Śmieje się z łowca na kołach i błocie,
I przypomina wieści o Lasocie.

Siewier tumani na smugach Bachorzy,
Szkody wyrządza i wyprawia psoty.
Kiedy pastuchę twarda śpiączka zmorzy,
On go porywa wrzkomo od ogniska
I w las unosi — i stada, i skoty
Na kały wgania i na trzęsawiska.
Czasem zapłody pomorkiem uroczy,
Czasem zarazę przyćpa im na oczy;
Abo się w węża zdradnego przestroi,
Wlezie pod dojki i wymiona zdoi. —
Jeżeli w polu mają zniszczyć plony,
To spuszcza próżne przymrozki i szrony,
Abo też susze — abo też gęstemi
Mgłami i dżdżami podnosi się z ziemi,
A spada deszczem ulewnym, czy gradem!
Czasem na siewy zjadłym siędzie gadem
I w koło je wytnie. —
O bracie ziemiany,
Straszny Siewiera gniew na Kujawiany!

---

„Bolesław zasie chadza zawdy zbrojny,
Z krwią na pawęży — ze śmiercią na szczycie!
Nieraz w noc ciemną długie zatli wicie, [1])
Oblata grody i uśpione sioła,
I strasznym głosem budzi je do wojny.
„„Krwi — krwi — krwi!“ “ woła!
Nieraz postrachem zadrzy kmieć spokojny —

[1]) Patrz przyp. 17 R. B.

Bo mu wieść straszną o skrwawionym chlebie
Wróżą ogniste i sierpy, i kosy,
Co krwawo błyszczą na wieczornem niebie!
Już więc nie czeka aż plony i kłosy
Dojrzeją z czasem na okropne żniwa;
Ale za palcat i okszę porywa,
Zbiera chudobę i do ziemi grzebie,
Do grodów zgania trzody i zapasy,
A sam uchodzi na puszcze i lasy!
   Bywa, że kiedy wieczorem maisze
Spędzą z łąk trzody na nocleg w komysze,
I dąb zapala, który wraz usycha,
I w koło siędą i pilnują stada
Od złego wilka i gorszego licha;
Bywa, że wtedy pątnik siwobrody
Przychadza do nich i przy ogniu siada,
I dziwne rzeczy młojcom opowiada! —
A ponętnemi i dźwięcznemi słowy
Wichrzy i mąci młodociane głowy,
Co jeszcze k'mądrej nie dośpiały radzie;
I wraz na strony wieszcze palce kładzie,
I pieśń poczyna bohatyrom k'cześci;
Abo im pieje zmyślone powieści
O pięknych krajach — o dalekiej ziemi,
Gdzie świetne grody szczytami złotemi
Ku niebu patrzą; — gdzie wonne ruczaje
Srebrnym się strzępem i potokiem wełnią;
Gdzie w litych szatach chadzają rataje,
Gdzie nocka wiecznie pod miesięczną pełnią,
A dzionek wiecznie letniem słońcem płonie!
I wraz im pieje o bogatym plonie,
O drogich łupach i złotej obierzy,
Co ją z tych krajów wiezie wojak krwawy. —
A gorze — gorze, kto wieściom uwierzy —

Wzdyć to zdradzieckie Bolesława sprawy!
  Czasem przychodzi gościem na biesiady —
Siada za stoły i gościnne ławy,
A budzi kłótnie i zasiewa zwady,
Które wnet schodzą i pochopnie rosną,
Jak czerwiec krwawy zasadzony wiosną!

---

  „Straszne to kary!... Wzdyć piękna Bogunka,
W każdą noc dla nich przyzywa ratunka.
  Kiedy dzień we mgłach zachodniowych przyśnie,
Zaszumi Gopło — srebrną falą pryśnie
I wnet wypłynie z niego krasna dziewa —
Blade ma liczko — pianką się odziewa —
Dwie łzy ma w oku — jak dwie deszczu krople,
Abo dwie gwiazdy utopione w Goplе.
I ząbki u niej — jak pereł dwa rzędy,
Skryte pod różą — ni ponętne wędy!
Wzdyć nie na pstrągi, ani na szczupaki,
Ale na młode Goplańskie rybaki. —
Ona tą wędą róż i pereł zdradnie
Póty ich k'sobie i wabi, i nęci
Aż ich prędzistym wirem nie zakręci
I mokrą chustą nie okryje na dnie! —
  „Czasem do kniei biegnie na manowce,
I łania skacze po leśnej zieleni;
Ale myśliwce wesołe i łowce;
I póty tropem przynęca ich łani,
Aż ich nie zwiedzie i nie otumani!"
  „Czasem wieczorem — gdy prządki z kądzielą
Kurne ognisko obsiędą do koła
I wszystkie równą pracą się obdzielą —
Ona przychodzi do cichego sioła,
Siada z drugiemi w gospodarnym rzędzie
I wraz poszóstny dział sama oprzędzie".

„Ale się przezlisz wiaruj kmiecy synie,
Byś jej nie pragnął w dom na gospodynie! [1])
„Straszne to czary!... wzdyć wiedzieć wam
[trzeba,
Że samobójcom trudno jest do nieba!
A wzdyć Bogunka z Goplańskiej topieli
Usłała sobie wiekuiste łoże;
I przeto dzisiaj na mokrej pościeli
Spocząć nie może i zasnąć nie może. —
I pierw nie zaśnie — aż krwi twoja braci
Troistym mirem ktosiak nie zapłaci!
Póty też bracia — biada naszej ziemi —
Plon z niej nie wzrośnie — siew się nie rozplemi;
A w jednym domu — w pokrewnej rodzinie
I dziś, i jutro krew bratnia popłynie!“



Tu Bojan urwał pieśń swoją — bo coś niby zaszumiało w pobliżu. — Wszyscy słuchają — strony drżą nieme. — Dokoła głuche milczenie — nikt go przez długą chwilę przerwać nie ma woli; — aż wreszcie ozowił się Scibor: „Straszna to pieśń wasza, gęślarzu; — ale zawczesne wzięła dokonanie! Przezacz nie powiecie nam wręcz, co za ratunku przyzywa krasawka i troja braci Żupanów?“

Chciał odpowiedzieć Bojan — aliści tętent końskiej podkowy słyszeć się dał z dala — wnet i szczekanie zagrało po rosie. — Wszyscy poznali Capaja. — Jedni poskoczą na nogi — drudzy się w poły podejmą i nadstawią ucha. — Capaj raz wraz gra głosem i cisak dudni coraz to bliżej. — Słuchają...

A konie rozpuszczone po trawie chropać poczęły

[1]) Patrz przyp. 18 R. B.

i zbiegły się na jedno miejsce — jak kiedy wilka poczują — i psy się porwały skowycząc!

Hałas się zrobił i wrzawa!—Śmielsi pobieżeli w las — między gąszcze — zkąd tętent i szczekanie echem przylatywały. — Niezadługo wrócili. — Wpadli zadyszani między łuczników i spojrzeli po sobie. — Strach patrzał im z oczu, włos się wiatrem rozczesał — pot wystąpił na czoło!..

„Co się to znaczy?“ — zapytał jeden i drugi. — Oni nic nie odrzekli — jeno oko słupem stawili w puszczą — wielkie — rozwarte!

Wszyscy spojrzeli w tą stronę — nic nie widzą!... Ale czy wszystkich licho opętało, że zbledli. — Ten i ów szuka niespokojnem wzrokiem konia swojego; — ten i ów nawstecz się cofnie — a żaden nie chwyci do korda!... Wszyscy zmieszani! —

Jeno sam Bojan spokojnie siedzi na bierzwie — czasem w strony brząknie — a wzrok w ognisku utopił i utonął w myślach. —

„Co tu począć, Bojanie?“ ktoś go zagadnął.

Powstał zbudzony. „„Uczyńcie wiarę mej radzie i weźcie się spachaczem na zamek — to wraz daleka już pora!“ “

Spozierano jeszcze chwilę na niebo i szukano gwiazd we chmurach — potem zwolna pojuczono mierzyny — złożono łowcze przybory i wyruszono w pochód.

Z krocza jadą krętym skotnikiem. — Milczenie nieme chowają. — Tęga im jakaś dojmuje — a może wieszcze wejrzenie. —

Cisza po lesie — aż naraz zabrzmiała wdali gęśl trójstronna. — Postaną chwilę i dopiero się opatrzą, że Bojana brak między niemi. — Gęśl brzmi ciągle... naprzód żałośnie, a potem dziko i smutno — wreszcie i śpiew leci do nich po rosię:

„Głód — powietrze — ogień — woda
„I wszelaka zła przygoda
„Będą temu, ktoby starą
„Ojców swoich wzgardził wiarą!

„Zwierz drapieżny do obory
„Między stada czarne mory
„Wejdą temu — któby starą
„Ojców swoich wzgardził wiarą!

„Chorobą się rozniemoże,
„I boleści twarde łoże
„Związe tego — ktoby starą
„Ojców swoich wzgardził wiarą!

„A gdy skona — garści ziemi,
„Gdzieby spoczął kośćmi swemi
„Nie dostanie — ktoby starą
„Ojców swoich wzgardził wiarą!

„Marnie zginie!... Wiatr rozmiecie
„Prochy jego po wszym świecie —
„Marnie zginie — ktoby starą
„Ojców swoich wzgardził wiarą!

---

Śpiew ucichł — drużyna ruszyła dalej w milczeniu.— Głucho do koła. — Słychać jeno — jak konie chropają — jak skrzypoce szczerk pod kopytem — jak siewierny wiatr szuwarami zamiata.

Tak przyjechali na zamek. — Księcia nie było — nie było i biesiady. — Kiryło głową pokręcał i wielce był markotliwy. — Goście poszli wnet wyciągnąć się na

skórach niedźwiedzich, półgębkiem rozmawiając wzajem.

A Kiryło siadłszy przy ognisku czekał do rana i doczekać się nie mógł!

Rano goście powstajali — jeden i drugi pyta o Sokoła to wrotnego, to pachołków, czy nocą nie wrócił— czy go nie widziano? Naprόżno!... Wszyscy, by chrapy w żabincu pozwieszali głowy! —

„Licho w tym domu!“ rzekł stary Władybój i bez zawodu odjechał ze służbą; — za nim ten i ów się wybierał — ale żadnemu niesporo — i nie dziw! Żal biesiad — łowów i zabaw. — Niektórzy dni krótkie siedzieli jeszcze obłazem — potem się powolnie rozjechali, — gościniec za gościnę stawiwszy.

Sam już tylko Kiryło został w starym grodzie. — Niejedną jeszcze noc przeczuwał i czekał na księcia do rana, a doczekać się nie mógł!

Aż raz pod wieczór — słońce już dawno było zapadło — zakołatał do wrotnika, który brodnia na ryby wiązał.

„Gedko! otwórzcie!“

„ „A dokądże stary — czy was licho osiadło — w tej porze...“ “

„Otwórzcie drzewiej!“ zawołał Kiryło — przeszedł po moście — zadał się w prawo prosto ku jezioru.

„ „Bodaj go jeno nie ułapił ów topielec, cośma go ongi w baraniej skórze siecią wyłowili!“ “ pomrukiwał Gedko i patrzał za odchodzącym. — Już nic nie widzi — tylko chrapiate zarośla w dali i smug oszroniały, a na nim świetliki nocne i złote jasnotki — co to we zmroku błyszczą z daleka wielkiemi światły, a z blizka maleją i gasną; — iście jak wielcy ludzie!

Długo tam patrzał w tę stronę — a jeszcz dłużej czekał, rychło wracające mu wierzeja odemknąć — ale

nikt nie zapukał. Minęła noc i ranek — minął dzień cały — jeden i drugi — Kiryło nie wrócił!

Służba się powoli wynosiła. — Gedko wszystkim otwierał, aż do ostatniego; — a kiedy już nie było kogo pilnować — sam wyszedł z zamku — zatrzasł wrzeciądze, pewnie z dawnego nałogu, i c żebranym chlebie chodził po świecie i owe baśnie wszędy rozpowiadał. —

A zamek stał pusty i niemy — i wyglądał jak trumna, z której trupa wydobyto i którą robactwo już opuściło. — A jeszcze wtedy patrzał z pomiędzy świerków i sosien — jak dziewięciosił wierutny. — Stał długo na postrach ludowi; wreszcie runął w zwaliskach; — nic z niego nie pozostało — tylko sklepy i lochy podziemne, w których nieprzeliczone skarby Sokoła ukryte. — Nikt ich z żyjących nie pilnuje, od czasu, jak Gedko zamek opuścił; a przecież żadna ręka śmiertelna nie śmie sięgnąć po nie! Jest inny stróż, który czuwa nad niemi — Strach, co ma wielkie oczy! — Czasami widują pono i psa czarnego — kondla, który się w nocy po gruzach przemyka.[1])

Również i wieczorni wędrowce słyszeli już nieraz trąbkę grającą po lesie, psów szczekanie i tętent końskiego kopyta. Niektórzy twierdzą nawet, że widzieli jeźdźca na karym koniu — tak im się przynajmniej zdało w ciemnościach nocy! — Koniowi pono strumienie ognia z chrapy pryskały. —

Aliści któż prawdę odgadnie?...

---

[1]) Patrz przyp. 19 R. B.

Gewöhnlich glaubt der Mensch, wenn er nur
Worte hört,
Es müsse sich dabei auch Etwas denken lassen.

*Göthe.*

# EPILOG.

## WIEŻA KRUSZWICKA.

„Szto tész pusta u primorju, kuło?
*Wuk Stef.*

O ziemio moja — ty, coś dawniej była
Kolebką wolnych, — dni wolnych mogiła —
Oto syn twojej oniemiałej chwały
Pyta się ciebie — i gdzież się podziały
Dni twoje wielkie — gdzie ręka, co wskaże
Świetności twojej zwalone ołtarze?

Oto twych stolic pozostały szczątek
Wieża Popiela — królowa pamiątek
Czem jest — ruiną królewskiego grodu,
Czy piramidą na grobie — narodu,
Po której ręka tylu wieków kryśli
Rylcem zniszczenia wielkie swoje myśli?

Stoi — jak smutna Sodomy niewiasta
Nad ruinami upadłego miasta;
Na wieczną boleść wspomnienia zaklęta,
Świetności jego krótkie dni pamięta!

Stoi — jak dzika rozpaczą Niobe,
W czarną stu wieków okryta żałobę,
Piękna — i straszna swych dziejów powieścią!
Stoi bezdzietna — i niema boleścią
Do nieba sięga — i litości woła,
Litości — nad kim?... nad dziećmi swojemi!
Gdzież jest ta duma matczynego czoła,
Którą pół — bogom urąga ziemi?
Gdzież są te głośne okrzyki wesela,
Któremi brzmiała przy ucztach Popiela?
Gdzie jest szczęk mieczy, gdzie jest chrzęst pancerzy,
Któremi zbrojnych witała rycerzy?...

Jako dźwięcząca kolumna Memnona,
Z zapartym głosem wśród zimnego łona,
Stoi w milczeniu — bo i dla niej zgasło
Słońce wolności .......

I tyla potęgi — męstwa i świetności,
Z tylu dzieł twoich — z tylu zwycięstw blasku,
Czyż tylko w polu ............ kości,
I krew zakrzepła została na piasku?...
A z twoich stolic i grodów, i gmachów,
Czyż to schronienie żałoby i strachów,
Czyż to jedyny pomnik twojej chwały?
O, ziemio moja — mów, gdzie się podziały
Dni twoje wielkie gdzie ręka, co wskaże
Świetności twojej zwalone ołtarze?...

Czemże są zamki — czem warowne grody,
Jeśli od hańby nie mogą zasłonić
Synów wolności i ducha swobody?...

. . . . . . . . . . . . . . .

Was dumne miasta, ni wyniosłe wieże,
Ni baszt obronnych kamienne puklerze,
Was mury wsparte niewolników dłonią
Od słusznej pomsty nieba nie zasłonią!
Biada wam!

....... wyparta za mury,
Ucieka w lasy — w niedostępne góry;
Z gór wypędzona lot skrzydeł rozwija,
Nad ziemię wzlata — na chmury się wzbija,
I tam zatknąwszy sztandar swojej chwały,
Na wolnych wiatrach przelata świat cały;
W burzliwych nocach wraca między ludzi,
W imię ich swoje ze snu hańby budzi
I żyje wiecznie!

..........

Gdzież się schronicie zasłużonej karze?...
Dopóki wiatrom nie spętacie skrzydła,
Chmur nie weźmiecie na twarde wędzidła,
Wolnej im w górze nie wzronicie jazdy,
Nie postawicie strażników na gwiazdy —
Czyście bezpieczni za murów granitem?...
Ten gmach wam szczątkiem ruin odpowiada!
Niegdyś strop niebios wspierał swoim szczytem,
Dzisiaj wędrowiec pośród nocnej ciszy
Trzykroć się żegna, gdy z trwogą usłyszy,
Jak nad nim czarna pracuje zagłada,
Jak z ruin kamień po kamieniu spada!

Zbudź się, Popielu — i powiedz, czy wieże
Zasłonią ...... kiedy się przebierze
Cierpliwość nieba i występków miara!
Zbudź się i powiedz, czy za zbrodnie ......
Na głowę ludu mściwa spada kara?

Powiedz — strasznego gdyś dokonał zgonu,
A dom bez głowy i rządu zostawił,
Któż poważnionych pogodził i zbawił?
Czyjże — wygnana za królewskie wrota
Dom nawiedziła poczciwość i cnota?...

*

*   *

Gdzież jest choć szczątek skromnej Piasta chatki?
I szczątku nie ma!... A wieża Popiela
Dziś jeszcze dumą pod obłoki strzela!
O, biada dzieciom, gdy na grobie matki
Win tylko samych pozostały świadki!
Nam przecież jedna jest jeszcze pociecha —
Patrzaj — ta stara, pochylona strzecha,
Kto wie — w niej mieszka poczciwość i cnota,
Stara gościnność i stara prostota —
Kto wie, czy nie tam jest Piasta przybytek?...
Gardzi nią duma, a omija zbytek;
Choć co dzień na nią patrzają przechodnie,
Wolą podziwiać ten szczątek wspaniały
Gmachów królewskich — chociaż w nim mieszkały
Czarne występki i czarniejsze zbrodnie!
Bo szczyt tej wieży, co się we mgłach chmurzy,
Z bezsilnej losów natrząsa się burzy —
A odpierając tylu wieków fale,
Mówi o dawnej potędze i chwale!
A owa chata, którą mech porasta,
Nędzny przytułek dzisiejszego Piasta,
O czemże mówi?... Oto czas oskarża,
Jako tyrana, starego zbrodniarza,
A ulegając twardej losów fali,
Na dni dzisiejsze i przeszłe się żali!

Któżby chciał chętnie patrzyć na świadczące
O winach naszych pamiątek tysiące?
Któż przeczytawszy przeszłości swej dzieje,
Gdy nieszczęść własnych szukając przyczyny,
Tam w swojej duszy wszystkie ujrzy winy;
Któż rąk nie złamie i łez nie wyleje?...
Przecież choć płaczę, gdy na czarną kartę
Dziejów ojczystych z rozpaczą pozieram;
Dla czegóż smutnych rysów nie zacieram,
Czemuż odnawiam pamiątki zatarte?...

---

Kto chcesz żyć cichy i umrzeć spokojny
Na ręku szczęścia — w licznem dziatek gronie,
Kto nie chcesz zbudzić w zniewieściałem łonie
Straszliwej żądzy krwi, mordu i wojny;
Kto chcesz domowy ukochać zakątek,
Strzeż się — o, strzeż się, byś nigdy nie śledził
Dziejów przeszłości i starych pamiątek!
Jam je, niestety — ach! wszystkie odwiedził!
Widziałem — wielka, potężna i dumna
Kolebka Piastów — wygląda, jak trumna,
W której choć jedna garstka nie została
Świętych popiołów olbrzymiego ciała,
Jeszcze gad na jej zbutniałe obicie
Pełznie — niepomny, z kogo powziął życie!
Widziałem — tam na Piasta majestacie
Żałoba w czarnej rozsiadła się szacie;
A pod wspaniałem Popiela zwaliskiem,
Dzieci przedwczesną starością zgrzybiałe
Siadłszy nad zgasłem wolności ogniskiem,
Baśniami budzą oniemiałą chwałę!
Widziałem — kości, leżące bez grobu,
Pytały nieba, czy nie ma sposobu,
Myśląc o strasznem ............... dziele,

Rozdmuchać iskry w zastygłym popiele!
Widziałem — rumak bujnie spasa błonia,
W komorze zbroja zapomniana stoi —
I pytam — nikt-że nie dosiędzie konia,

. . . . . . . . . . . . . . .

---

## O DWUNASTU ROZBÓJNIKACH.

U onego młyna
Zielona olszyna:
Trzebaby ją wyrąbać...
Jest ci tam dziewczyna
Z siwemi oczyma,
Żeby mi ją chcieli dać!

Nad-obrzańskie okolice miejscami cudnie są piękne. — Po wzgórzach nie dostrzeżesz ani latową porą ani z początkiem jesiennej — śladu owej rzeki, która z wiosną na dobry rzut oka zalewa okolicę. —

Pobite kanały, ściągając ostatek wody w swe łoża, odkryją ci przepyszne widoki. —

Trawnik nieprzejrzany okiem, obwiany lekkim wiatrem i wonią macierzanki, — przetykany barwistem kwieciem, mile zmysły przynęca i łechce. — Na nim obrazy, akie z rozkoszą odbije w swojem zwierciadle tkliwe rozmarzone serce kochanków, smętna, zbolała dusza nieszczęśliwego, a nawet prozaiczna myśl ekonomisty.

Tutaj kilku kosiarzy docina reszty potrawu; — już im eż czas odpocząć. — Snać od dni kilku pracują, bo pot ropisty rosi im czoła, — bo kosy stępione ciąć nie chcą; więc raz po raz postaną, przeciągną krzyża do góry w takt poostrzą żelaza.

Owdzie na posiekówku bydełko, jakby ulane, spoczy-

wa, i szerokim językiem zmywa boki, na których kropla by wody nie została; a źrebce wietrzniki hulają na przegon ze sobą. —

Gdześ tam zdala na wzgórzu, widać las sosnowy; — wierzchem kołyszą się cyplowate korony, spodem usłało się igliwie zżółkłe i szyszki.

Gromada owiec biega pod lasem za trawką, która się tu i owdzie zbłąkała; — a barany podzwaniają na przodzie i z bekiem poglądają na bujny pastewnik.

Tysiąc jeszcze obrazów odmalowałbym po wyżynach obrzańskch; drugie tysiąc wcale rozmaitszych, wcale innych ujrzysz przy spadkach, przy kotłach rzeki. —

Tutaj woda nie da się ująć w kanały — ale rozlana na lewo i prawo, znaczy swoje granice warstwami piasku, łączu, tataraku. — Najczęściej jednako wcale jej nie dojrzyć, — bo gęste sitowie i płowe oczerety kryją brzegi i mielizny. —

Jesiennemi rankami dżdżysta mgła wisi nad niemi; — po nad mgłą przeleci czapla; — czasem gra stado żórawi lub gęsi, wędrujących długim rzędem do cieplic; — inne stado ceranek i kaczek zapadnie na popas, a myśliwy wnet je wypatrzy i odbije kilku towarzyszy. —

Tako jest Obra dzisiaj. — Dawniej zarosła olszami, łozami i trzciną stanowiła ciemną, bagnistą knieję, zamieszkałą od dzikiego zwierza i strachów; — dziwne też w niektórych miejscach krążyły o niej pogłoski. —

Czasem pastuszek ubogi postrzegł w gęstwinie człowieka o długiej brodzie, kręconych wąsach, plugawej sukni, z długim nożem u pasa; raz po raz złupiono jakie pustkowie; raz po raz zniknął podróżny, który śmiał sam jeden przeprawiać się na drugą stronę, po wązkiej grobelce, czepiącej się wzgórków, wijącej się pomiędzy krzakami.

Właśnie w połowie tej grobli było ostrowie wyniosłe,

suche. Na niem stał młyn wodny, mocno zbudowany, warowny. Strzegły go u okien kraty, u wnijścia drzwi dębowe i czujne dwa kondle. — Na tyle stała szopka, koło niej pieńki pszczół roboczych — świerki wysmukłe, kilka drzew owocowych — kilka zagonów warzywa i łączka śmiejąca się z ponurych cieniów kniei świeżą zielonością i kwieciem. — Dalej krzewiła się leszczyna między grabami. —

Nie raz zbierała z niej orzechy młynarczanka Basia, cudnego lica, wesołego serca. — Usta jej brzmiały od rana do wieczora uroczemi pieśniami; — a nocą dopiero odzywały się po swojemu słowiki, a było ich pełne ostrowie. —

Jeśli za pogody w niebo spojrzała, to się aż słońce zaćmiło od blasku jej oka, — nad którem były dwa łuki hebanowe, szorstko napięte; — każden pocisk z nich wypuszczony, grzeznął głęboko w sercu. —

Taką ją codzennie widywały posępne drzewa i śpiewne ptaszyny. — Ale dzisiaj daremnie czekają na nią i na ochocze pieśni. —

Ojciec i matka poszli dzisiaj na jarmark; — Basia sama w domu została. — Siadła do kądzieli, sukała wrzecionem, że warczało, niby cywie we młynie; a Basia duma sobie, rozmyśla.

W samotności dziwne rzeczy na myśl przychodzą. — Więc jej się też przybaczyły owe powieści pasterskie o ludziach wąsatych — z długiemi brody, z nożami. —

Młynarz słynie z zamożności; — u niego pieniędzy kwartami — miodu na kilka beczek, wszelkich zasobów — co niemiara! — Cóż prędzej obudzi chętkę rabusiów?

Pomyślała sobie Basia, i poszła zawrzyć drzwi sienne na rygle, — ale psów zapomniała spuścić z łańcucha. —

---

## II.

Na dobrą milę od Karkiskiego Ostrowia ciągnął się prawym brzegiem Obry las dębowy, odwieczny, ciemny. — Jedno ramie rzeki ująwszy go w połowie bagnistym łukiem przyciskało serdecznie do matki Obry i stanowiło wysepkę, przystępną chyba przebiegłemu zwierzowi. —

Gdyby się jaki śmiały myśliwiec odważył pójść w trop za owym liskiem, który się każdą nocą skrada pomiędzy gęstwiną — ujrzałby się w najdzikszym, najskrytszym zakątku wysepki; — ujrzałby przed sobą chatkę zapadłą — opodal owego liska strzygącego uszami, chwytającego wiatr nosem, oblizującego się, jakby na zwietrzone ścierwo. Chętka drażliwa pociąga go bliżej i bliżej; — ale go razi światło błyszczące z okna chaty.—

Jeżeliś śmielszy myśliwcze, to się zbliż — zajrzyj przez okno! —

Zobaczysz tam w chacie stare babsko — wyschłe, wywiędłe. — Z rozkoszą pogląda na sznurek czerwonych paciorków, któren trzyma w drżącem ręku. — Pewnie to będą prawe korale, — bo im się dosyć napatrzyć nie może. —

Przytoczyła się wreszcie bliżej do komina, — wzięła od ognia garnek — wrzącej wody — wylała go na

miskę i wrzuciła w nią sznurek czerwonych paciorków.—

Zrumieniła — zaczerwieniła się woda; — a sznurek paciorków zbladł jak mleko, — bo się z nich zmyła krew skrzepła i z owych prawych korali zrobiły się prawe perły!

W tej chwili zawarczały dwa brytany, leżące u progu. Zakołatano do drzwi; stara je otworzyła, i wszedł do izby człowiek sążnisty, okryty dziadowskiemi łachmany, — a za nim innych jedynastu.

Brytany poskoczyły ku pierwszemu, wspięły się na jego piersi, polizały jego ręce i legły u drzwi, bijąc ziemię potężnemi kitami.

„Co to chłopcy — tak prędko z jarmarku?“ zapytała stara.

„„Będziemy mieli lepszy jarmark, matuchnu;“ “ odpowiedział starszy zbójca. „„Młynarz z Karkisza jest w mieście z babą, — doma została tylko córka; tam pieniędzy huk; na jarmarku człek zarobi mało, a ma strachu dużo!“ “

Stara kiwała głową, odradzała, jak mgła, że na Karkiszu mocne drzwi i kraty, że na Karkiszu złe kondle z którymi żartować darmo! —

Na drzwi wzięli rabusie pałki, a zgwiznęli brytany, dla kondlów godne zapaśniki. —

Za nim się drugi bez zwłoki pakuje; — temu trudniej — bo grubszy; wcisnął się jednak do połowy; — drgnął na raz — wierzgnął nogami, potem wlazł także.—

Za nim trzeci, czwarty, aż do ostatniego dowódcy, któremu dziwno bardzo, że się każdy w połowie na chwilę zatrzymał. — Ostrożnie tedy głowę pod próg podkłada — podnosi oczy w górę, aby zajrzyć do sieni. — Zajrzał — cofnął się nagle. — Zapóźno!... Już mu strumień krwi trysnął z ponad czoła, — zalewał mu oczy, ściekał na opadłe wąsiska — na suknią plugawą.—

Daremnie ręką oczy przeciera; — nie tak prędko zabraknie krwi w jego ciele; — więc co raz hojniej płuży z szerokiej rany, wyciętej na czaszce!

Przewiązał chustą głowę; pogroził ściętą pięścią młynowi, — zabełkotał słów kilka, — a każde słowo, pierwej nim z ust wyszło, skąpało się we krwi już skrzepłej. —

Bez zwłoki rzucił się potem między zarośla. — Brytany poszły w trop za nim; — zawyły przeraźliwie, bo poczuły krew pana swojego.

Chwilę jeszcze słychać było chrzęst łamanych gałęzi. — Potem cicho; — noc zaszła głęboka; księżyc spokojnie, pogodnie, jak pierwszej nocy w rajskim ogrodzie, poglądał z nieba na ziemię. — Niejedną widział zbrodnię; — niejednemu osrebrzał sny złote; niejednemu oświecał tę ciemną ścieżkę ziemskiej wędrówki!...

. . . .

---

III.

Wieje wiater po dębinie,
Moja młodość marnie ginie;
Ginie młodość i uroda,
Tak mi ginie, jako woda.
Woda przyjdzie, zginie woda,
Ale nie wróci uroda.

*Piosnka gminna.*

„Bogu dzięka, że aby noc jasna!“ rzekł młynarz do żony powracając z jarmarku. —

„„Chciałam cić ja za dnia jeszcze wyjść z miasta, kiedy to u ciebie statku nie ma!“ “

„Moja kobieto — bo to tam widzisz był ten i ów; — a człek z biedą kogo na swojem pustkowiu obaczy — to się też raz chce i zabawić“.

„„Tak, tak — a Basia czeka od rana, sama jedna!“ “

„Dyć ja to widzisz dla Basi zostałem, aż do wieczora w mieście. Był tam Stach z Łobza, a on się Baśce zaleca i chciałby ją pojąć“.

„„Nie dla psa kiełbasa! — mruknęła młynarka, — mnie wróżono, że do Basi zajeżdżać będą szóstkami, w złocistych karetach. Nie darmom ją też dzieckiem w mleku kąpała — nie darmom jej zbierała śnieg marcowy do mycia!“ “

„Nie pletłabyś, kobiecino, kiedy ci dobrze na Karkiszu, będzie też dobrze i twemu dziecku. — Że Stacha gracki młynarczyk, — oddam mu młyn w dobrym stanie i spocznę przy nim na stare lata. — Czasem mu też pokuję kamieni, które ojcu mojemu i mnie chleb dawały; — a będzie nam wszystkim dobrze, Marysiu!“

Byłby dłużej gawędził rozmarzony miódkiem Szymon, ale mu przerwało mocne psów szczekanie. —

„To murzyn!“ rzekł, słuchając z uwagą, a on na wiatr, ani na słońce nie szczeka!“

Przyciągnął mocniej pasa i przysporzył kroku.

„„A słowo stało się ciałem!“ “ szepnęła młynarka i poczęła odmawiać pacierze.

Ledwie trzeci kończyła, kiedy już byli u młyna. — Psy wyciągnąwszy łańcuchy, najeżały grzbietów; — księżyc właśnie na drzwi zachodził i oświecał rozkopaną jamę; z okien nie widać światła.

„Źle żono!... Złodzieje!... Baśku!“ wrzasnął młynarz gwałtownie. —

„„Tatynku — tatynku! ratuj!“ “ odpowiedziano z sieni; — zaskrzypiały wrzeciądze, — drzwi się z jękiem rozwarły. —

Młynarz stąpiwszy na próg — uskoczył w tył, jakby mu kto oczy warem zachlusnął. —

„Chryste Jezu! Co to jest — trupy, — kto pomordował?“

„To ja, Ojcze! — ja. — Oni przyszli — podkopali próg — właziłi — jam toporkiem ucinała głowy!“ “ wyjąkła u nóg Ojca w pół-martwa Basia. —

Stary pokiwał głową, przetarł oczu, jakby ze snu zbudzony, i nie uwierzył własnym oczom, aż się dotknął trupa i zobaczył, że zimny, że głowa gdzieindziej, a ciało gdzieindziej. —

Zamyślony poszedł do izby — oparł głowę o piec. — „Jak to było?“ zapytał. —

Basia poczęła opowiadać, jak murzyn na złodziei zaszczekał, jak się pode drzwi podkopywali, jak ona, chcąc się schować w komorze zobaczyła tam topór ciesielski. Jak nim wszystkie głowy poodcinała, a trupy wciągała do sieni; — jak jeden uciekł, bo go źle trafiła.

„Jeden uciekł?“ mruczał młynarz pomieszany — „jeden uciekł!... chwała Bogu!... ale świat nie powinien wiedzieć, że reszta na Karkiszu zginęła! — Złym ludziom i nieprzyjaciołom dogodziłoby się nie lada. — Tu pustkowie — tu ludzi pomordowano!“

„„Boże zlituj się!“ “ wołała załamując ręce młynarka. —

„Ciszej kobieto! — poszłabyś lepiej drzwi sienne zaryglować i przynieść z komory trzy rydle; w sieni ich zakopiemy!“

*

* *

Przy świetle latarni zaczęto kopać grób w milczeniu; — czasem je łkanie Basi przerwało, czasem zadzwonił rydel o kamień uderzony. Potem weń wrzucono jedenaście trupów — potem jedenaście głów osobna!

Nie wiem, czy tam każdy w dniu zmartwychwstania trafi do swojej?...

Dwa sążnie głęboko schował się czyn krwawy przed światem; ale się schować nie mógł przed młynarską rodziną. — Ona się wszystka zmieniła!

Stary Szymon często zamyślony mniej mówił, jak zwykle.

Młynarka ledwie raz na dzień rozpowiadała córce o owych wróżbach starej kobiety — bo już sama o nich wątpić zaczęła. —

Basia więdła codziennie, jak kwiatek w jesieni, kiedy go szron zwarzy. — Jej oczy we łzach pływały i gasły; — już nie potrafi podbić niemi serca owego pana w bławatach, w złocistej karecie. — Ona wszystko zrobić gotowa — byle dłużej na Karkiszu nie zostać. — Tak jej tam okropnie, tak straszno, że się śród białego dnia własnego cienia lęka. —

Napróżno młynarczyk z Łobza zachodzi do niej skwapliwie; onby z nią w posagu Karkisz odebrał, a onaby na Karkiszu umarła! —

---

## IV.

I przyjechał do niej pan.
*Piosnka gminna.*

Tak dwa lata minęły; — trzeciego lata — w dzień skwarny — w samo południe, przejeżdżał powóz czterokonny groblą Obrzańską. — Przed młynem zatrzymały spienione konie. — Basia wyszła przede drzwi. — Jakiś Pan prosił o świeże mleko, a wypiwszy przyniesione, pogłaskał Basię po twarzy i rzekł: „jutro z powrotem wstąpię do was i zapłacę!“

Widziała to i słyszała młynarka, polewając na bielniku płótno. — Nuż więc do męża z dobrą nowiną; — nuż powtarzać wróżby starej kobiety, co do joty. — Nadzieja konająca od dwóch lat prawie, znowu odżyła w jej duszy. —

Całe poobiedzie uprzątała izbę; — całą noc śniło jej się o córce, jak była wielką panią, jak jej się wszyscy kłaniali, fraszka pani ekonomowej z Niedźwiad, u której za młodu była piastunką. —

Nazajutrz koło podwieczorku zajechała kareta przed młyn. —

Ten sam pan co wczoraj pił mleko, wszedł do izby, pochwalił Pana Boga, przeżegnał się święconą wodą

z kropielniczki, wiszącej nade drzwiami i zapytał o zdrowie.

„Bóg zapłać, Panu!“ odpowiedziała młynarka i podała mu zydel czerwono malowany, z żółtemi kwiatami. —

Na gościnności nigdy u nas nie zbywało; — więc też i Basia zakrzątnęła się około podwieczorku. —

Nakryła stół bielizną, zastawiła sera, masła i pszennego chleba, a młynarz zeszedł do sklepu po gąsiorek lipcowego. — Wszyscy byli radzi gościowi, tylko kondle warczały i patrzały z podełba na niego. —

Pan był przystępny, rozmowny — co się rzadko zdarza; — to mu też stary gawędził o tem, co było; — a wszystko, co było — było lepsze, niż to, co jest. — Zwyczajnie, jak stary, — plótł trzy-potrzy!

Zdaje się jednak, że gość tylko pół-uchem słucha; — bo coś okrutnie córce w ząbki zaglądał. — Snać sobie w niej upodobał, bo aż do wieczora został we młynie i przyrzekł wkrótce znowu przyjechać. —

Co za szczęście dla matki!... już teraz nie wątpi — nie wątpi!

I do prawdy też powrócił pan bławatny po dwóch tygodniach; — wszedł, jak po dawnej znajomości, do młyna, padł starym do nóg i prosił o córkę!—

Szymon osłupiał — z zadziwienia języka w gębie zabaczył; — w tem mu młynarka dość głośno na ucho szepnęła: „widzisz Szymonie, — jam dawno powiadała: to przeznaczenie Boże!... Bóg cię skarze za upor Szymonie!“

— „„Niech się Jego Święta Wola dzieje!““ rzekł Szymon; — a jeżeli do tego czasu niechętnie w dom swój wróżki i cyganki przyjmował; — to od tej chwili był gotów podzielić się z niemi połową swojej chudoby, tak mocno w ich przepowiednie uwierzył!

Młynarka skiwnęła Basię do komory i długo sam na sam z nią rozmawiała. —

Młynarz naradzał się z przyszłym zięciem o weselu;—on by je chciał wyprawić dopiero po zasiewkach;— może dla tego, aby się przygotować na sute i huczne gody, wedle swego stanu; a może też z innej przyczyny.—

Zięć przeciwnie dziś — jutro chciałby wziąć ślub z Basią bez wielu świadków, bez hałasu; — może dla tego, że ją bardzo kocha, a może też z innej przyczyny!

Prośby i nalegania jego przemogły. —

---

## V.

Nie chciała — nie chciała
We wianeczku chodzić;
Kazała, kazała
Czépek sobie włożyć....
. . . . . . . . . . . . . .

O biedna, biedna Basia! nie było u niej według zwyczaju, ani swatów, ani zmowin w sobotni wieczór; — ani jej w weselną niedzielę nie wiozły na drabiastym wozie druchy i młodzianki do kościoła. — Nie zaśpiewano jej siadanego. [1])

Pan młody nie wywijał na krępym koniku z czerwoną chustą i rozmarynem u bata; — ale wziął ją z sobą do karety czterokonnej, złocistej. — Na świetnym kobiercu ksiądz stułą związał; — nie zapowiadano ni razu z ambony — bo czegóż pan możny nie może! —

Biedna Basia! — nie było na jej weselu dróżby przodownika; — nikt jej nie zatrzymał na krzyżówce; nikt nie podał bochenka, ani kądzieli, aby wypróbować, czy dobra z niej będzie gospodyni. — Ona dziś wielką panią — to też kto inny za nią chleba ukroi i kądziel oprzędzie! —

Przy wieczerzy nie zdmuchnięto przed Basią świecy, — a przecież dla niej zgasło światło swobody! —

---

[1]) Patrz przyp. R. B.

Żadna z młodzianek nie poszła w jej szmatach zwodzić pana młodego; — a któż wie, czy z niego będzie mąż wierny?...

On-cić prawda głaszcze Basię po twarzy; — ale on także głaszcze i owe dwa kondle;—a kondle warczą i nie chcą przyjąć chleba z jego ręki! —

Basia wdzięczniejsza za pieszczoty pana, miżdży mu się też, jak umie. — Szczęśliwa! już jutro Karkisz opuści!...

---

## VI.

„Pojedziemy w obce kraje,
„Gdzie są lepsze obyczaje,
„Murowany dom!“

*Piosn. gmin:*

„Jak ci ją wziął — tak niesie
„To po boru, po lesie.

Panu spieszno — trzeba mu wyjechać daleko w świat i za granicą dać młodą żonę na wielką panią wyuczyć;— żeby wiedziała, jak usieść na bławatnych poduszkach — jak stąpać po woskowych podłogach — jak gości witać, jednych uśmiechem, drugich dygiem, a trzecich z góry, wedle stanu. —

„Wszystkiego ją każe nauczyć, żeby wiedziała, kiedy chorować na migrenę — a kiedy w spazmy wpadać; — jak pieścić męża, a jak mu rogi przypinać!

To długa nauka — Panu spieszno. Ledwie jutro nadeszło — już wszystko do wyjazdu gotowe. —

We młynie płacze i szlochy!

Córka i ojcowie zalani łzami — zięć się uśmiecha. — Konie grzebią ziemię niecierpliwem kopytem, — po chwili pędzą już z nowożeńcami przez groblą. —

„Stój“ wrzasnął pan młody na woźnicę, zjechawszy małą drożyną do dębowego lasu.

„Żono, mnie głowa boli, — wyciąłem się wczoraj o wasze nizkie drzwi we młynie; — popatrz jeno!“

„„Ach! mój miły, co to jest? — taka szrama nad czołem! czy to na wojnie, mój miły?“ “

„Nie, Basiu! to nie na wojnie!“ rzekł i uśmiechnął się szydersko. „To u was we młynie drzwi takie twarde, a nizkie że aż pod progiem włazićby trzeba!“

Basia zbladła, jak chusta.

„Czemu ty blada, Basiu? wszak to już rana zgojona, a gorzej było, kiedy się z tej szramy lała krew gorąca w oczy i w usta!“ i znowu dziko się rozśmiał.

Basia zadrżała, jak listek osowy. —

„Czemu ty drżysz, Basiu? wszak to tylko szrama, — a lepiej przecie umknąć ze szramą na głowie, niż bez głowy wleźć do sieni! Nie prawda, Basiu?“

Basia blada, drżąca, przypomina sobie, że dwunasty uciekł.—

Okropne przeczucie ozwało się w jej duszy. „To on!“ wrzasnęła, a on gwiznął w palec i siedmiu ludzi wąsatych wypadło z poza krzaków.

Porwali Basię z karety; — krętą ścieżką pomiędzy zaroślem wlekli ją z sobą!...

Za godzinę stanęli w najdzikszem ustroniu kniei; — widać zapadłą chatę, słychać psów warczenie, czuć zapach trupiego ciała. —

Najstarszy zapukał do drzwi, otwarły się; — dwa brytany poskoczyły do Basi; — skinął pan — psy legły u drzwi. —

Wszystko tu, jak przed dwoma laty. — Tylko stara pochyliła się bardziej ku ziemi i zaślepła na oczy. — Przybył też może przez ten czas niejeden sznurek pereł, niejeden trup do sklepu. — I dzisiaj pewnie nowa ofiara przybędzie; — bo najstarszy zbójca pomści się za swoją ranę; — dokona krwawej przysięgi. —

Czoło jego tak się chmurzy od gniewu, usta tak dziką uśmiechują się radoścą, że aż psy stulają uszy od strachu!

Rozmyśla on teraz, jakiemi męczarniami dręczyć swoją żonę; ale wszystkie, które zna dotąd, nie wystarczają mu jeszcze; — więc się radzi doświadczonej matuchny. —

Ona z pekielną radością w oku, szepce mu coś na ucho, a szepce z cicha, a w starej piersi głos przytłumiony, nie da osnowy zrozumieć; czujne Basi ucho złowiło jednak te słowa: „drzazgi za paznogcie... za skórę zalewać... przy ogniu“...

Trafiła widać niemi do myśli rozboja, bo rzekł: „dobrze matuchnu, dobrze! — zastawcie tutaj oleju w kotle; — niech się uczciwie zawarzy; — a ja z kamratami pójdę do lasu, nałupać smolnych drzazg i łuczywa! Pokażno paluszki, Basiu — pokaż! — a jakie białe — jakie miękkie — żadna się nie przyłamie!“

I wyszedł spieszno z innymi do lasu.

---

## VII.

Czarne oczy zapłakała,
Białe ręce załamała,
Rzewnie zawodzi.

*Piosnka gminna.*

Są pono ludzie, którzy przeczuwają śmierć swoją. — Dobrzy i poczciwi z uśmiechem oczekują chwili skonania. —

Złoczyńcy poprawiają się na krótki czas przed śmiercią; czy to z Boskiego natchnienia, czy to ze strachu przed karą. —

Po wyjściu rozbójników, stara grzesznica głaskała Basię po twarzy i tuliła płaczącą: „Cyt, cyt — moje dziecię!" — Ale Basia wzdrygnęła się mimowolnie, i wstecz cofnęła kroku, uczuwszy rękę zbrodniczą na licach. —

„Nie uciekaj, moje dziecie, nie uciekaj odemnie, mówiła stara — ja ciebie wyratuję! — ja ciebie wyratuję; — ja ich wyprawiła do lasu umyślnie, a ciebie wyratuję!... Ty mnie już nie znasz Basiu; — oj dawne też to lata, kiedy ja była na Karkiszu; — a jaka biedna, jaka biedna! Goniono mnie, jak psa wściekłego; — chciano spalić, jak czarownicę za to, że we dworze krwią doiły krowy, a ekonomowi postrzał się na nogi przyrzucił. — Jam

uciekała, jak mogła, i przyszłam pewnego dnia na Karkisz, okurzona, zniszczona, jak niestworzenie Boże. — Tyś wtedy ledwie po raku łaziła, — a twoi ojcowie dali jeść, pić i ogarnęli mnie trochę na zimę, jakby własną matkę. — Za tom się młynarce chciała odpłacić i wróżyłam, że dostaniesz bogatego męża w złocistej karecie, i wywróżyłam, mój Boże, na nieszczęście twoje! Ale nie moja w tem wina! Ja im odradzała, jak mogła; — bo twoi ojcowie, to dobrzy ludzie. — Cyt, cyt, moje dziecię— ty taka młoda — a ja umrę! Oj! jużem się też do syta nażyła! Dziewięćdziesiąt lat górą!“

To mówiąc wzięła Basię za rękę, — wypuściła oknem, kazała uciekać lasem na prawo, na prawo! — Sama usiadła na pniaku przy kominie. — Głowa zwisła jej na wywiędłe piersi, długie siwe włosy rozpuściły się z przodu na pożółkłe lica, — rozmyślała! Nad czem?... nie poznasz, aż dopiero, kiedy się w piersi po trzykroć uderzy.

Snać rachowała się z życiem swojem, bo przeczuła śmierć swoją i poprawiła się na krótką chwilę przed śmiercią!

*

*    *

Rozbójnicy wrócili — najstarszy wpadłszy do izby, zapytał: „gdzież ona?“

„„Uciekła, dla Boga, uciekła!““ odpowiada stara ze drżeniem, — „pod kotłem okrutny ogień rozłożony; — w izbie gorąco, jak w chucie; — wyszłam z nią do sionki, a trzymałam za warkocz; ona urznęła i poszła w las na lewo! — goń! goń! ja ślepa nie mogę!“

„Gdzie warkocz?“

„„Tu, tu! wpadł w ogień!““

„Ha, jędzo!“ wrzasnął zbójca i potrącił kułakiem, to-

bie za paznokcie drzazg nawbijam, z ciebie pasy drzeć będę, ciebie w tym kotle usmażę — jeżeli jej nie dogonamy!“

Przyrzucił drzewek na ogień; — a stara mruczała: „przyrzucaj — przyrzucaj; — przyda się to dla ciebie — niech się zasmaży — tobie nim oczy zaleję... tak... tak... spalę — niecnoto!“ a on psy zgwizdnął i puścił się w pogoń; — ale nie na lewo, jak mu stara mówiła; — bo psy od razu wpadły na ślad Basi, która dla pospiechu boso uciekała. —

Idą też za nią, jak po sznurku; niby ów pies legawy, kiedy wpadnie na ślady kuropatw, które tutaj przed chwilą z jakie pół staja pieszką sobie biegły; wietrzy za niemi, prowadzi myśliwego; — aż stanie nagle, podniesie nos na wiatr — pobiegnie naprzód — popęchci w lewo i prawo; a potem wraca ze wstydem do pana, bo ztąd stadko pobreło się na skrzydła. —

Basia, choć skrzydeł nie ma — powietrzem nie lata, a jednak ją brytany z wiatru straciły; kręcą się w owem miejscu, skowyczą — łaszą się u nóg pana ze strachu. — On zaś rozbestwiony gniewem, strzaskał im łby palcatem. —

Potem zapalony zemstą, pijany szałem, któren mu krew zburzona do głowy pędziła, wraca do chaty. — Dotrzyma obietnicy, dokona krwawej przysięgi — jeźli go pierwej ręka sprawiedliwego nie dotknie.

„On nie rychliwy, lecz sprawiedliwy!“ —

---

## VIII.

Nazajutrz rankiem, o chłodzie, wyjechał sobie ubogi chłopek na drzewo do lasu. Z kluką chodził od kwiku do kwiku — obłamywał suszki, i już prawie wóz miał naładowany, kiedy upatrzył jeszcze jednę sporą odnogę, a nie wysoko od ziemi. — Podchodzi tedy pod drzewo z podniesioną głową i kluką: — naraz ręce opuścił — a oczy w drzewo, jak w tuza wlepił — splunął trzy razy — zrobił krzyżyk na czole i na wargach: „w Imię Ojca!... a to co?“

Bo też do prawdy dziwny tam widok na drzewie, — kobieta o sęk zawieszona, kiedy obaczyła pod drzewem człowieka, poczęła wołać ratunku. —

Dopiero chłopek ochłonął z przestrachu, kiedy widział, że to nie duch i nie trup; wlazł na drzewo, odhaczył kobietę i poznał w niej Baśkę młynarską z Karkisza.

Dowiedział się od niej, jak uciekając przed zbójcami, wdrapała się na drzewo, jak psy poginęły za to, że ją z węchu straciły; — jak rabusie wracali spieszno do chaty, a potem płomień z komina wybuchnął i jął go się niby siarki — bo słońce suszyło przez długie lata słomę na dachu.

Potem widziała przy jaskrawej łunie siedmiu rabusiów, uciekających w las bez dowódcy i słyszała, jakieś

głuche jęki — bolesne! — Potem chcąc złazić z drzewa, zawiesiła się na sęku i tak doczekała ranka. —

Chłopek kręcił głową okrutnie, a nie wiedział, czy wierzyć — zwłaszcza, że psów pod drzewem nie było.—

Postrzegł tam jednak świeże krwi ślady i poszedł za niemi. —

O kilkadziesiąt kroków od drzewa leżał jeden brytan, a za nim kilkadziesiąt, leżał drugi, który zebrawszy ostatek sił swoich, chciał się przyczołgać do domu, a znalazł miasto niego tylko kupę popiołu, i zdechł przy dwóch szkieletach; — jeden z tych był kobiecy — drugi męski, z szeroką szramą na czaszce. —

Ciało obgryzł płomień z obydwóch szkieletów.

Kilka tygodni później, klekotał wiatr siedmiu innemi szkieletami na grodzkiej szubienicy. — Ani byś poznał, że to byli rabusie od Obry, którzy niedoświadczeni, bo nowi w rzemiośle — wnet wpadli w ręce sprawiedliwości, straciwszy przebiegłego dowódcę. — Darmo byś ich tam pytał, jak go stracili? — darmo byś pytał, zkąd się wziął ogień, którym spłonął w chacie we spół ze starą?...

Rozwiązaliby oni tę zagadkę, gdyby rozwiązać mogli węzły zadzierzgnięte na ich szyje!

Są jednak wieści o tem, wieści urokiem osnute!

Chceszli je usłyszeć, kochanku wdzięcznej prostoty, pospiesz do chaty, siwym mchem porosłej. — Tam długiemi wieczorami obsiędą prządki kominek; — tam sen z oczu ogarniają powieści, które po swojemu stworzone od razu się z tobą poznają — bo były dziećmi wraz z tobą; — dodawały pokarmu wątłej, dziecinnej wyobraźni — silnej, dziecinnej ciekawości!

Tyś wyrosł — one dziećmi zostały; — ale nie przeto w pogardzie je mieć trzeba!

Te dzieci prostaczki nie zamieniły skromnej, a własnej sukienki — na wykwintniejszy, a obcy ubiór; — nie przeniewierzyły się ojcom swoim odszczepieństwem.

Tę mają przed nami zasługę!

---

# PRZYPISKI DO BOGUNKI

# PRZYPISKI.

## (R. B.)

1) Póweść niniejsza osnuta jest na gminnem podaniu. — O tych podaniach, powieściach i klechdach gminnych szeroko się już u nas po różnych dziennikach i dziełach rozpisywano; a przecież to czas nie tak dawny, jak pierwsze pióro zajęło się pisaniem biografii tych tułaczów na własnej ziemi. — Polska rozdwojona w sile swojej moralnej, duchowej — przez dziewięć wieków walczyła dwoma przeciwnemi żywiołami o śmierć, lub życie.

Dwa wielkie szczepy stoją na scenie historyi Europejskiej; szczep słowiański i germański. — Polska pośrodkuje pomiędzy niemi. Z wprowadzeniem Chrześcijaństwa otworzył się szeroki kanał przypływowy, którym wszelka obszczynna, wyobrażenia, nawet języki lały się ryczałtem z zachodniej Europy na Polskę. — Duchowieństwo włoskie otarłszy się o nauki starożytne, przychodziło z wyobrażeniami Rzymu papieskiego, między lud, wynurzający się dopiero z pomroki dzieciństwa swego — między lud, który dopiero co rozpoczął wielką pracę kształcącego się rozumu. To też zrazu sam tylko stan duchowny tworzył w Polsce klasę uczonych. — Liturgia z razu słowiańska, t. j. czeska wnet ustąpiła łacińskiej. A że Polska połączyła swe losy z resztą Europy — musiała z ościennemi narodami coraz bliższe zawiązywać stosunki; — te stosunki dzielnie wpływały na krzewienie się i upowszechnianie języka łacińskiego, — bo język polski jeszcze na ów czas gruby i barbarzyński, — po większej części obcy duchowieństwu, które jako najoświeceńsze używane było do ważniejszych posług krajowych, nie mógł w żaden sposób stać się językiem spraw publicznych — zwłaszcza za granicą. — Ztąd

poszło, że wnet i stan rycerski uczyć się począł po łacinie; wnet też stanął obok duchowieństwa, a później je nawet prześcignął. —

Wśród takich okoliczności nietrudno było językowi ustalonemu, wytoczonemu przez najsubtelniejszych sofistów, — nietrudno mu było przemódz prostaczka, dziecinę wątłe i niepewne stawiającą kroki — język polski!

Odtąd oświata w Polsce wziąwszy dwa różne kierunki, przebiegła całą kolej kształcenia się i rozwijania rozumu ludzkiego, która jest dwojaka; — raz, że duch przyjmuje w siebie wrażenia — kolory i barwy nalatujące z zewnątrz, rozszerza przez to wiedzę swoją i gromadzi nauki; — drugi raz, że się sam w siebie obraca, wyrabia własne swe siły — tworzy i staje się poetą. Na zgodnem postępowaniu tych dwóch działań, zawisło całkowite, mądre wykształcenie człowieka — a tem samem i narodu; — bo naród i ludzkość ma równie, jak natura dwie siły w sobie, z których jedną płodzi i rozwija jednostki, drugą je spaja w łańcuch zgodnej całości. — Jeżeli jedna z tych sił przeważa — wtedy powstaje niepraktyczność w indywiduach — ciemnota w narodzie. Jeżeli płynące z zewnątrz wrażenia — nalatujące kolory i barwy zaleją i zmitrężą siły rodzime, wewnętrzne — wtedy naród przedstawia nam obraz dwóch najdziwniejszych sprzeczności: nauk i najgrubszej ciemnoty. [1])

Ten sam obraz widzimy w Polsce. Mieliśmy uczonych sławnych na całą Europę, a naród nic o nich wiedział; — mieliśmy poetów wieńczonych po za granicą, a nieczytanych w ojczyźnie; — mieliśmy kronikarzy piszących uczone kłamstwa i głupstwa, a gardzących podaniami własnego ludu; — woleli oni te podania Mythy, podrobić i przeinaczyć bajkami o Aleksandrze, o trzech braciach Lechu, Czechu i Rusie — ect., a niżeli je w niewinnej prostocie powtórzyć. — Popisali się z nauką, która nader szkodliwą stała się narodowi — bo zamąciła historyę jego. — A kiedy uczeni nasi tak daleko wybieżeli za próg rodzimej chaty, że aż po Grecyi i Italii błąkali się myślami swojemi — druga znaczniejsza połowa narodu, która nietylko ścigać, ale dojrzeć ich nawet nie mogła — ta

---

[1]) ibo łatwo ztąd poznać, że nauka nie jest jeszcze oświatą. (przyp. R. B.)

reszta, jakby na odwet wyjść nie chciała z zaklętego koła rodzimej indywidualności. —

Wyroby i płody ojczystej myśli, wzgardzone od uczonych naśladowców Horacego, Virgiljusza, Anakreonta, i t. d. uciekły pod zachronę ubogiej strzechy wieśniaczej, gdzie na jałowej i skromnej strawie mało się wzmogły nad poziom, ale pozostały zdrowe!

Tak patrząc na piśmiennictwo nasze, rozróżnić winniśmy dwie literatury, całkiem od siebie nie zawisłe, t. j. literaturę łacińsko-Polską i literaturę czysto-Polską, czyli jak inni chcą: Słowiańsko-Polską. — Pierwsza złożona w księgach i foliantach, które mało kto dzisiaj czyta; druga ruchoma — ustna — ulotna, jeszcze nie stężała w żadnych formach, ani prawidłach poetyki! Pierwsza dziewięć wieków żyła na cudzym chlebie i panoszyła się na cudzych śmieciach; — druga przed niedawnym dopiero czasem wyszła z gęślą rodzimą z pod słomianej strzechy i w całym oddźwiękła narodzie. — Jeszcze Karpiński patrząc na prace klasyków z żałością powtarzał: „zdaje mi się, że literatura nasza nie z narodem, ale obok niego postępuje!"

Nam dzięki Bogu dziś się na to skarżyć nie potrzeba. — Niepospolite talenta zajęły się szukaniem i badaniem tych szczątków literatury słowiańsko-polskiej; — że nie wspomnę o pieśniach, pierwszy p. Wojcicki zajął się zbieraniem i spisywaniem powieści i podań gminnych; — bo co kronikarze nasi popisali, to przestało być podaniem. — Jeszcze przed wyjściem Klechd, dziwnie młodocianą duszę moją zajmowały powiastki i przypowiastki piastunek i nianiek, które młodsze rodzeństwo moje opatrywały. — Pierwsze ballady Wielko-Polskie: „Brzoza Gryżyńska — Góra Poznańska", które Fr. Gr. Morawski w tak nadobną szatę poezyi przystroił, że im dziś nie wstyd pokazać się obok sióstr Świtezianek, Rusałek i Pani Twardowskiej; te ballady nieraz myśl moją wprowadzały z zamglonego świata Eneidy — nieraz mnie porywały z pośrodka bitew i szczęku oręża Iliady, a przenosiły na ojczyste, okwiecone łany, albo sadzały przy spokojnym kominie, gdzie nowe światy, ani Grekom, ani Rzymianom nieznane, odkrywałem. — Nauczyciele moi przyganiali mi nieraz, a mnie dusza rosła po swojemu. — Już wtedy niejeden

zamiar wpół-ciemny — niejeden wpół-widny pomysł ocknął się we mnie. — Wtem zjawiły się klechdy i rozjaśniły tę drogę, którą przeczuwałem. — Przecież nie puściłem się nią; — sam zrazu nie wiedziałem dla czego?... Kiedym ręką prawie dziecinną pierwszą moją powiastkę napisał, gniewałem się na nią, że mi nie wyglądała, jak oczy urocze, albo serce zajęcze. Tam się po niej i osób, i luda więcej kręciło — tam i mówiono więcej; — tam i ja się raz po raz między gadających wmieszałem — bo mi się zdało, że jestem cząstką tego obrazu — że i ja do powieści należę! Dla tego też zawsze się coś więcej napisało — niżelim słyszał od opowiadacza, zawsze się znalazły zmiany i dodatki. — To mnie zrazu nie pokoiło — nie wiedziałem, jak sobie począć? — Nuż dopiero, kiedym się lepiej rozpatrzył, poznałem przyczynę i dojrzałem różnicy między mojemi ramotkami, a klechdami. — P. Wojcicki spisał to, co słyszał—tak, jak słyszał — prawie słowo do słowa; — ja według własnego widzimisię opowiadałem, niby ów poeta-bajarz z pośród ludu; — pan Wojcicki jest historykiem, czyli raczej kronikarzem literatury gminnej, ja chciałem być jej cząstką żyjącą. — Czym sobie dobrze począł?... nie wiem! P. Wojcicki każde ziarnko poezyi, które w datku od kmieci odebrał, przyniósł wiernie do domu i nienaruszone oddał rodzinie swojej, a rodzina z wdzięcznością je przyjęła. — Jam te ziarna wyżebrane rzucił w grunt własnej duszy, a oto kiedy pierwsze kiełki puściły, pokazuję zasiew braci mojej i mówię: „jeśli Bóg da, to rozkwitnie i obrodzi!“ i czekam co na to powiedzą i jakiego zażądają rachunku?...

Bądź co bądź — mnie się zdaje, że nadszedł czas, gdzie rozdwojone siły moralne narodu złączyć się mają— gdzie nić myśli rodzimej snuć trzeba z rodzimego włókna — gdzie nasza literatura ustna przejść powinna w literaturę piśmienną; ale nie tak, aby to, co lud opowiada spisać czarno na białem, — bo lud nasz żyje, więc i płody jego nie obumarły, ale się mienią tym najpiękniejszym fenomenem życia, należy je przeto zamienić w krew i życie całego narodu.

Pojęcie literatury Słowiańsko-polskiej, równie, jak samo podanie o Bogunce, które nad Gopłem znalazłem, a w którem upatruję wiele zabytków pogaństwa;

były mi powodem, żem się w powieści mojej cofnął do czasów najbliższych Słowiańszczyzny. — Chcąc budować, trza począć od dołu. — Prócz tego tyle jest w starciu się pogaństwa z Chrystyanizmem poezyi, że nie pojmuję, jak dotąd żaden z poetów naszych nie zwrócił na to uwagi i talentu swego. — Rzym w owej epoce natchnął wieszcza Irydionem. —

Być może, iż kto zapyta, dla czegom powieść gminną, b a j k ę — przywiązał do czasu — dla czegom ją z historyą skojarzył?... Prawda, że to niebezpiecznie — że tem przerabianiem bajek na historyę zgrzeszyła większa część naszych kronikarzy; — niechaj przecież na ten zarzut odpowie jeden z najuczeńszych mężów naszego wieku — Pan Szafarzyk:

„Hlawnj a niecuhylna otázka zdet' genom ta gest: „mużeli prawdiwy degepis pauze na powestech národnjch „zakłádán byti? — Národnj podány a powesti, gsauli „puwodnj, staré, presné, werne dochowané, od ucenych „preljwacuw nozginacené, mohau owsem w gjste mjre „k woswetlenj a rozhognenj odginud, t. z. prjsne histo„rickych pramenuw wydobyté dege, gaprawné látky wy„borne poslauziti, g e l i k o ż n a m p r e d o ć i s t a w j „n a u c n y o b r a z w n i t r n j h o ż i w o t a n á r o d u, „g e h o s m y s l e n j a c j t e n j, z k r ó t k a, g e h o „d u s e w n i h o b y t o w a n j." —

Dalej powiada: „Tak saudjme, że kdyby Gallus a Ka„dłubek wsecky ty powestj a powjdky, z nichz tak pracne „ucenau tu proprawu k letnpisum swym slátali, byli wer„ne a presne, gakż ge od neyzpusobnegsich zpewcuw „swého casu prednaseti słyseli, slowo od slowa, w gazy„ku polském napsali, tjmby nám owsem byli pozustawili „neocenena pamatnost dusewnjho bytowánj Slaropo„lanuw."...

Skoroć więc powieść gminna jest obrazem wewnętrznego żywota narodu, jego myślenia — jego duchowego bytowania, jakżeż w powieści słowiańskiem powietrzem tchnącej, nie przenieść się w czasy słowiańskie?... Czyż godzi się z starego, pięknego obrazu — odrzucać równoczesną — bogatą ramę — przeto, że zakurzona?...

Stałych liczb — pewnej chronologji trzymać się tu nie można; — czasem okres całowieczny, zdarzenia długiemi laty rozdzielone — byle jednym charakterem, dą-

żeniem i jedną barwą naciągnięte, mogą służyć za tło krótkiej powieści — mogą się zbiedz i złączyć na jednym punkcie, — bo myśl ognistym łukiem przelatuje czasy, a długą przędzę narodowego rozumu może zwić na jedną chwilę. —

Również i w niniejszej powieści czas wyraźnie określony nie jest. — Poznać wszakże od razu, że przypada wkrótce po przyjęciu Chrześcijaństwa, a może nieco pierwej przed jego upadkiem po śmierci Mieczysława II-go. Jeszcze na ów czas pierwiastek pogański przeważał w Polsce niezawodnie; — lud bowiem, który najpóźniej ze wszystkich plemion słowiańskich chrzest przyjął, musiał namiętnie być przywiązany do wiary przodków — musiał kochać starych Bogów swoich — musiał tęsknić za niemi; — to też po półwiecznej tęsknocie wrócił na ich łono. — Tak zwane b u n t y po śmierci Mieczysława II-go, niczem innem nie są, jak z jednej strony ostateczną reakcyą pogaństwa naprzeciw Chrześcijanizmowi, a z drugiej, słowiańskiej wolności naprzeciw feudalizmu germańskiego.[1]) — Lud który wyrzynał panów swoich za to, że się starym Bogom przeniewierzyli, i g m i n o w ł a d z t w o słowiańskie przeinaczali, pamiętał przeszłość swoją i chciał jej powrotu. —

Na tem przeciwieństwie dwóch sprzecznych żywiołów oparłem powieść niniejszą; — przebija w niej i gminowładztwo i pogaństwo. Jest ona przeto o tyle tylko historyczną, o ile ducha czasu malować ma. — Czy go maluje?... nie wiem. Wszakże zbyteczną byłoby rzeczą uprzedzać czytelnika, z jak wielu trudnościami przychodzi walczyć piszącemu o pierwszych wiekach Piastoskich. — Nic nam prawie z tych czasów nie pozostało, jak: Boga-Rodzica i ślad kilku pieśni potłumaczonych przez kronikarzy. — Z tych kilku szczątków trzeba, jak Cuvier z jednego zęba cały szkielet przedpiśmiennych czasów odgadnąć i złożyć. — Z jakich źródeł czarpałem pokażą dalsze przypiski. Tu zaś uprzedzam tych wszystkich, którzy tylko w czasie niepogody i nudów —

---

[1]) Stosunek Polski z Włochami był więcej moralny — z resztą Europy germańskiej fizyczny; — ztąd język łaciński przemógł w literaturze — feudalizm w instytucyach. (R. B.)

tylko dla przyjemności i rozrywki literaturą się trudnią, aby książki tej wcale do rąk nie brali — bo nie znajdą w niej, ani pierwszej — ani drugiej!...

---

2) Języka łowieckiego, którego w tej powieści używam, nauczyłem się po części od starych myśliwych — po części ze starych książek łowieckich, jakiemi są: Myślistwo ptasze Matheusza Cygańskiego; — Polowanie z Ogary Jana z Ostroga; Gospodarstwo jezdeckie — łowieckie i rybne; — Haura skarbiec, abo skład ekonomii, etc., etc. Dzisiejszych dni pierwszy Hr. Dunin Borkowski zwrócił w pracach literackich uwagę na ten język udzielny i pierwsze poczynił kroki w zbieraniu ginących obrazów, przenośni i postaci mowy strzeleckiej. — U nas w Wielko-Polsce przetrzebiono i przekarczowano bory, zaprowadzono gospodarstwo leśne; — więcej może jest dzisiaj zwierzyny, ale polowania straciły przez to na poetyczności. — Trudno napotkać się ze strzelcem, który by przewróciwszy wiecheć w bucie umiał zaczarować fuzyą kompana, który by strzelał do Ś-tej komunii przybitej na Bożą mękę, który by dla tego nigdy nie chybiał, a bił wszelaką zwierzynę zawdy i wszędzie, choćby też wreszcie i w komin wypalił! Trudno już u nas o takiego strzelca; język łowiecki zapewne z grubszego poszedł w zapomnienie; — przecież ani wątpić, że i ta reszta pozostała jeszcze być musi obfita i piękna, kiedy Grimm przed niedawnym czasem zebrał pomiędzy Niemcami dwieście pięćdziesiąt przysłów i pomianów łowieckich, (Alt. Deut. Wälder. III, 3, 4, 5 — Waidsprüche und Jaeger-schreie), a Moeser powiada, że ich znał wyżej siedmiuset. — Język ten dziwnie jest piękny, poetyczny i rozmaity. — Myśliwi z tropu, czyli pąda poznawają nietylko gatunek, ale nawet płeć, wiek i tuszę zwierzęcia; — mają 70 przeszło znaków, któremi rozróżniają trop jeleni, a prawie na każdy z tych znaków osobne wyrażenie; — mają mnóstwo piosnek poczynających się zwykle od słów: „Dobry mój strzelcze, powiedz mi proszę“. — Tam w nich zachowany cały skarb nauk łowieckich. — Jest to wszystko niezawodnie i u nas; — wszak piękna piosnka: „Pojedziemy na łów, na łów“ — do najstarszych należy; — znam ja jedną jeszcze nie

mniej piękną: „już ponowa las okryła;“ to zaś, co z języka łowieckiego przytomne pamięci posiadam, umieszczę tutaj, jako dalszy ciąg rozpoczętej przez p. Hr. Borkowskiego, pracy. —

Pierwsi nasi myśliwi polowali z oszczepem i łukiem (patrz Gall. Lib. II. Cap. XI. XII.); — ale że wyrażenia ich oddawna w zapomnienie pójść musiały, więc i ja je opuszczam; a pocznę do wyliczania psów — bo pierwsza, a główna myśliwego rzecz pies. Jadąc do kniei pięciorgi rodzaj psów z sobą bierz; pierwszy ma być: Przejemca, który opowiada zająca, że był tam gdzie go przejął; drugi: Popadźca, abo Znaleźca, który umie zająca znaleść, taki czasem jest Zacieczca, (ciekawy); — trzeci jest Gońca, pies wietrzny, który popędzone zwierze goni ze wszystkiego skoku; — Wyprawca toż czyni co gońca, jedno co ten wiatrem i prędzej — to ten kopytem i leniwiej, ale się za to nigdy nie zniesie; — gońcy chodzą przodkiem — wyprawce pozad; Poprawca jest, który zwierze przypadnione umie poprawić. —

Wjechawszy w las, ozwij się trąbieniem zakładnem, a potem pocznij wywieranie. (puszczaj psy) Pójdą one wciąż, naprzód przedni psi na czoło ławą, jedni środkiem za samym pądem, drudzy jakoby na skrzydłach i po tę i po ową stronę na wiarę tych, którzy śladem idą, krzykiem też goniąc, choć sami o pądzie nie wiedzą. — Więc kiedy zwierz biegiem zakrzywi, ci co w tem skrzydle szli pojmą go wnet i puszczą za nim, na swoję opiekę pąda biorąc; — bo to nie rzadko bywa, że przednim psom zwierz zrzuci, a oni go nie obaczą i zniosą się. —

Również i wady psie są pięciorakie:

1) Zasadźca, który na przełaj przebiega knieję a przyczaiwszy się milczkiem chwyta zwierza. —
2) Wskopeczny, który wspak szuka, wracając po tropie do leżyska.
3) Postronny, co się śladu nie trzyma.
4) Zabawca, co długo gmyra upadłego.
5) Bydlarz, który spotkawszy bydło, albo owce rzuca się na nie! —

Są prócz tego inne jeszcze narowy; np. pies łgarz, który za staremi ślady w głos goni; ztąd przysł.: łże, jak

pies; przechyra, *wara* — *szaszek*, pies błazen, ladaco; ztąd przysł.: podjął się szaszek legawego pola — porwał się nie na swoje rzeczy. — Są także psy, które *gębą zarzynają* — zalewają się rosą; które *ukradają, przemykają* — kiedy po zwierzęciu idąc, milczkiem zbiegą. — Jedne psy gonią tropem — drugie wiatrem, trzecie kopytem; — a goniąc *brzechocą, grają, halają*, lub *łają*; dla tego sfora gończych nazywa się *złają*, — ztąd może: *złajał mnie!* — W złai są psy rozmaite, przeto *złajnik* jest pies mieszany; — *brzechun, brzesznik* — to kondel; — *kurcz, pokurcz*, gatunek kondla. — Od polowania i psów różne się przysłowia upowszechniły, np.: to mi *gracz!* — Wraca, jak pies do swego zrzutu — psa za lisa przedać— *psiego skoczyć*: (Boć niedługo czekać tego, że też zemną skoczysz psiego; Rej. Zw.); pochodzi także mnóstwo innych wyrazów, np. psota, psieć — psuć — zepsuć, etc. Widać, że język łowiecki był u nas bardzo rozpowszechniony, kiedy aż w potoczną mowę przeszedł.

I to wiedzieć nie zawadzi, że pies za każdą zwierzyną inaczej gra i odszczekuje; na niedźwiedzia idąc, wrzeszczy: tatuff, tatuff, tua, tau; — na wilka: tauff, tauff, tauff, ja jau, ja jau! etc. (Haur.).

Również i każdy gatunek zwierzyny ma swoje własne nazwiska; — główne dwa podziały są, na: gruby i mały zwierz; — gruby dzieli się na czarny i płowy zwierz. Musiano w Polsce przeplenić pola i lasy, kiedy w późniejszych czasach wyraz *zwierzyna* znaczył to samo, co osobliwość, raritas, np. Młynarz nieumączony — zwierzyna! Ryś. Adv. 41. — Bardzo u nas grosz *zwierzyna*. Rej. Zw. — Dziesięć dobrych — ach! *wielka zwierzyna*. Pot. Arg. 191.

Każdy zwierz ma swoje osobne legowisko, *obydle* — *stanowiscze, komysze*. (Przysł. a pójdziesz ty w *komysz!* — na stronę, w kąt).

Polowanie z sieciami całkiem u nas zarzucono, bo na zające sieci nie potrzeba; — szkoda byłoby jednak, aby nazwy sieci i techniczne wyrażenia zaginąć miały. Bóg nam może zdarzy polować w puszczach Białowieży, — to warto będzie pamiętać język łowiecki tych, co ostatni w tej puszczy polowali. — Hr. Dunin Borkowski nic o sieciach nie wspomniał. — Ja znam następujące: *obiętki*,

obierze, któremi się knieja obsadza; obierzwie, są powrozy u tej sieci; — pomyk jest siatka na ptaki, przysł.: na pomyku leży, na doręrdziu; poły dwoiste, zadzierzgi — szatry, na cietrzewie; polować z rarogiem, mówi się: szczwać pod pierzem; przysł. patrzy, jak raróg; — uronił z pierza — zmalał w dumie, i t. d. i t. d.

---

3) Chcąc ten ustęp zrozumieć, trzeba się cofnąć w czasy pogaństwa. Pan Maciejowski tak nam je w historyi Prawodawstw Słowiańskich opisuje: „Ludy Słowiańskie miały pierwiastkowo rząd z ich charakterem zgodny. — Możnaby go nazwać rodowo-gmino-władnym.— Przed Karpatami w całem znaczeniu tego wyrazu panowało gmino-władztwo i każdy orężem władnąć mogący był uczestnikiem obrad publicznych; zgromadzenia publiczne od tłumów ludu, naczelników rządu temi obradami kierujących, otaczającego, zwały się więcami. — Na takich to wiecach, czyli zjazdach naradzali się starożytni Słowianie o potrzebach kraju i ważniejsze spory prywatnych ludzi tu roztrząsano i załatwiano. — I w bliższych Chrześcijaństwa czasach, też same rządy były u Polaków, Czechów i Rusinów, a nawet za czasów Chrześcijańskich w gminowładztwie żyli Łużyczanie i Pomorzanie“.

Tym wiecom, zborom przewodniczyli Starostowie, Żupanie — Władycy czyli Włodarze (Włodzarze). Żupanie byli właściwie sędziami; — sądy ich zwały się roki; ztąd jeszcze dzisiaj w rzeczach sądowych używane słowo: odroczyć; — mieli oni w czasie urzędowania swego władzę nieograniczoną; — wybrani przez większość, siadali na wielkim kamieniu i rozpoczynali swe sądy. — Jeżeli winowajca nie chciał być wyrokowi posłuszny, karano go w też tropy na osobie, albo mu posiadłość palono (zob. Surowiecki). Mieli ci Żupanie osobny ubiór honorowy, który później dopiero rozpowszechnił się pomiędzy stanem rycerskim, zachowawszy nazwę pierwotną. — Że suknia ta nie przyszła do nas z Turcyi, jak mniema Kwartalnik naukowy Krakowski — a że wyraz żupan nie jest derywacyą z Tureckiego dzübe, jak mniemał Xżę. Ad. Czartoryski — dowodzi

najprzód to, co powiedział Porfirogenit: „Principes hi populi (Słowianie) habent nullos, praeter supanos, senes — et reipublicae formam servant;“ powtóre słowa Constantina: δ ζουπανος Σχλαβινιων εςθημα;“ — byli więc u Słowian urzędnicy żupanie i suknia żupan. —

Również Czacki powiada, że: „Dawanie sukni honorowej było zwyczajem na wschodzie — na północy — w Polsce i na południu“.

Tytuł Żupana przydawano jeszcze za czasów Chrześcijaństwa stanowi rycerskiemu, jak to widzieć można w Volum. leg., inne przecież do niego przywiązane było znaczenie. — Aż do ostatnich czasów był żupan wyłącznie tylko strojem samej szlachty.

Władykami zwali Czechowie jeszcze za Chrześcijaństwa przełożonych — władzę posiadających. —

Słowianie lud rolniczy i handlowy, chociaż nie skłonny do wojen zaczepnych, przecież w obronie swych swobód pospolicie inne przewyższał narody. — Odparłszy niebezpieczeństwo, spokojnie wracał do domu na ojczystą płusę. — Człowiek, który według potrzeby był rolnikiem, albo żołnierzem, nazywał się rataj; ztąd zapewne: rota, rata; rosyjskie pамb znaczy wojna, bój. — Później dopiero uorganizował się uprzywilejowany stan rycerski, a rataj został glebae adscriptus, i już od pługa nie śmiał ręki przenieść do korda. —

---

4) Skąd złe przyszło do Polski?...

Polska, pośrodkując między Azyą a Europą, staczała i stacza dziś jeszcze dwie walki potężne. — Zasłania cywilizacyę Europy od napływu dziczy Azyatyckiej, a z drugiej strony ściera się bez wypoczynku z pierwiastkiem szczepu germańskiego i zasłania od jego przewagi Słowiańszczyznę. — Rosya ochrzczona przez kościół grecki połączyła swe losy ze wschodem. Polska przyjąwszy Chrzest od Rzymu zawiązała stosunki z Europą. — A przeto walka Polski ze wschodem (z Rosyą) fizyczna — z Europą moralna. Czy obydwie z jednakiem prowadzone szczęściem?... Chrobry nad Bugiem bił Rusinów i szczerbił bramę w Kijowie, a z drugiej strony sojusze zawierał z Ottonem i księży z Rzymu sprowadzał. To też Polska odparła zbrojne napady wschodu, a go-

ścinnie przyjęła cywilizacyę zachodniej Europy, która rodzime, plemienne siły i zawiązki wykrzywiała i mitrężyła. — Gallus powiada o Polsce: „cum a tot supra dictis „gentibus et Christianis et gentilibus sit vallata, et a cun-„ctis insimul, et a singulis multociens impugnata, nun-„quam tamen ab ullo fuit penitus subju-„gata".

Prawda!... Polska niezwyciężona bronią ani Tatarów, ani Rosyi, zepsuciem wewnętrznem upadła. — Gdzie to zepsucie początek swój wzięło, napomknąłem w 1-szym przypis.: Lelewel dowodzi w Uwagach do Mateusza herbu Cholewa, że się ono wdzierało do nas z Niemiec — to samo powiadał uczony Prf. Wachler. — Przeciwią się ich zdaniom niektórzy. — Pan Wiśniewski w najnowszem dziele swojem (Historya Literatury) — twierdzi, że jedynie Rzym papieski paraliżował ciało społeczeńskie w Polsce. — Mnie się zaś widzi, że liturgia łacińska literaturę, a feudalizm germański instytucye słowiańskie, jeszcze na pewnym gruncie nie osiadłe podkopywały i niszczyły. — Nie wiem, czy w takich rzeczach wolno robić wnioski z podań i powieści ludu. — Przecież lud wie, co go boli; — niedarmo Wanda utonąć raczej wolała, niż losy swoje (Polski), oddać w ręce Niemca; — niedarmo dyabeł nasz, uosobiene zepsucie moralne w strój niemiecki się ubrał (zob. przyp. 12).

Poddaństwo i szlachectwo nie jest owocem prawodawstw słowiańsko-polskich — język nam pokazuje zkąd przyszło, (lenność — szarwarki, i t. d.). Nawet osławiona bajka o Chamie i Jafecie nie w Polsce się wylęgła. Hans Sachs, poeta Niemiecki, 1494 ur. z ojca krawca w Nyrembergu, napisał rozmowę między trzema osobami: mieszczaninem, chłopem, a szlachcicem, którą tu w tłómaczeniu umieszczam:

Scena w karczmie miejskiej; — chłop chce usiąść obok mieszczanina, mieszczanin go odpycha, mówiąc: „„Precz ztąd, niecnoto! — czy nie widzisz, że szlachcic nadchodzi?... czego tu chcesz pomiędzy nami?" Szlachcic: „„A ty tu co robisz, Toelp Fritz? czy nie masz karczmy we wsi, nie żebyś się tutaj mieszał pomiędzy mieszczanin?"" Mieszczanin: „Otóż to, co mu mówiłem rycerzu!" Chłop: „Czy chcecie wiedzieć, co sobie myślę w tej chwili?"" Szlachcic: „Mów, Toepl,

mów!" Chłop: „ „A oto — że ktoby wam z waszych chłopskich żył krew puścił — pewnieby was dwa razy śmierci nie wykupił!" " Szlachcic: „Słyszycie tego łotra! zrzucić go ze schodów!" Chłop: „ „Przynajmniej poczekajcie, aż skończę. — Adam, jak nam nasz proboszcz powiadał, był ojcem nasz wszystkich; — wszyscyśmy jego dziećmi!" " Szlachcic: „Tak, ale jest przecież dyabla różnica. Noe miał trzech synów;— pierwszy łotr i hultaj nazywał się Cham, i ten był chłopem. Od Sema zaś i Jafeta pochodzi ród szlachetny i mieszczan." Chłop: „Słyszałem ja to, ale prócz tego jeszcze i to słyszałem, że szlachectwo pochodzi z cnót, że dawniej szlachcic był opiekunem wdów i sierot, zasłaniał i bronił ubogich pielgrzymów. — Rycerzu, czy to także dzisiaj waszym jest zwyczajem?" " Szlachcic: „A powiedz mi jeno, czy to w dawnych czasach nie było waszym zwyczajem, was chłopów, żeście byli prości, a pobożni?... Dzisiaj z was złodzieje i łotry; — pysk macie wyprawny, a twardy, nie dacie się kierować, ani rządzić; — a przecież czemże ty jesteś?... szubrawcem — lecz ja?... jam sobie jest szlachcic z rodu. — Mam utrzymanie bez pracy — mam dochody, mam procenta!" Chłop. „ „Mam i ja coś — pracuję, orzę, sieję — młócę i żywię was!... Oj, znam ja wasze życie; — drzyć łyka, póki się dadzą" " — etc.

Czytując to, zdaje mi się, że słyszę dzisiejszego demokratę — człowieka postępu, malującego stan rycerski w Polsce i rozprawiającego o równości! W Niemczech już przed czterema wieki o tem samem gadano!...

---

5) Pokazuje się z Wyprawy Igora na Połowców, że był w Polsce, albo na Biało-Rusi, jakiś sławny śpiewak, poeta — nazwiskiem Bojan. — Później imię to własne przeszło w pospolite i oznaczało w ogólności śpiewaka. „Trudno jest Bojańskiemi słowy, bratnią krew przelewać;" — trudno jest w pieśni; etc. — Lud, który bohatyrstwo Chrobrego w cudzoziemskich obozach pieśniami czcił i uwielbiał; (zob. Paprocki pod tyt. Orzeł), lud który, króla swego, wracającego z zagranicy pieśniami witał (Kazimierza I), który smutną śmierć królowej swojej (Ludgardy) pieśniami opłakiwał, — który uroczy-

stości i obrządki, (Wesoła, Sobótki) pieśniami obchodził; — lud ten musiał być śpiewny i poetyczny — musiał mieć wielu śpiewców i poetów pomiędzy sobą i umiał ich szanować. — Później dopiero, kiedy z jednej strony wojny i napady Tatarów dobry byt jego niszczyły, a z drugiej szlachta wprzęgała go w jarzmo poddaństwa: wtedy dopiero stracił ochotę do śpiewania i zapomniał pieśni dawnych. — Tak literatura Słowiańsko-polska upadała pod wpływem wschodu i zachodu.

---

6) Niemcy pobici od Czedobora, brata Mieczysława I-go na polach Cydyńskich. Markgraf, Udo. Narusz. Hist. Pols. T. II. s. 41—43, Cydyni, miasto leżące nad Odrą, poniżej Głogowa — powyżej Wracławia.

---

7) Polabskie brzegi — Elby; — Choroby podbiciem Luzacyi rozszerzył granice Polski, aż po Elstrę czarną, rzeczkę wpadającą do Elby.

---

8) Wilcy, Lutycy. — Już Mieczysław wojował z nimi i oblegał ich miasto Braniborz; plemie to słowiańskie, wolało się raczej dać wytępić, niźli odstąpić wiary przodków i chrzest przyjąć. — Czyny wojenne Chrobrego, jego zwycięstwa musiały obudzić w narodzie ducha rycerskiego. — Potrzeba wojen wynosiła żołnierza nad kmiecia; — tak zwolna formował się stan rycerski, szlachta; — łagodne obyczaje staro-słowiańskie pozostały w tych tylko, którzy się pługa trzymali; — dla tego powiada Bojan: „Na jednej łące wół trawy patrzy a bocian żaby“.

---

9) Ranowskie ostrowie — Rugia, powyżej Lutyków; — tam miasto Arkona, (Orekunda), w którem świątynia i bałwan Światowita, od Danów 1168, zburzony. — Około tego czasu gotowali Rugianie wyprawę wojenną, jakkolwiek nie przeciw Polakom, ale w pomoc Niemcom przeciwko Lutykom. — Każde pokolenie słowiańskie miało swoje znaki narodowe, zwane satnice, albo zastawy, w potrzebąch noszone były przodem. —

Najsławniejsza satnica Światowida Arkońskiego, w kształcie rozpuszczonej chorągwi, noszącej wyobrażenie orła. — Skoro te wystawiono na widok, cały naród bez wyjątku porywał oręż i spieszył do boju. — Dittm. l. l.

---

10) Była Polska na ów czas zasobna i potężna. Do napisania tego ustępu podał mi myśl Gallus, który choć cudzoziemiec, słuchajmy jak o przybranej ojczyźnie mówi:

„Patria, ubi aër salubris, ager fertilis,
„silva melliflua, aqua piscosa,
„milites bellicosi, rustici laboriosi,
„equi durables, boves arabiles,
„vacee lactose, oves lanose."

„I był dobytek wszelaki, póki nam z obcej dzierżawy nie zazierano w zanadrza!"

---

11) Słowianie wierzyli wprawdzie w jednego Boga; ale mieli przytem mnóstwo bóstw z szczególnemi tylko artybutami; — mieli bożka domowego; — dziś jeszcze w niektórych miejscach chowa lud jeden kąt świetlicy w szczególniejszem poszanowaniu. Weles, Wełos, był bogiem pasterzów; Pogoda, bożkiem powietrza, i t. d. Według atrybutu miał każdy z tych Bożków miejsce, w którem przemieszkiwał; — były to uosobione siły natury; — póki im człowiek panować nie umiał, dopóty je ubóstwiał — bo czuł ich przewagę nad sobą. — Patrzając na historyę ludzkości, widzimy, jak człowiek wyzwalał się stopniowo z pod fatalnego wpływu natury. Wreszcie Chrześcijaństwo, wyzwoliwszy ducha, oddało mu całkowite zwycięstwo nad materyą.[1]) — Neptun np. stracił panowanie ponad morzami, bo okręt parowy nie pyta się czy cisza — czy burza — czy wiatr z tej, czy z owej strony zawiewa. — Potęga

[1]) Dziś jeszcze w Indyach, gdzie wegetacya tak jest bujna, iż gałąź jedna stanowi las cały, że żniwo trzy razy do roku sprzątają, że słoma w trzcinie 30-sto łokciową wyrasta; tam dziś jeszcze człowiek jest dziecięciem na łonie matki-natury, która wszechwładną ręką chłosta go, lub pieści dowolnie; — tam jedna nawałnica zamienia kraj cały w pustynią. (R. B.)

ducha — nauki, wiadomości rozczarowały przyrodę; — tajemne jej siły przemieniły się w konieczny skutek fizycznego i chemicznego działania; — cuda, czary i dziwa przystępne każdemu. Lud jednak rolniczy więcej, jak którykolwiek, ulega dziś jeszcze wpływom przyrodzenia; — zasiewy, żniwa — plony i sprzęty zawisły od deszczu, pogody, suszy — etc. etc. — Nie dziw, że lud dziś jeszcze zabobonny, — że u nas żywioły dziś jeszcze w zaczarowaniu zostają. — Ogień, powietrze — woda — światło — ziemia, pełne są cudów i żyjących istot; — w Krakowskiem palą Sobótki, jak się zdaje na cześć dawnego bóstwa; na Ukrainie jest gwiazda Latawiec, która fatalny wpływ wywiera na młode dziewczęta; są Rusałki krasne, jak tęcza — powiewne, lotne, jak wiatr stepowy; na Litwie Świtezianki, jak amfibie i pod wodą i na ziemi żyją, a zwodzą chłopców; — w Poznańskiem Bogunki i Topielce, — a Gopło corocznie haracz swój odbiera — corocznie ktoś w niem utonąć musi!... Zresztą nie masz pono jeziora, o którem by jakichś tajemnic nie opowiadano. — Są to niezawodnie szczątki słowiańskiego wielo-bóstwa. —Nawet duch złego, który się do ziemi przywiązał, dzisiejszy czart, bies, dyabeł, czatan — już zapewne w pogaństwie był znany; mieli Słowianie: Białoboha i Czarnoboha; a chociaż wyobrażenie i pojęcie jego całkiem się przeinaczyło — to jednak dyabeł nasz różni się fizyonomią i charakterem od innych. Średnie wieki wyobrażały go sobie, jako poczwarę z ogromną głową, osadzoną na cieniuchnej szyi — z krogulczemi pazury — z rogami — z płomienistym oddechem, z długim ogonem; — u nas przeciwnie była to zawdy sztuczka pocieszna — mała figurka — kuso ubrana, w stosowanym kapeluszu — z harcapem — istny Niemczyk. — Niesłusznie przecież powiada pan Kraszewski w książeczce do zapalania fajek, „że jak wszystko, tak i dyabła wzięliśmy z zagranicy (z Niemiec), że nie mamy dyabła narodowego w kontuszu i żupanie". — Są u nas i tacy dyabli kontuszowi od korda, bo i oni złe broili, i oni czyhali na zgubę ludu; — jest np. Boruta, Wideracki, Zamurek, etc.[1]); ale chociażby ich nie było, jeszczeby ów

---

[1]) Ci djabli są tylko prowincyonalni. (R. B.)

dyabeł-Niemczyk, na całą Polskę powszechny i znany, jeszcze byłby czysto-narodowym, właśnie dla tego, że Niemiec!

Twory i płody gminu nie są dziełem sztuki, ale są logicznym skutkiem zdarzeń i wypadków dziejowych; historya zawdy jest ich matką, chociaż częstokroć jednego nawet rysu swej fizyonomii nie zostawia na twarzy dzieci swoich. — Lud nie ma wyobraźni indywidualnej-dowolnej; — wyobraźnia ludu jest tylko zwierciadłem czasu; obraz jaki się w niem odbije, mógł tylko być ten, a nie inny!...

Nie mógł się też dyabeł nasz ubrać inaczej, jak po niemiecku. — Lud wie najlepiej, co go boli! W gminowładztwie słowiańskiem zamożny i szczęśliwy; „Lechitae nullum regem seu principem inter se, tanquam fratres ab uno patre orti, habentes;“ (Boguchwał. T. II. k. 20. Sommersberga zbiór), kiedy się przez przyjęcie Chrześcijaństwa zetknął z zachodnią Europą, a stan rycerski osadzając się na przywilejach — wyzuwać go począł ze starych swobód; — lud od razu poznał zkąd złe przychodzi i od razu zapisał to w księdze dziejów swoich, a zapisał pod figurą — stworzył dyabła! — Jest on przeto płodem rodzimej siły ducha narodowego — a nie jest żywcem wzięty od Niemców, jak mniema p. Kraszewski. — Dyabeł niemiecki inną ma wcale naturę. — Równie jak u nas jest uosobieniem zepsucia, ale to zepsucie płynie Niemcom cale z innego źródła. — Do nas przyszło z zewnątrz, więc też szaty swojskiej nie ma. — Niemcy przeciwnie dojrzeli je w drzeniu własnego łona i poczęli nad sobą rozmyślać. Ztąd też dyabeł niemiecki, jak wszyscy Niemcy, jest mistykiem i filozofem. — A że filozofia i moralność niemiecka, (umysł i serce) strasznie rozmazane, gęste i ciężkie — to też utwory ich wyobraźni muszą dźwigać u nóg owe potężne kamienie filozoficzne, z któremi nawet Mefistofelesowi Göthego tak trudno chodzić po ziemi. — Klingera i Klingemanna dyabeł jeszcze ociężalszy, wygląda, jak automat kulejący na scenie. — Klopsztoka Urian różni się od reszty — ale się nie różni od charekteru Niemców. — Jest to Anioł upadły, któremu ogień piekielny porządnie skrzydełka osmalił, a któremu strasznie tęskno do nieba, więc sentymentalnie wyrzeka

i niezmiernie długo deklamuje! — Nasz dyabeł, wbrew niemieckiemu, nigdy nie wyrzeka, nigdy nie deklamuje— filozofią sobie głowy nie łamie! Był i jest fircykiem, na lekkich, kurzych stopkach — zwinny, obrotny; ogon chowa w pantalony — różki pod kapelusz stosowany; figle płata i wyrządza psoty; — mniej umie szkodzić — bo go chłop nasz zawdy w pole wywiedzie; — i w tem jest charakter narodowy, a może i wieszcze przeczucie, że w końcu zwyciężym to złe historyczne!

Gdyby kto napisał powszechną historyą dyabłów — niemałą by położył zasługę, względem Etyki ludów. — Najstarszy w tej historyi, a najspolitszy dzisiaj, byłby naturalnie ów wąż podstępny, który pierwszą kobietę uwiódł w raju, a który dziś jeszcze niejednego Adama na rogala wystrychnie! Exorta na niego ma być bardzo pospolita!... Lecz słowa te: transeant cum aliis... Wracam do duchów, które nietylko w powietrzu i na ziemi naszej, ale nawet pod ziemią się błąkają. — O tej podziemnej literaturze naszego ludu, nikt jeszcze dotąd nie wspomniał. —

Od Sandomierskich górników słyszałem powiastki o Skarbniku, który jest opiekunem wszystkich kruszców rozlanych w ziemi Polskiej; — jest on w rodzaju gnomów dobroczynnych. — W tej powiastce maluje się cały charakter duszy ludzkiej. — Człowiek walczyć musi w jaki bądź sposób!... Jeżeli nie ma zbyt twardych przeciwności materyalnych, jeżeli fizyczne potrzeby przy lekkiej pracy zaspokoić może, wtedy rodzi się w nim przeciwieństwo moralne; — ztąd na ziemi prześladuje człowieka szkodliwy duch złego. — Pod ziemią na odwet ściera się górnik ustawicznie z grubą materyą, — ciężką praca zaledwie skromnie utrzymać się zdoła, więc w tworach wyobraźni szuka dla siebie pociechy. — To też Skarbnik jest dobrotliwym opiekunem człowieka pracującego w kopalniach. — Nieraz w górniczej kurcie przychodzi do szybu, ażeby znużonych robotników wyręczyć;—wtedy najbliżej stojący podaje mu świecę zapaloną na kilofie (motyce); — trzeba bowiem wiedzieć, że górnik bez światła, to niby żeglarz bez gwiazd. — Skarbnik dobrze przyjęty łupie za trzech i za trzech szlepuje, odkrywa najobfitsze żyły i najpro-

stszą drogę z szybu do szybu wycina; — w przeciwnym razie mści się na winowajcy. — Raz go jakiś górnik nie przyjął na nocleg do szałasu; za to Skarbnik nazajutrz w szybie obłąkał, a wodząc po wszystkich górach polskich, najszczerniejsze pokazywał mu kruszce; — tam karń srebra leżała o b ł a z g i e m, a tam czyste złoto strumieniem się lało. — Górnik na samem oglądaniu tych skarbów stranowił lat 50; — ale mu ten długi czas minął, jak jeden dzień, a najwięcej jak dwa! Powrócił wreszcie na ziemię i cuda o tej podziemnej wędrówce opowiadał, — chciał nawet p r z e w o d n i k ó w naprowadzić na owe kruszce szlachetne, nikogo jednakże z dawnych znajomych nie znalazł, wszyscy już byli wymarli; — od żyjących zaś uważany był za oszusta, lub waryata; — jakoż istotnie po niedługim czasie rozum mu się z wielkiego żalu pomięszał, a kruszców nikt dotąd nie odkrył: „S ą w n a s z e j z i e m i s k a r b y, c o c z e k a j ą k i l o f a i o k s z y!“ powiada górnik Sandomierski, a ja za nim powtarzam: „Są!“ i cieszę się tą samą, co on nadzieją, że je może odkryjemy! —

Ówże S k a r b n i k zalał O l k u s z za karę, że górnicy olkuscy chcieli jasną górę podkopać. — W tem podaniu nie wypaczyła się prawda historyczna! — Najmilszem S k a r b n i k a mieszkaniem są jakieś góry w Szląsku, zapomniałem które. — Górnik przecież Sandomierski zawdy powiada, że Skarbnik jest gór p o l s k i c h opiekunem. Otóż to silna spójnia, która w pamięci ludu dziś jeszcze łączy Szląsk z Polską, jak gdyby od śmierci Krzywoustego żaden podział nie rozerwał ziemi ojczystej!...

„When granite moulders and when records fail,
„A peasant's plaint prolongs his dubious date
„Pride! bend thine eye from heaven to thine estate,
„See how the Mighty schrink into a song!
„Can Volume, Pillar, Pille preserve thee great?
„Or must thou trust Tradition's simple tongue,
„When Flattery sleeps with thee, and History does thee wrong?“

. . . . . *Byron*, Childe Harold.

„ . . souvent les fables du peuple font la verité du poëte...

*Victor Hugo.* —

12) W Raciborzu była świątynia Krasopani. — (Wenery) zob. Narusz.

---

13) Pierwsze zawiązki społeczeństwa ludzkiego składały się z myśliwych — pasterzy — rolników — z których niezadługo rozwinął się stan trzeci, rycerzy. — Powieść przeto o trzech braciach: łowcu — pasterzu i wojaku, jest mi niejako rękojmią, że całe to podanie dalekich sięga czasów i że pewnie w Słowiańszczyźnie początek swój wzięło.

---

14) Rady swoje, zbory i sądy odprawiali Słowianie zwykle przy wielkich kamieniach. (Surow. na kształt Atheńskiego Areopagu, ἡ ἐν Ἀρείῳ πάγῳ βουλή — niejako sąd wojenny u skały Aresa). Również zawierając pokój, albo godząc się z nieprzyjacielem, rzucali kamień do wody, na znak, że jak ów kamień w wodzie, tak odtąd wszystkie urazy zatonąć mają w zapomnieniu;—ztąd zapewne przysł. utonął, jak kamień w wodzie!

---

15) Przemowa ta o Bogu wszech-twórcy nie jest wcale przesadzona, ani zbyt chrześcijańska na owe czasy pogaństwa; — podobne wyobrażenia i odezwy znajdujemy często u bałwochwalczych Słowian; — tak np. kiedy Wołogostanie zaodrzańscy chcieli chrzest przyjmować, przebrany kapłan za Boga Herowida w te się do nich odezwał słowa: „Ja pola okrywam urodzajami, drzewa zdobię w gałęzie i liście...płody ziemi, rośliny — płody zwierząt i to wszystko, co żyje, w moim jest ręku“ i t. d. — (Anonym v. s. Ott. 1. 3. c. 5).

---

16) Że Słowianie w nieśmiertelność dusz wierzyli, widzimy z obrządków pogrzebowych; — palili, lub grzebali ze zmarłym najmilsze mu przedmioty za życia. — Twierdzi nawet, że po śmierci zobaczą się z rodzicami, braćmi — krewnymi; — i tak Żmudzini pijąc do umar-

łego mówili: „miły przyjacielu i czemuś umarł?... a wszak masz swoją ładę — dziatki, i bydło i dostatek; — a racz na onym świecie pozdrowić ich przyjaciół — ojce, matki — bracia, etc. (Strykowski). Nie wszyscy jednakże dostawali się na on świat szczęśliwy; — ci którzy źle żyli i źle pomarli, byli jako chmury pomiędzy niebem a ziemią — wskazani na tułaczkę; ztąd wyobrażenie duchów trapiących i obcujących z żyjącemi (upiory — incubi — Jan Potocki). — I to mnie wprowadziło na wniosek, że podanie niniejsze o bratobójcach potępionych ma za podstawę Słowiańskie pogaństwo. — Jeżeli by się na ten wniosek zgodzono, upadłoby mniemanie p. Kownackiego, kompilatora Długosza, który twierdzi, iż pierwsze tego kronikarza księgi, nie przez niego, ale nierównie dawniej napisane są przez jakiegoś poganina, a to z tej przyczyny, iż w nich zbrodnicze zamachy Zbigniewa na życie brata, usprawiedliwienie znajdują. — Nie zgadza się z łagodnym i spokojnym charakterem rolniczych Słowian, aby mieli uważać zemstę dokonaną bratobójstwem za cnotę!

---

17) „Wici były ognie zapalone, któremi uwiadomiali siebie naczelnicy o obrocie nieprzyjaciół, i te sznury restes, w smole obwinięte, mogły służyć za dawane znaki. — Po obwieszczeniach na piśmie to imię zostało, jak pamiątka dawnego zwyczaju“. — (Czacki, o Litew i Pol. pr. 229). Bielski zasie powiada na k. 251: „Listy królewskie na wojnę, że dawniej do wici (żerdzi) przywiązywane były, wiciami dziś jeszcze zowią“. Pierwszy jednakże sposób zapalania ogniów, zdaje się nierównie starszy. — Każda wyprawa oznajmiona była trojakiemi wiciami. — W pierwszych i wtórych nakazywano gotowość — trzeciemi oznajmiano miejsce i czas zjazdu; — ztąd stare przysł. jeszcze nie wyszły trzecie wici, (klamka jeszcze nie zapadła); wojna bez wici — (ni w pięć, ni w dziewięć); na trzecie wici mu przyszło, i t. d.

---

18) Bogunka nadgoplańska jest rodzajem ducha żywiołowego. — Wyobrażenie takiego ducha, zaklętego

w postać kobiety, z którem się łączy wyobrażenie o przechodzenie dusz — rozciąga się przez całą dzisiejszą Słowiańszczyznę. — Jest u Serbów, tak często w pieśniach wspominana Wila (Βηλα) — piękna i młoda — o długim, rozpuszczonym włosie — w lekkiej białej szacie. — Podanie szczególny jej charakter i własności przypisuje; — szkodliwa i dobroczynna zarazem — wspiera nieraz i pociesza kochanków, np. w tej pieśni:

„Jelen pase po zagorij trawu, w której pociesza kochanka po stracie dziewczyny; — albo w tej:

„Kita pade medna rosa u polu,
Zabrinu se mlada moma u dworu;
„ „ Pokisnutje moje drago u polju:
„ „ Na njemu je mormenewit dolama,
„ „ Pod dolamom od kadiwe djeszerma,
„ „ Pod djeżermom od erira koszulja;
„ „ Nje drima zlatan saat s bazima;
„ „ Pod njime je dobar konjisz nejaan!" "

Al gowori b'jela Wila iz gore
„ Musz, ne boj se, Mlada moma u dworu;
„ Raspela sam sbilen szador u polju,
„ Pod szadorom twoje drago zaspalo;
„ Pokrilo se od samura tjurdijom,
„ A po glawi sa zlatjenom maramom."

Obok tej dobroczynności mściwą jest, a nawet niewinnych prześladuje. Wiara ludu przypisuje jej władzę prawie nieograniczoną; jest ona wieszczką — zna się na ziołach skutecznych — rozkazuje żywiołom; w jednej z Serbskich pieśni czytałem: Nit sam Wila, da zbijam ohlake — (co zbija, gromadzi obłoki). Piękność jej i cudowność dała do wielu porównań powód. — Wyobraźnia Serbów zaludnia tą powietrzną istotą góry, skały i lasy; widzieć ją można tańczącą w licznym orszaku po nad wodami rzek i jezior. — Kiedy jej kto zawini, ustrzeli go (ustrijele ga Wila) w rękę, albo w nogę, albo w obie nogi i obie ręce — albo w serce. — Wyobrażenia naszego ludu o postrzałach, zastrzałach i urokach, dziwnie się z wyobrażeniami Serbów poplątały i zdają się głębokiej sięgać Słowiańszczyzny. — Natura i charakter Bogunki tak jest z ich Wilą spokrewniony, że im niepodobna wspólnego źródła odmówić.

Są to dwie siostry rodzone — córki jednejże matki —

słowiańszczyzny; trzecia ich siostra u Czechów się przechowuje — pod innem wprawdzie imieniem, ale tej samej natury. —

Fr. Cielanowski mówi: „Starodawne imię Wila, u innych Słowian dziś jeszcze znane — dawno poszło w zapomnienie u naszego narodu; — aczkolwiek i u nas znana jest Wila, przybrawszy nazwę L e ś n e j  p a n n y. — W prostonarodnych śpiewkach i powiastkach różnie się o l e ś n e j  p a n n i e napotyka. — Powiadają między innemi, że w noc przed Św. Janem największą ma władzę nad człowiekiem; a przeto nieradzi wydalają się w tej dobie — zwłaszcza młode parobczaki na pole, albo do lasu."

Wuk Stefanowicz i Fr. Cielakowski dowodzą, że L e ś n a  p a n n a  i  W i l a są zabytkiem mytologii Starosłowiańskiej; — a że B o g u n k a nadgoplańska tak ściśle z niemi jest spokrewniona, więc i jej początek, aż do tych dalekich czasów odniosłem i dla tego całą prawie powieść o Bogunce na Słowiańszczyźnie oparłem — powodowany nie osobistem widzimisię, ale osnową i duchem przedmiotu. — Jeźli Bóg da — pójdę raz jeszcze nad Gopło, a dokończywszy zbioru powieści i pieśni, między któremi znajdują się ułamki o Bogunce — nie omieszkam udzielić ich publiczności w pierwotnej — starej szacie. —

---

19) We wsi Warzymowie — w sadzie przytykającym prawie do jeziora Gopła — jest kępa niewiele nad poziom wzniesiona; — tu miał stać, według powieści ludu, zamek obronny z wieżą podobną do Kruszwickiej, — z którego dzisiaj nic więcej nie pozostało, jak zamglone podania o sklepach i lochach, mieszczących w sobie nieprzeliczone skarby. — Byli wprawdzie tacy, co te lochy rozkopać chcieli, nigdy jednakże rozpoczętego dzieła dokonać nie mogli. — Niewidzialna ręka zasypywała w nocy to, co we dnie zrobiono. Niektórzy widują także czasami psa czarnego, który się po kępie i po brzegach jeziora tuła. — O podobnymże psie strzegącym skarbów ukrytych, słyszałem w Kruszwicy. — Jest tam dziś jesz-

cze podanie o Popielu, którego myszy zjadły za to, że nie szanując własnej matki, zabił ją podstępnie. — Podanie to za prawdziwe, lub bajeczne poczyta, wedle tego, jak je sobie kto wytłómaczy!...

„Może niejeden zawoła — cóż są gminne dzieje?...
„Popiół, w którym zaledwie iskra prawdy tleje;
„Hieroglif mchem zarosły, zdobiący kamienie;
„Napis, w którym spowite usnęło znaczenie;
„Odgłos sławy wiejący przez lat oceany,
„Odbity o wypadki, o kłamstwa złamany,
„Godzien śmiechu uczonych: — lecz nim się zaśmieje,
„Niechaj powie uczony, czem są wszystkie dzieje?...

*A. Mickiewicz.*

# SPIS WYRAZÓW

**przestarzałych, albo zapomnianych, użytych w „Bogunce“,**

**według R. BERWIŃSKIEGO.**

*Birkut,* rodzaj sokoła — orła Tatarskiego (Lämmergeier), pióra tego ptaka przyprawiano do strzał. które miały tę własność, że zmieszana z drugiemi w kołczanie, wszystkie inne pióra postrzygły; — strzały birkutskie były najlepsze.
*bierzwa,* bierzma kloc, pień, tram.
*barzego,* stary przymiotnik barzy, używany był w znaczeniu skory, prędki, np. barzy koń; — na barzego wsadzić, znaczy: na hardą — podymać kogoś; „Nowina o śmierci królewskiej tak nieprzyjaciela na barzego wsadziła, że na kondycye pozwalać nie chciał. Biel. 718. Z barzego złożyć — upokorzyć.
*brząkać* kim, dokazywać sobie nad kim, zapewne od brząkania pieniędzmi.
*brodnia* sieć na ryby.
*bróżcem na bakier;* — ferezyą, albo kontusz bróżcem zawiesić znaczyło: nie mieć ich na rękawy, ale bokiem zawieszone; — ztąd obszycie na spodzie sukien białogłowskich (falbana): broszcz, brożec.
*brynda* igraszka, fraszka, zabawa.
*burta* wróżba, wróżenie; — burtnik, wróżbita.
*brzechwa,* strzała bez żeleźca — prawie to samo co wereszka z przyłamanym płoszczykiem. „Jeżeli łuk nietęgi — strzała jeżeli wereszka, trudno jej niebieskie kręgi przeszyć. Potocki.
*brzeszczot,* sama głownia pałasza nieoprawna.
*Chester,* hester — koń rasy pośledniejszej; na odpór hestrowi stoi ciekun, badawia, koń wyścigowy.

*chodnik* miejsce chodzenia, ganek; równie w ogrodzie, jak w domu — dzisiejsza promenada.
*chromina,* chata ugoga — z pniaków i chrostu stawiona.
*ćma* jedno z najstarszych słów, wiele miało znaczeń; naprzód: ciemność — potem tłum, chmurę, chmarę zaciemniającą; — rosyjskie zaś cma wprowadza na domysł, że Słowianie mieli osobne słowa do oznaczania liczb pewnych, oznacza bowiem dziesięć tysięcy; jakoż Budny używa tego słowa ćma ściśle za greckie μυριας, t. j. 10,000.
*cudzić* konia, czyścić, chędożyć.
*czamka,* czanka — drążek u munsztuka, który się składa z czanek, z wędzidła i podbródka.
*czerwo,* czerewo, ciało (cadaver).
*czuryłowiec,* czuryło, chłystek — waryat; czuryłowem jeżdżeniem nazywali starzy polacy jeżdżenie, które nie było kawalkatorską sztuką — ale ladajakiem, waryackiem; — kawalkator był ujeżdzacz koni.
*Dziewięciosił* mocarz wielki — olbrzym, olbrzym (Briareus Hippocentaurus), Łomilas — Dziewięćsił, dziewiosił jest także ziele w ogrodach rosnące; inula Helenium.
*debrze,* dolina między górami, obrosła drzewem, oblana wodą.
*domra,* stary instrument muzyczny, zdaje się strunowy.
*dośpiać,* słowo dziś całkiem prawie zapomniane, znaczy: dojrzeć, dożrzeć — dorość — zdążyć; od niego pochodzą: dospiech, dospieszać, podążać, zob. Wyprawę Igora na Połowców. Tł. Bielowski.
*drzewiej,* pręcej, rychlej.
*Gęśl,* instrument stary ze strunami, rodzaj liry; — miał on trzy struny, jak to w Górnickiego Dworzaninie widać: „Łacniej na gęśli dwie stronie naciągnąć, niż trzy, żeby się z sobą zgadzały“.
*giermak,* suknia wierzchnia, długa po kostki, zwyczajnie z czarnego sukna — podobna krojem do kieski, którą dziś jeszcze chłopi polscy noszą.
*gościniec,* użyte na tem miejscu nie w zwykłem znaczeniu karczmy, albo drogi bitej — ale w znaczeniu podarunku, jaki Polacy za gościnę gospodarzowi dawali.

*Haistr* — hajstra, ptak żyjący połowem ryb, jak czaple — po rzekach i jeziorach polskich.
*hester* — zob. chester.
*Jak miarz* — bez mała, prawie nie, ledwie — tylko co.—
*inochód* — pewien bieg konia prędszy od kłusa.
*iście* — niewątpliwie; ztąd iścizna, rzetelność, ista *prawda*.
*juniec* — młody buchaj, stadniczek.
*Kapica* — kaptur; — kaniasta kapica, szeroka, rozczapierzona.
*Kurata* — łodyga.
*kaplerz* — obojczyk — naramiennik, ztąd zapewne szkaplerz.
*Karwasz* — krótka szabla — znaczy też rękawicę rycerską, używaną w pojedynkach.
*Kon* — to samo co kontyna, wyraz z mitologii słowiańskiej oznaczający świątynię, miejsce poświęcone;— zakon pewnie od niego pochodzi. zob. Surowieckiego: O Słowiańszczyźnie.
*kobielić się* — garbić się.
*komonnik* — poczet konny — kawalerya — komonnikiem nieprzyjacielowi pójść w oczy, — jazdą na niego uderzyć; — komonnik znaczy także pojedyńczego rycerza.
*komośliwy* — przym. od komosić, gniewać, rozbestwiać, zwłaszcza o koniach.
*komysze* — gęstwina, chrósty — szczególniej w języku łowieckim.
*kopieniak* — opończa, suknia od deszczu.
*krysacz* — rębacz, siepacz.
*kurdesz* — stare hasło przy pijatykach; — co znaczyło, zkąd poszło — nie wiem.
*kurny* — adj. kurna chata, w której niema komina — tylko ognisko na środku, a dla dymu otwór w dachu; — dziś jeszcze pełno takich chat na Litwie;— początkowo wszystkie chaty w Polsce były kurne, więc zapewne i Słowianie innych nie znali.
*Łączyszcze*, część łuku — tam, gdzie się strzała nakłada.
*Łoński*, łońszczak — przeszłoroczny, zwykle o bydle.
*Maisz*, maiż — pierwotnie młody sokół — raróg, poczynający pole; — w przenośni: każdy młodzik, wyrostek niedoświadczony.

*Majdan* dwa ma znaczenia: miejsce wykarczowane wśród lasu, już od starożytnych Słowian w tem znaczeniu używany. — Powtóre: ta środkowa część, w której się łuk trzyma.
*marcha* — mierzyna — parepa, hetka, licha szkapa.
*miecielica,* zawierucha — burza.
*miedza,* na miedzy sieść komu — odnieść nad kim podwójną korzyść; — podobnie jak: chować się w czyje kopce — na dwóch stołkach siedzieć — we dwoje młócić.
*Marchołt* — upiór, straszydło nocne.
*Naroki,* w języku łowieckim znaczy: skrzydła — loty, lotki; — zwyczajnie narokiem tyle, co nazierkiem — z ubocza patrzyć, z podełba.
*ni* przez ni zacz; ni przeto, ni za to — bez przyczyny; — tak samo: przezacz — z jakiej przyczyny?...
*naczołem,* przodkiem, na czele; używane także w języku łowieckim o psach, którzy idą przodkiem, czyli ławą.
*nierzkąc* — nie rzekąc — nie mówiąc; cóż cóż dopiero, np. ani spojrzy na nią, nierzkąc, aby ją miał powitać.
*ni,* w starych książkach używane często w znaczeniu: niby, jak — przy porównaniach.
*Obiata,* ofiara, jeszcze z czasów pogańskiej słowiańszczyzny — jak się to z porównania narzeczów pokazuje. — Surowiecki mówi, że Słowianie wielką obiatę przynosili Bogom swoim w czasie południa, ztąd może obiad, obiadować.
*obierz,* zdobycz — łup; — zapewne przenośnie wzięte z języka łowieckiego, w którym obierz tyle znaczy, co sprzęt myśliwski sieci; np. „on cię z łowieckich obierzy wyzuje". Kochn. Psalm.
*obydle,* mieszkanie, schronienie, leżysko grubego zwierza.
*oksza,* siekiera, tapór.
*ostrzęże,* ostrzęże ciernie, tarnina ostra.
*oszajca,* stary wyraz — tyle co dziedzic, oszajczyzna, własność.
*otrok* — parobczak prosty, czasem nawet niewolnik — późniejszemi czasy — poddany.
*ociętny,* uparty.
*Palcat* — maczuga — pałka sękowata.

*Parepta,* zob. marcha.
*Pawęż,* tarcz podłużna u pieszych, pawężnik — rycerz.
*patok* — tak samo, jak w rosyjskim znaczy: miód płynny do picia.
*pątnik* — wędrowiec, pielgrzym; — put, droga, gościniec — po czesku: pautnik.
*plemiennik,* w pierwotnem znaczeniu: syn, potomek; — później w innych zwłaszcza narzeczach: familiant — pan z panów, patrycyusz, szlachcic.
*pole* — własnem polem gonić, przeno: z myśl. znaczy na swoją rękę — dowodzić.—Czarne pole—1) tam gdzie się na grubą, czyli czarną zwierzynę poluje; 2) pobojowisko; — ztąd: wyjeżdżać na czarne pole — na wojnę. —
*pomian,* dwa znaczenia: hasło i echo. — Dla czegóż, kiedy tak dobitnie naturę rzeczy maluje — nie używamy go, zwłaszcza w tem drugiem znaczeniu, kiedy echo jest słowem greckiem, nie polskiem?
*połonić,* przemódz, zwalczyć.
*poręcznik,* jest ten, który z kimś zakład zrobił; bo iść po ręku, znaczy: zakładać się; a iść na rękę, pojedynkować się.
*przedsobkiem* — przodem, naprzód; — posobicą idą, gęsiego.
*praszcze* — rózga — w przen. cierpienie.
*przeziernik;* okno — czyli wyględy, jak lud nasz w jednej z najstarszych swych pieśni na śmierć Ludgardy ułożonej, powiada: Błoniąste przezierniki;— nim się szkło rozpowszechniło zaprawiano okna błonami, pęcherzami, a to nawet po zamkach.
*przezacz* — patrz ni przez, ni zacz.
*przezroczyszcze* — szkło.
*Raróg,* sokół nałożony do polowania na ptaki; chcąc go z tej sztuki nauczyć, odbierano mu najprzód rozum, przez to, że mu przez niejaki czas spać nie dano; — ztąd: patrzy jak raróg — jak głupiec obrany z rozumu.
*rechot,* fosa, rów opasujący zamki.
*rędzinny,* żyzny, urodzajny.
*rozokiem,* zezem na kogo patrzeć.
*roztasować* szatry — rozbić namioty; techniczne wyrażenie; — ztąd: nieprzyjaciel się roztasował po całym kraju, rozgościł.

*rozwydrzeć* — rozbestwić się, rozpuścić na wszystko.
*rubiesz,* granica, rubieszyć, graniczyć; — nie należy brać za jedno z rubież — grabież, rabunek.
*ryść,* prędki bieg konia — kłus.
*Samura,* w języku łow. dzika maciora.
*szampierz,* rywal — współzalotnik.
*szater,* namiot, — pilnować szatrów, być wojakiem — choć szatra nie koniecznie w znaczeniu wojennego namiotu; np. Cóż my mamy? — Ot te szatry, które grodzą cztery wiatry. Kniaź. Cygan.
*szatrzyć,* z czesk. tatrać, baczyć — patrzyć.
*szełom,* kołpak, przyłbica.
*szłyk,* czapka wysoka, zwykle barania.
*szczyt,* w pierwotnem i najstarszeem znaczeniu: kołpak —później w przen.: obrona; np. to jest nasz ostateczny szczyt, Rej; — ztąd: szczycić się, zakrywać się ku obronie. Później dopiero, kiedy zbroję noszono tylko od parady — zaczęto też słowa szczycić się, używać w odpowiedniem znaczeniu, zwłaszcza kiedy się dudek stroił w pawie piórka, — kiedy nie mając zasług przechwalał się z czem. Tak to język mieni się skutkiem okoliczności.
*szawina* — zielsko niepłodne, miotła.
*szaszek,* pierwotnie w jęz. łow.: pies ladajaki.
*szerchlowaty,* z długim, kędzierzawym włosem.
*siekiel* — koń dobrej rasy.
*skot* -- trzoda rogatego bydła — ztąd: skotarz — skotopas — skotnik, kręta drożyna, wygon.
*spachaczem iść* — cofać się; spachaczem przyjechać— wrócić.
*stręt,* w jęz. łow. siatka na ptaki w przen.: na stręcie, na pogotowiu, pod ręką.
*siewierny,* adj. od rzecz Siewier, wiatr północny; — widać, że polacy mieli osobne nazwiska wiatrów;— na Gople dziś jeszcze rybacy dawają im osobne nazwiska są one przecież tylko miejscowe; — mają oni, podobnie, jak Flisy na Wiśle udzielny swój język rybacki; np. starej wody dostawać — głęboko wiosłem zagarniać — starą wodą nazywają dno; kiedy gęsi po Gople pływają, to się nie bierz pod wodę, t. j. kiedy się Gopło pieni w czasie burzy; — kiedy młynarz dwie śmigi wypierzy, to

rybakowi z jeziora, bo wtedy wiatr się powiększa, etc. ect. Przymiotnik siewierny, jednoznaczny z przym. północny.

*sotnia,* setnia — oddział ze stu złożony. — Chodakowski twierdził, że cała Słowiańszczyzna podzielona była na sta — ztąd Starosta.

*sudanny koń,* — suchej nogi, smukły i gładki; — przymiotnik ten używany i z innemi rzeczownikami w znaczeniu: udatny, nadobny, cudny; np. cztery rzeczy koniecznie ma mieć w sobie panna: żeby była wstydliwa, skromna i sudanna; etc. etc. Na tym miejscu przymiot. sudanny pewno nie jest użyty w pierwotnem znaczeniu, bo panna suchej nogi — niekoniecznie byłaby powabna. (Monitor).

*świerzopa* — klacz, kobyła; — wyraz bliższy źródła wspólnego — bo spokrewniony z innemi narzeczami słowiańsk.

*Temblak* — rzemień, na którym szabla wisi — rzemień u rękojeści szabli, za który się dobyta na ręce zawiesza; — ztąd u niego szabla zawsze na temblaku — junak.

*trzpienie* — klamry, spinki.

*trudni* — stare znaczenie tego przymiotnika wcale inne od dzisiejszego; — przydawany on był rzeczownikom oznaczającym wszelkie nieszczęście, — jak to można poznać na początku Wyprawy Igora, tudzież w starej pieśni od Najświętszej Panny, wyjętej przez Juszyńskiego z kamyonału Przeworszczyka z r. 1455, gdzie jeden wiersz tak brzmi: „Tyś zdrowie wszech ludzi trudnych" (chorych) — przeto wieści trudne, są wieści smutne — złowrogie.

*Urochmanić się* — uspokoić.

*uroczyszcze,* kopiec, mogiła — litewski kurhan; zdaje się, że te uroczyszcza sypano na grobach bohatyrów, bo do słów pochodnich przywiązane jest wyobrażenie czci jakiejś; np. uroczystość, obchód solenny, rocznica, — może na mogiłach tych bohatyrów.

*Wardęga,* włóczęga, tułactwo.

*werteba,* pierwotnie: wąwoz, jary pomiędzy górami — potem także każda droga kręta, wężykowata.

*wierc,* wykrzyk, zaiste, prawdziwie.

*wieczornica,* gwiazda wieczorna — latawiec, strach nocny, mrok, czasem: wiedźma.

*wereszka* — patrz brzechwa.
*wiedźma*, widma — prawie to samo, co niemiec: Feh — Alraun; mniej jak czarownica—więcej jak wieszczka; z świata duchowego — widmo.
*wietnica*, miejsce gdzie obrady Słowianie odbywali.
*wierzeja*, wrota, podwoje.
*włochacz*, w język. myśliw. niedźwiedź.
*wyględy* — patrz przeziernik.
*wskopeczny*, w jęz. myśl. oznacza psa, który wszkopec szuka, t. j. wspak, nie idąc za zwierzem, ale wracając się po tropie do jego leżyska.
*Zasyłki* — patrz Białoruskoje wesile — zdaje się, że pierwotnie między narodami słowiańskiemi był zwyczaj kupowania na żonę córki od rodziców przez pewne podarunki, zasyłkami zwane. Dziś całkiem przeciwnie.
*zwrotnica*, zwierciadło — od zwrotu promieni.
*zęczyca*, mleko kwaśne, czy serwatka.
*zdunowy* — gliniany; — w Poznańskiem miasto Zduny — w Długoszu bajka o samorodnych garnkach w okolicy tego miasta i mają pomiędzy sobą jakiś związek.

---

## PRZYPISKI DO DWUNASTU ROZBÓJNIKÓW.

1) Cały ten ustęp odnosi się do weselnych obrzędów Wielko-Polan. — Miejsce nie pozwala zapuścić się w szczegółowy opis naszego wesela, które choć nie tak obfituje w pieśni, jak Mało-rosyjskie, lub Serbskie, zawsze się jednak można w niem dopatrzyć tej starej, przedchrześcijańskiej cechy, która wszystkie ludy słowiańskiego plemienia znamionuje. — Znaczna część obrzędów Wielko-polskiego wesela sięga pogaństwa — bo jakżeż inaczej wytłómaczyć sobie ich wspólność między najodleglejszemi szczepami. — Równie u Serbów, Czechów; Mało-Rusinów, jak u Wielko-polan, Galicyanów, etc., — są przedweselni swatowie, którzy w czasie wesela jednaki wszędzie ubiór noszą; — panna młoda przypina do lewego ramienia swatów chustkę białą, a do czapki kitkę rozmarynu; — dla tego u Serbów mają przydany epitet: kitjeni; — dalej urząd Starosty weselnego, już mam ulubione Chodakowskiego marzenie o Słowiańszczyźnie przypomina, — wreszcie zrękowiny — obowiązek dziewierza, (Srb. djewer, Czes. diwer, Crn. diwęr — Croa. déver, Ross. dewerz), utwierdza nas w przekonaniu, że dzisiejsze jeszcze obrządki weselne Wielko-Polan odnieść należy do wspólnego wszystkim szczepom źródła. —

Przytoczone w niniejszej powieści obrzędy, są bez wątpienia tylko miejscowe, wyjąwszy zmowiny (zámluwa), znane i u Czechów; — z tej też zapewne przyczyny resztę wymienionych obrzędów opuszczono w czeskiem tłomaczeniu tej powieści, które się w czasopiśmie Malého: Dennice, znajduje. —

Zmówiny, czyli oświadczyny zalotnika odbywają się w sobotę wieczorem, wesele zaczyna się w niedzielę, a trwa do piątku; tak przynajmniej za dobrych czasów bywało. — Młoda panna jedzie do kościoła na wozie półkoszkowym, pomiędzy dwoma druchnami; — drużba konno, obok młodego pana. — I u nas mnóstwo jest pieśni weselnych; — te, które p. Wojcicki w swoim zbiorze umieścił nie zdają się prawdziwe, a przynajmniej nie są zbierane na miejscu; — trudno bowiem, aby sumienny zbieracz, chcąc zachować wymowę i pisownię miejscową, mógł być tak przeciwnym prowincyonalnemu dyalektowi, jak p. Wojcicki; — naprzód Wielko-polanin nie szepleni, nie mówi: „w i e c z o r a c z w a r t k o w e g o, — ale: w i e c z o r a c z w o r t k o w e g o; — powtóre — nigdy samogłoski *a* tam, gdzie p. Wojcicki tę zmianę położył; nie mówią u nas: „c u ż t o m p o w i o d a; — ale: c u ż t a m p o w i *a* d o; — nie: t a n i e c, ale: t o n i e c, etc. — Wreszcie przy wyjeździe do kościoła nie śpiewają tej piosnki: „W y j e d ż a m y m a t u l e ń k u z d o m u t w o j e g o; — lecz na całą Wielko-polskę znana jest piosnka:

„ **Siadała, siadała,**
„ **Perełkami płakała.“**
**etc. etc.**

---

# PRZYPISKI WYDAWCY.

## POEZYE (tom I.)

„Poezye“ R. W. Berwińskiego część I (str. 102) zjawiły w 1844 roku w Poznaniu, część II (str. 135) tegoż roku w Brukselli u Jana Nepomucena Młodeckiego przy ulicy Ruysbroek 56. Część pierwsza została wydana nakładem autora i odbito ją czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki, zawiera też znak „imprimatur, Czwalina, cenzor. Poznań, dnia 30 grudnia 1843 roku.

Część pierwszą daliśmy kompletną. Wszystkie wiersze przedrukowaliśmy bez zmiany, choć do niektórych mieliśmy waryanty późniejsze.

1) „Pierwsze zbudzenie“. Wiersz ten był kilkakrotnie przez poetę przerabiany. W pierwszej redakcyi zaczynał się od słów: „Byłaś dla mnie aniołem“. Drukowany był w „Przyjacielu Ludu“ z roku 1838 na str. 139 pod nagłówkiem Do ***. Bez zmian prawie przedrukował poeta do wiersza „zachować od zepsucia w twoich cnót koronie“. Pierwsza redakcya brzmiała:

**str. 159. Przyjaciel ludu 1838 r.**

### DO ***.

*Byłaś dla mnie aniołem; pod twemi skrzydłami,*
*Zasnąwszy pośród ludzi, śniłem z aniołami.*
*Ale biada mi, biada! że zbudzon zawcześnie,*
*Chciałem kielich rozkoszy, niedopity we śnie,*
*Spełnić do dna na jawie; że prośbami memi*
*Wywołałem cię z nieba, przybliżył do ziemi!*

*Zaledwie się jej dotkła anielska twa szata,*
*Wcieliłaś się w zmysłową postać tego świata,*
*I byłaś na tym świecie, jak jest każda inna,*
*Choć od każdej piękniejsza, i więcej niewinna,*
*Więcej uboga w próżność, a w cnoty bogata!*

*Wtedy mogłaś na ziemi w czasie losów burzy,*
*Być dla mnie, czem dla pszczółki listeczek róży.*
*Ja mogłem żarem czucia przepalone skronie,*
*Zakować od zepsucia w twoich cnót koronie;*
*I jak pszczółka z twej duszy ssać rajskie słodycze,*
*I jak motyl podziwiać twe wdzięki dziewicze,*
*I oddychać twem tchnieniem i żyć twojem życiem!*
*Alem ja dąb wyniosły — dumny z przyrodzenia,*
*Chciał cię osłonić siłą mojego ramienia,*
*I zmierzyć czoło moje z nawałnicy wyciem.*

*Grom uderzył, dąb runął i szumem upadku,*
*Straszliwie cię owionął, tajemniczy kwiatku!*
*I wraz zbledną twe lice, i wraz wiatr rozniesie*
*Wdzięki twe po odwiecznym zapomnianym lesie,*
*A woń wezmą niebiosa, jak duszę anioła,*
*Kiedy ją Bóg na łono swej chwały powoła!*
*Wtedy mogłaś być dla mnie powietrzną rozkoszą,*
*Tym dźwiękiem niewcielonym, harmonią świata,*
*Którą anieli z nieba na ziemię przynoszą,*
*A po której człek z ziemi do nieba ulata!*

*Alem ja nierozsądny, śpiewka zapalony*
*Chciał zmysły moje jednym akordem upoić;*
*Uderzyłem po stronach i wraz pękły strony,*
*Rozbrzmiał akord, niesforne pozostało echo,*
*I arfa, której dotąd nie mogę nastroić.*
*Powiedz, czem ta pamiątka: smutkiem czy pociechą?*

**Dnia 1 Listopada 1838 r. R. B.**

2) „Wspomnienia". Prof. A. Bądzkiewicz o wierszu tym następującą czyni uwagę: „Do przerobionych należą również „Wspomnienia", które w ostatecznej redakcyi mają wprawdzie szczegóły pierwszorzędnej piękności, ale baczny czytelnik, nawet nie mający, jak ja brulionów pod ręką, dostrzega łatwo, że utwór to niejednolity i sty-

lizowany". By sprawdzić ten sąd podaję pierwszą redakcyę, która była wydrukowana w „Tygodniku literackim" str. 96 i 104, rok 1838 pod tytułem „Przystań morska — burza". Jak się przekonamy, — tylko oddzielne wiersze są identyczne:

## PRZYSTAŃ MORSKA—BURZA.

*On wstąpił na brzeg skały. Z stromego urwiska*
*Pogląda wokół siebie — wokół wicher wyje,*
*Piętrzy fale — pianami pod obłoki ciska,*
*A grunt wirem świdruje — zębem rwie i ryje!*
*On choć stoi nad brzegiem — nie cofnie wstecz kroku!*
*Snać mu w tem nic nowego; już nawykł do burzy,*
*Więc patrzy w błyskawicę, a oka nie zmruży; —*
*Taką ma siłę w duszy, taką pewność w oku!*
*Takim jest zawdy panem swej postaci,*
*Że nigdy z lic przy ludziach pogody nie traci;*
*W nieszczęściu — łez, przy pracy — potu nie ociera.*
*A nie raz na swej piersi odzienie rozdziera,*
*I nagą pierś podaje na pociski losu —*
*Nie wzdrygnie się — nie zadrży — nie odbje ciosu;*
*Bo ma w pogardzie ciosy, godzące na ludzi!*
*Niczyich usz powieścią swych dziejów nie trudzi;*
*Bo któż z ludzi wysłucha chętnie tej powieści?*
*Kto przeczuwa z nim długie noce na boleści,*
*Wpośród mar czarnej myśli, wpośród wspomnień roju,*
*W walce z namiętnościami, w konwulsyjnem drganiu?*
*Kto z nim przetrwa noc taką z zmierzchu ku świtaniu,*
*A za dnia lice w pocie cielesnego znoju*
*Obmyje i oblecze w sukienkę pokoju?...*
*Kto z nim pójdzie wygnańcem z ojczystego kraju,*
*Szukać u brzegów Indu straconego raju,*
*Który o całe morze zostawił za sobą,*
*W pokoju domowego zostawił ogniska!*
*Tam on codzień poranną i wieczorną dobą,*
*Bywał w smętnej komnacie starego zamczyska —*
*Po tym zamku bluszcz wiotki i powój się splata,*
*Na tym zamku jest owa posępna komnata; —*

*W tej posępnej komnacie bywała niewiasta,*
*I bywał w niej młodzieniec; — dziecinne miał lata,*
*A był jak dzień, któremu choć wieczorne zorze*
*Różami na zachodzie poubiera łoże,*
*I skroń zwiędłą w namiętny wystroi rumieniec!*
*Wszelako wieczór nie jest, jak piękny młodzieniec,*
*Którego jasnym blaskiem powitało życie!*

*Niewiasta, jak lilija, której białe koście*
*Obłamie wiatr przeciwny, lub robak roztoczy;*
*Z litością każden pielgrzym zwraca na nią oczy,*
*A żaden jej nie wróci nadobnej sukienki!*
*Takie są tej niewiasty przekwitłe już wdzięki,*
*Przygasłe rannej jutrzni promienie w jej oku!*
*Lecz jest w tem oku inna potęga uroku;*
*Taka w niem boleść duszy — w twarzy taka bladość,*
*Że choćbyś wieki patrzał, tobyś nie miał zadość!*

*On patrzał co wieczora i patrzał co rana.*
*Czasem rano przychodzi — jeszcze nie ubrana,*
*Snać dopiero co wstała z miękkiego posłania;*
*Włos jeszcze nie trefiony — w swobodnym nieładzie,*
*Lekka suknia zaledwie pierś białą osłania!*
*Zda się, że przez nią oko wszystkie wdzięki skradzie,*
*Że pod nią ucho złowi każde serca bicie!*

*Czasem w wieczór przypadek jakoś dziwnie zrządził,*
*Że palcami pomiędzy jej palce zabłądził,*
*Kiedy grał z nią w warcaby, albo trzymał szycie.*
*Wtedy krew mu zawrzała w żyłach, jak zarzewie;*
*Drżał — gdy mówił „dobrą noc“; dla czego? sam nie wie,*
*I odchodząc już marzył o jutrzejszym świcie!*
*I na jutro zamiarów tysiąc dni układa —*
*Będzie śmielszy — przysięga; wszystko wypowiada,*
*Będzie błagał — ach! tylko o jedno pół-słowa,*
*Tam w duszy jego druga znajdzie się połowa;*
*Będzie błagał — a jeśli prośbą nie pomoże,*
*Powie, że w świat odjedzie — popłynie za morze,*
*Że ot, na morzu, z smutku, z rozpaczy utonie!*
*A ona — wtedy wstydem się zapłonie,*
*I powie — nie — nie powie; — ona nic nie powie;*
*Co miłości po słowach? miłość stygnie w słowie!*

*Ona tylko nań spojrzy — nie usunie ręki*
*Może nawet — ach może... już zasnął, już marzy;*
*Wyobraźnia bezładnej dorzuca piosenki,*
*I plącze dziwnie losy — rozprzęga, kojarzy;*
*I bez wodzy puszczona, sięga czasem we śnie,*
*Na drzewo zakazane, po owoc rozkoszy!*
*Tak marzy — a gdy słońce sny mu z skroni płoszy,*
*On się gniewa na słońce, że wstało zawcześnie...*
*I gniewa się — i dąsa; aż przyjdzie godzina,*
*Kiedy głos jej usłyszy — jej lica zobaczy;*
*Wtedy plan, który wieczór wczorajszy napina,*
*Dzisiejsze rano zmienia i psuje, i targa.*
*Bo gdy chce o miłości zacząć i rozpaczy,*
*Głos mu w piersi umiera, drzy mu niema warga*
*Jako strona bezdźwięczna...*

B.

3) „Żeglarz". Wiersz ten był drukowany w „Bibliotece Warszawskiej" w 1841 roku.

4) „Tajemnica". Wiersz ten drukował Berwiński w „Tygodniku literackim" w r. 1841 str. 195. pod tytułem „Głos nieproszony".

5) „Don Juan Poznański". Poemat ten wywołał w społeczeństwie polskiem, a specyalnie w środowisku wielkopolskiem żywą wymianę zdań. Postępowa część społeczeństwa chwaliła, konserwatyści zaś ganili. Zaraz po zjawieniu się wydrukowano w „Orędowniku naukowym" za 1844 r. w Nr. 49 na str. 385: „Uwagi nad Don Juanem Pana Berwińskiego". Autorem tego artykułu był p. Z. K., który w ten sposób załatwił się z poetą:

„Pan Berwiński chciał sławy i zyskał ją, ale najsmutniejszą, bo pierwszy do naszej czystej i poczciwej poezyi wprowadził bluźniercze szyderstwa z wiary ojców, wiary całego ludu, wiary, co się z boleścią naszą zrosła, nasze nadzieje wspiera i prędzej czy później zapowiada tryumf". Jeden Jarochowski w swej „Literaturze poznańskiej w pierwszej połowie bieżącego stulecia" odzywa się stosunkowo z rozwagą. Otrzymuje on, że na poemacie Berwińskiego znać reminiscencye „Grobu Agamemnona".

Wogóle „Don Juana" porównywano do wielu znanych dzieł, odszukiwano przeróżne nań wpływy, a między in-

nemi Stanisław hr. Tarnowski odnalazł w nim wpływ Heinego. (Patrz: Literatura tom 5).

Don Juana przedrukowano w całości wraz z Parabazą w „Bibliotece uniwersalnej arcydzieł polskich i obcych" w roku 1882. Wydawca Adam Kaczuba.

Z części drugiej nie podobna było przedrukować wierszy: „Powitanie", „Warszawa", „Majówka", „Marsz w przyszłości". Wiersz „Mysza wieża" pomieściliśmy na właściwem miejscu t. j. jako epilog „Bogunki", gdzie miał pierwotnie tytuł „Wieża kruszwiaka". W tym pierwszym kształcie, obok kilku zmian w redakcyi, odmienne jest zakończenie, a mianowicie w późniejszej „Myszej wieży", po wierszu: „Na dni dzisiejsze i przyszłe się żali" (str. 112 niniejszego wydania) znajdujemy takie wiersze:

*Żali się biedna! — A przecież w tej chatce*
*Bóg wielką radość starej zdarzy matce,*
*Że znowu wyjdzie z niej zbawienie nasze,*
. . . . . . . . . . . . . .
*Prędzej więc, prędzej nadziei mych bracie*
*Pójdziemy zwiastować przyszły los tej chacie;*
*A wszedłszy do niej w poświęcenia bieli,*
*Jako na on czas owi dwaj anieli,*
*Rzeknijmy razem: „Pokłon Tobie, Panie,*
*Coś potem znoił wieków jedynaście!*
*Oto my gnani tutaj duchem Bożym,*
*Znowu dobytek twój i chleb pomnożym,*
*Tylko się poddaj przeznaczeniu twemu*
*I jako wtedy, zaradź, Piaście, złemu. —*
*Bo oto ciężkie klęski na lud spadły!*
*Myszy drugiego Popiela znów zjadły,*
*A krewni jego, blizcy i dalecy*
*Kłócą się znowu — i nie wiedzą rady,*
*Jakby zakończyć te kłótnie i zwady.*
*Więc ty im Piaście, prosty rozum kmiecy*
*I zdrowe podaj do ratunku plecy —*
*I rzeknij, wszedłszy pomiędzy ich swary:*
*„Ja wam poradzę, bracia — ja, kmieć stary!"*
*A jeśli słowom tym nie dadzą ucha,*
*To wiesz co, Piaście...*
*Ciszej, ktoś nas słucha!*

6) „W Częstochowie“. Wiersz ten był drukowany pod tytułem „Odpust“ w „Przeglądzie Naukowym“ w Warszawie w 1843 roku. Końcowych 14 wierszy w czasopiśmie warszawskiem niema.

7) „Ubogim w duchu“. Wiersz ten drukowany w „Przeglądzie Naukowym“ w 1843 roku str. 171 pod tytułem „Modlitwa“. W „Przeglądzie“ nie rozdzielano go na czterowierszowe zwrotki.

8) „Na wysokości Tatrów“ — tytuł w pierwszej redakcyi, „Góral na szczycie Tatrów“.

9) „Powrót z pielgrzymki“. „Przyjaciel Ludu“ z roku 1838 zawiera wiersz Berwińskiego „Wyjazd“, brzmiący jak następuje:

Przyjaciel ludu str. 60. 1838.

## WYJAZD.

### PIEŚŃ WĘDROWCA.

*Hej tu mój Janie! — żywo — bez zwłoki*
*Wyprowadź konie — przytrocz tłomoki,*
*Przypinaj do nóg ostrogi!*
*Żywo mój Janie! — potrzymaj strzemię,*
*Rzućmy co prędzej niewdzięczną ziemię,*
*Gdzie same ciernie i głogi!*

*Gdzie pod mą stopą pielgrzymią, błędną,*
*Trawy pożółkną — kwiaty uwiędną,*
*I serce mroźny chłód zwarzy;*
*Gdzie miłość duszę poi goryczą,*
*Gdzie chwile życia łzami się liczą,*
*Troski zmarszczkami na twarzy!*

*Próżno tu pielgrzym do bram kołace,*
*Zawarła duma świetne pałace;*
*Duma, na nędzy głos głucha;*
*Próżno tu śpiewak pała natchnieniem,*
*Próżno gmin budzi ojczystem pieniem;*
*Gmin pieśni jego nie słucha!*

*A więc mój Janie! żywo bez zwłoki,*
*Wyprowadź konie, przytrocz tłomoki,*
*Niech stąd co prędzej wyruszę!*
*Dobrze mój Janie!... potrzymaj strzemię,*
*Rzućmy co prędzej niewdzięczną ziemię,*
*Gdzie zimne serca i dusze!*

*Spieszmy! za chwilę kraj nas powita,*
*Gdzie lepsza przeszłość z grobu wykwita,*
*Kraj cudów — czarów — uroku;*
*Pamięć, co skarbu przeszłości strzeże,*
*Zwoła tam króle — nasze rycerze,*
*Z dawniejszych dziejów pomroku!*

*Cienie czarowną zaklęte władzą*
*Powstaną z mogił i przeszłość zdradzą,*
*Ukrytą w tajniach grobowych;*
*I ujrzym stare — wszystkie postacie,*
*O długich brodach, w ojczystej szacie,*
*W hełmach i giezłach stalowych!*

*Ujrzym tam kordy w męskiej prawicy,*
*Usłyszym pieśni Boga Rodzicy,*
*Szczęk broni — kopyt tętenta:*
*Ujrzym, gdzie ziemia krwią ojców zlana*
*Życiem kupiona, kośćmi zasiana,*
*Męskie ich cnoty pamięta!*

*I znowu ujrzym w świetle miesiąca*
*Jak Gopła fala przejrzysta, drżąca,*
*Chórem się dziewic zabieli*
*I znów usłyszym, jak ciche dźwięki*
*Czarownej, nocnej, dzikiej piosenki,*
*Zabrzmią po Gopła topieli!*

*Głos jej popłynie po śnieżnej toni,*
*Myśl za nią w ciemną przeszłość pogoni*
*..... w pomroku rozżarzy:*
*Wśród broni szczęku — wśród bitew wrzawy,*
*Wśród pieśni dawnej wielkości sławy,*
*O przyszłych losach zamarzy!*

*Dalej więc — dalej!... im pierwej stracę*
*Z oczu, te świetne, dumne pałace,*
*I ten mój ciasny zakątek*
*Tem pierś swobodniej odetchnie, Janie,*
*Tem rychlej stopa pielgrzymia stanie.*
*W krainie drogich pamiątek!*

R. B.

10) „Ostatnia spowiedź“. W „Przeglądzie naukowym“ z roku 1843 na stronicy 172 znajduje się wiersz p. t. „Ostatnia spowiedź w starym kościele“. Podtytuł „z rozrzuconych pism szalonego“. Redakcya książkowa różni się od waryantu drukowanego w „Przeglądzie“, w wielu miejscach i kończy się na wierszu: „w cnotę ludzką, w szlachetność, i w świętość kapłańską — wierzyłem“. Sądząc jednak, że wiele miejsc opuszczono wtedy ze względów cenzuralnych nie podaję różnic.

„Dumy polskiej“ żołnierza wojsk tureckich, napisanej w lutym roku 1864, a zamieszczonej w książce M. Czajkowskiego: „Dziwne życie polaków i polek“ nie podobna pomieścić w zbiorze niniejszym. Również wiersza „Na Babunie Macedońskiej“.

11) „Wielka noc“. O wierszu tym znalazłem wiadomość w literaturze Lesława Łukaszewicza p. t. „Rys dziejów piśmiennictwa polskiego“. Poznań 1866 r. (wydanie trzecie) na str. 559: „Pisywane później wiersze Ryszarda Berwińskiego po rozmaitych ogłaszane były drukach, jak np. jego „Wielka Noc“ w Zbiorowym Almanachu „Pokłosie“ wydanym w Poznaniu w r. 1854. Wiersz ten wydrukował p. B. Erzepki w dodatku do dziennika poznańskiego „Literatura i sztuka“ (dnia 23 marca 1913 r.).

12) „Moje sny — moje uczucia“. Wiersz ten był drukowany w „Tygodniku literackim“ w roku 1840 na str. 394. Pod wierszem znajduje się też data: 26 października 1840.

13) „Dla jedynej siostry“. Wiersz ten przedrukowuję z materyałów prof. Bądzkiewicza.

14) „Do róży“. Z materyałów prof. Bądzkiewicza.

15) „Do sokołowej". Z materyałów prof. Bądzkiewicza.
16) „W Pamiętniku". Z materyałów prof. Bądzkiewicza.
17) „P. Idalii Krajewskiej". Z materyałów prof. Bądzkiewicza.

## PROZA POETYCKA. (Tom. II.)

18) „Kojata". Po raz pierwszy zjawiła się w „Przyjacielu Ludu" Leszno 1839 roku. Przekład niemiecki w „Magazin für die Literatur des Auslandes".
19) „Bogunka". W książkowem wydaniu dano ją w roku 1840 we Wrocławiu, drukarnia M. Frydlendera, p. t. „Powieści wielkopolskie".
20) „Powieść o dwunastu rozbójnikach". Wydana w książce p. t. „Powieści wielkopolskie". Czeski przekład zjawił się w czasopiśmie *Dennica.*

KONIEC.



# SPIS RZECZY.

## Tom II.

Rem 22 II 65 24

ЛП

Łódź, 18-XII-54 r.